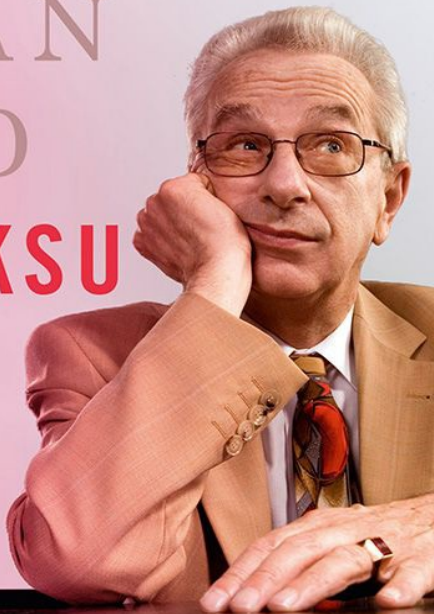


# PAN OD SEKSU

Autobiografia  
najstynniejszego  
polskiego  
seksuologa



Zbigniew

# Lew-Starowicz



Zbigniew Lew-Starowicz

# PAN OD SEKSU

współpraca

Dominika Buczak

**znak** *litera*  
*nova*

KRAKÓW 2013

**P**rędszej czy później na każdym spotkaniu towarzyskim musi pojawić się temat mojej pracy. „Ty jesteś teoretykiem, a ja praktykiem” – mówią standardowo panowie. Uśmiecham się grzecznie, również standardowo, ale nie przedstawiam ani żadnych statystyk, ani nie bronię swojego dobrego imienia, bo to trochę śmieszne. Rozumiem mechanizm rywalizacji – mężczyźni przecież ciągle muszą ze sobą współzawodniczyć w pracy, na polowaniu i przy stole, a seksuolog zajmuje się dziedziną, która dla panów jest szczególnie żywotna, jest więc dla nich solą w oku. Wyobraźnia pracuje, a moja praca jawi się im jako erotyczny raj. Zazdroszczą, że przychodzą do mnie kobiety i mogę z nimi zupełnie bezkarnie i swobodnie rozmawiać o seksie. Zapominają jednak, że te kobiety to pacjentki, a ja, wbrew ich przypuszczeniom, nie mam kochanki w każdym mieście.

Kobiety z kolei kierują się ciekawością. Niektóre są wścibskie i niezależnie od stopnia naszej zażyłości nie wahają się pytać wprost: „Z iloma spałeś?”, „Co ci się najbardziej w seksie podoba?”. Inne mówią o sobie: „Chciałabym poznać seks tantryczny, ale przecież mój partner w ogóle nie chce czytać i nigdy go do tego nie przekonam”. Jeśli kobieta jest sympatyczna, to odpowiadam

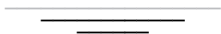
ciepło i z humorem, a jeżeli mnie irytuje, to uświadamiam jej, że żeby wziąć udział w seksie *tao*, trzeba przez wiele tygodni żmudnie ćwiczyć, bo wymaga on doskonałego wygimnastykowania. To działa najczęściej jak szklanka zimnej wody, bo my, Polacy, zazwyczaj preferujemy seks leniwy. Naszą *ars amandi* cechuje lenistwo.

Nie przypominam sobie żadnego spotkania towarzyskiego, na którym nie wypłynąłby temat mojej pracy. Stąd też ta książka, która jest próbą odpowiedzi na pytania, jakie bezustannie słyszę. Czemu zająłem się seksuologią? Czy w mojej rodzinie byli jacyś zbrojeńcy? Dlaczego chodzę do kościoła? A może walczę z Kościołem? Czy bycie seksuologiem pomaga mi w życiu intymnym?

W tej książce chciałbym również opowiedzieć o sobie tym czytelnikom, którzy nie pamiętają Zbigniewa Lwa-Starowicza w mundurze. O tym, że „pan od seksu” nosił komżę ministranta też pewnie niewielu z Państwa słyszało?

Napisałem dziesiątki książek na rozmaite tematy – ta jest o mnie... albo raczej o tym, co dla mnie ważne: o mojej pracy, moich czasach i o problemach, które musiałem rozwiązywać. Zaczniemy od tego, co jest moją codziennością – od moich pacjentów.

# PACJENCI

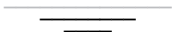


PEWNEGO DNIA W DRZWIACH MOJEGO GABINETU STANAŁ MĘŻCZYŻNA Z CHŁOPCEM. OKAZAŁO SIĘ, ŻE PACJENTEM JEST SIEDMIOLATEK, A OPIEKUN TO JEGO NAUCZYCIEL. DZIECKO MASTURBOWAŁO SIĘ W SZKOLE W OBECNOŚCI INNYCH DZIECI. OKAZAŁO SIĘ, ŻE PRZYCZYNĄ TAKIEGO ZACHOWANIA BYŁY ZMIANY CHOROBOWE W MÓZGU. TO BYŁ NAJMŁODSZY PACJENT, KTÓREGO LECZYŁEM.

NAJSTARSZY MIAŁ OSIEMDZIESIĄT OSIEM LAT. ZE SWOJĄ PIERWSZĄ I JEDYNĄ ŻONĄ WSPÓŁŻYŁ SEKSUALNIE CZTERY RAZY W TYGODNIU. DWA MIESIĄCE PRZED JEGO WIZYTĄ U MNIE ŻONA MIAŁA OPERACJĘ, A PÓŹNIEJ POJAWIŁY SIĘ POWIKŁANIA I Z ICH POWODU USTAŁO WSPÓŁŻYCIE. PACJENT PRZYSZEDŁ Z PROŚBĄ O LEKI ZMNIEJSZAJĄCE POPĘD PŁCIOWY. TŁUMACZYŁ, ŻE MASTURBACJA MU NIE ODPOWIADA, A NIE CHCE ZDRADZAĆ SWOJEJ ŻONY.

CZASAMI MAM WRAŻENIE, ŻE W TRAKCIE CZTERDZIESTU PIĘCIU LAT MOJEJ PRACY W GABINECIE SPOTKAŁEM LUDZI Z WSZELKIMI

MOŻLIWYMI PROBLEMAMI SEKSUOLOGICZNYMI.





Istotą mojej pracy jest działalność terapeutyczna. Z zawodu jestem lekarzem seksuologiem. Są jeszcze seksuolodzy pedagodzy albo psychologowie, jednak moim podstawowym polem działania jest medycyna.

Seksuologia wywodzi się z psychiatrii, bo problemy i zaburzenia seksualne postrzegane były kiedyś jako wyłącznie psychogenne. Dopiero później, gdy wprowadzono nowe metody diagnostyczne, okazało się, że problemy seksualne mają także często podłoże somatyczne. Stąd seksuologia z biegiem lat wyodrębniła się i stała się dziedziną bardziej interdyscyplinarną, w której ważna okazała się znajomość zagadnień z innych gałęzi medycyny: kardiologii, neurologii czy w końcu endokrynologii – dzisiaj wiemy, że wiele zaburzeń seksualnych ma podłoże hormonalne.

Bycie seksuologiem oznacza więc dla mnie przede wszystkim interdyscyplinarność. Jestem lekarzem o dwóch specjalizacjach medycznych, skończyłem też psychologię, a co za tym idzie – jestem psychoterapeutą. W moim gabinecie staram się pomagać całościowo: sprawdzam, jakie mogą być powody danego zaburzenia, i tak jak detektyw, po nitce do kłębka, szukam rozwiązania problemu.

Na przykład współcześnie na stu mężczyzn, którzy zgłaszają się do mnie z zaburzeniami erekcji, połowa ma problemy z krążeniem, i to jest podstawowa przyczyna ich niemocy. U około 8% powodem zaburzenia okazują się hormony, u mniejszej grupy – powikłania polekowe lub problemy z prostatą. Szacuje się, że przyczyny psychogenne tego typu zaburzeń stanowią około 15%. Co ciekawe, w przypadku przedwczesnych wytrysków proporcja jest odwrotna. Czyli zdecydowana większość, bo prawie 80% pacjentów, ma tego rodzaju problemy z przyczyn psychogennych, nieorganicznych. Zazwyczaj po przeprowadzonym wywiadzie z pacjentem i wykonanych badaniach mam jasność, z jakimi problemami musimy się zmierzyć. Dużo trudniej odkryć przyczyny zaburzeń, z jakimi do mojego gabinetu przychodzą kobiety. Często panie skarżą się na przykład na zanik pożądania. W takich przypadkach mamy całą mozaikę możliwych przyczyn. Od psychogennych, partnerskich czy osobowościowych po hormonalne lub związane z przebytymi chorobami, przyjmowanymi lekami i tak dalej. Zazwyczaj, jeżeli kobieta nigdy nie przeżyła orgazmu (takie zaburzenie nazywamy anorgazmią pierwotną), przyczyny tkwią w jej psychice, zatem w pracy z taką pacjentką w gabinecie muszę położyć

duży nacisk na psychoterapię. Jednak gdy mamy do czynienia z anorgazmią wtórną – dopiero od jakiegoś czasu pacjentka nie miewa orgazmów – trzeba sprawdzić, czy nie wpływają na to relacje partnerskie albo zmęczenie, niewyspanie, stres lub choroby. To trzeba dokładnie zdiagnozować.

## KOBIETY I MĘŻCZYŹNI NA KOZETCE U SEKSUOLOGA

W latach kiedy pracowałem w Towarzystwie Rozwoju Rodziny i wizyty w nim były bezpłatne, wśród moich pacjentów zdecydowanie przeważały kobiety. Im wyższe ceny wizyt, tym mniej pacjentek, a więcej panów. Różnice między płciami zauważalne są również podczas przebiegu leczenia. Wielu mężczyzn kłamie. Ukrywają podwójne życie, relację z drugą partnerką, leczenie się u innego terapeuty, kurację na własną rękę, różne choroby, uzależnienia. Są też bardziej lakoniczni podczas rozmowy i oczekują inicjatywy ze strony terapeuty w trakcie prowadzenia wywiadu. Nastawiają się na jak najszybsze usunięcie zaburzenia, a wszelkie niepowodzenia w sferze seksualnej traktują bardzo ambicjonalnie.

Pacjentki zaś są gotowe na długie wizyty, mówią szczerze i bez skrępowania o swoich problemach i oczekiwaniach. Przyczyn swoich zaburzeń seksualnych upatrują raczej w czynnikach psychicznych niż biologicznych. Często się zdarza, że o badaniach i przebiegu leczenia rozmawiają z przyjaciółkami, które z czasem zaczynają pełnić funkcję „kontrolerek” terapeuty. Nic się

na to nie da poradzić. Kiedy podczas terapii widzę wpływ osób trzecich, to próbuję o tym rozmawiać. Dopytuję, co się stało, tłumacząc, że osoba, która doradza, filtruje swoje rady przez osobiste doświadczenia. W jednym domu wystawienie walizek za drzwi podziła na mężczyznę jak otrzeźwienie: zadzwoni do kochanki, natychmiast ją rzuci, a żonie kupi kwiaty i pierścionek. Inny weźmie walizki i po prostu sobie pójdzie. Nie ma uniwersalnych rad.

Zdarzyło się też, że moja pacjentka poszła po pomoc do wróżki. Pracowaliśmy nad naprawdę trudną sytuacją, kobieta była rozdarta, nie mogła podjąć decyzji, wahała się. Związek przeżywał prawdziwy kryzys. Pewnego razu przyszła z podjętą decyzją: „Koniec z nim”. Wróżka powiedziała jej, że ten związek należy spisać na straty, ale w przyszłości znajdzie prawdziwą miłość, więc pacjentka już wiedziała, co robić. Trudno z czymś takim polemizować: wróżka ma nad seksuologiem tę przewagę, że zna przyszłość.

Typowe dla pań jest również domaganie się pierwszej wizyty prawie natychmiast. W przypadku umówienia spotkania w terminie późniejszym niż trzy tygodnie z reguły nie przychodzą (i nie odwołują wcześniej wizyty).

Najczęściej dotyczy to kobiet z jakimś nagłym kryzysowym problemem – gdy odkrywa się romans partnera albo podejrzewa go o zachowania seksualne wobec dziecka.

Kobiety bardziej obiektywnie oceniają skuteczność leczenia i są bardziej realistyczne w oczekiwaniach. Mężczyźni częściej są niezadowoleni, a dzieje się tak z kilku przyczyn: marzy im się powrót do sprawności seksualnej z czasów młodości i porównują stan obecny z dawnym, upokarza ich przyjmowanie leków i szukanie pomocy u kogoś, czują się mniej męscy z powodu problemu w życiu seksualnym. Kiedy rozmawiam z parami po zakończonej terapii i zadaję pytanie: „Jak państwo oceniacie skuteczność leczenia?”, od mężczyzny słyszę zazwyczaj: „jest lepiej”, „może być” lub: „tak sobie”. Tymczasem jego partnerka jest zaskoczona takimi stwierdzeniami i mówi, że jej zdaniem jest „o niebo lepiej, już dawno tak dobrze nie było i oby trwało tak dalej”.

Gdybym chciał zaspokoić potrzeby pacjentów związane z kontaktem ze mną, to musiałbym pracować całą dobę. Są chętni na wizytę niezależnie od pory dnia, również w nocy. Bardzo często jestem traktowany jak pogotowie ratunkowe: mam pomóc zaraz, natychmiast!

Zdarza się, że nawet kiedy idę ulicą, jestem zaczepiany z prośbą o udzielenie porady tu i teraz, albo – co gorsza – o wypisanie recepty. To samo bywa podczas lotów samolotem, w poczekalni na lotniskach, przy wsiadaniu do samochodu na parkingach, w pociągach... Mam miękkie serce i gdy widzę zagubioną i cierpiącą osobę, to nie potrafię przejść obok bez słowa, często staję więc na chwilę rozmowy, ale recept nie wypisuję. Kiedy sytuacja zaczyna się irytująco często powtarzać w ciągu jednego dnia, wybieram sprawdzoną metodę, mówiąc: „Seksuologiem jest mój brat bliźniak, a nie ja”. To naprawdę skutkuje.

Porad za pośrednictwem internetu nie udzielam. Na ten pomysł wpadło natomiast już wielu moich byłych studentów i tak zarabiają na życie. Internet zagarnia coraz większe obszary, wkrótce będziemy na stałe przypięci do sieci. Ten typ komunikacji jest coraz bardziej popularny, ale sądzę, że w leczeniu kontakt twarzą w twarz jest niezastąpiony. Przez internet nawiązuje się powierzchowną relację. Owszem, można przekazać jakieś podstawowe informacje dotyczące schorzenia czy zaburzenia, ale nie da się wyleczyć człowieka.

Często odbierałem telefony w środku nocy. Najczęściej

słyszałem w słuchawce pana, który wpadł w panikę, bo zapomniał, jak dawkować leki. Albo ma jakieś urojenie psychiczne – skutek uboczny połknięcia tabletki. Albo silne zawroty głowy. Zdarza się też, że lek, który miał pacjenta uspokoić, nakręcił go – czyli efekt jest odwrotny do zamierzonego. Nauczyłem się już każdego wieczoru wyłączać komórkę. Jeśli jadę samochodem i stoję w korku, to mogę porozmawiać, czemu nie. Udzielam więc telefonicznej porady, gdzie i u kogo się leczyć, odpowiadam na pytania dotyczące typowych zaburzeń seksualnych oraz jak należy przeprowadzić badania diagnostyczne albo dlaczego przepisany przez lekarza lek nie działa.

U nas podejście do spraw leczenia jest często pełne hysterii lub lęku. Typowym przykładem jest reakcja pacjenta po przeczytaniu ulotki dołączonej do przepisanego leku. Rzeczywiście, może go ogarnąć strach na widok długiej listy wszelkich możliwych objawów niepożądanych, a nawet groźby zgonu. Lekarze często nie mają czasu na udzielanie informacji na temat bezpieczeństwa danego leku, więc nic dziwnego, że pacjent co prawda lek wykupił, ale potem przeczytał ulotkę i go nie przyjmuje. To samo słyszę w gabinecie. Niektórzy odrzucają lek i decydują się



na zakup afrodyzjaku, najlepiej opartego na ziołach, postrzeganych jako wyjątkowo bezpieczne i „ekologiczne”. Warto jednak pamiętać o tym, że większość afrodyzjaków używanych na świecie nie została dotąd przebadana w laboratoriach naukowych. Wiele z nich ma szerokie spektrum działania na organizm i nawet jeżeli pomogą w życiu seksualnym (obiektywnie lub na zasadzie efektu placebo), to mogą wpływać negatywnie na poziom ciśnienia tętniczego, hormonów czy na narządy. Zdarza się, że przychodzą pacjenci z afrodyzjakami kupionymi na bazarach w krajach arabskich. Sprzedawcy zachęcają i chwala, a jeżeli jest opisany skład, to wygląda on bardzo zachęcająco, sama natura. Jedni przychodzą z prośbą o ocenę przydatności zakupu „z naukowego punktu widzenia”, a inni już po doświadczeniu skutków jego spożycia – słyszę wtedy: „Ciśnienie tak mi skoczyło, że myślałem, że zejść”.

W przeszłości zdarzało się częściej (teraz już rzadko), że byłem proszony o przepisanie leku dla partnera lub partnerki w celu „zwiększenia chęci na seks”, który miał być niepostrzeżenie dosypany do zupy. Oczywiście odmawiałem. Ale jak byłem przekonywany! Jedni podsuwali pieniądze w kopercie, inni brali na litość,

mówiąc, że strasznie cierpią i trzeba im pomóc, bo inaczej ich małżeństwo się rozpadnie. Podobnie bywałem proszony o przepisanie leków działających antypopędowo. Argumenty były rozzdzierające: „On mnie wykończy i będzie pan miał mnie na sumieniu”, „Ja już dłużej nie wytrzymam i wyskoczę z okna”, „To prawdziwy erotoman i tylko pan może go uratować, bo go seks wykończy”.

Zdarza się również, że jestem proszony o przyście do czyjegoś domu, żeby „przypatrzeć się dewiantowi”. Kiedy jeszcze nie byłem rozpoznawalny, proponowano niby przypadkowe spotkanie z partnerem lub z partnerką osoby proszącej o pomoc. Propozycje bywały różne: miałem na przykład usiąść przy sąsiednim stoliku w kawiarni i przyjrzeć się delikwentowi albo znaleźć jakiś pretekst i pójść do miejsca pracy osoby, o którą chodziło. Dobrze, jeżeli miał to być sklep. Gorzej, kiedy wizytę miałem złożyć w strzeżonym obiekcie państwowym. Jedna z pacjentek zaproponowała mi nawet wyrobienie specjalnej przepustki do Urzędu Rady Ministrów, abym mógł sobie popatrzeć na męża, i nawet wymyśliła (niezbyt prawdopodobny) pretekst do rozmowy z nim. Ostatecznie nie wybrałem się do URM-u.

Czasami zgadzałem się na takie eksperymenty, ale zawsze dbałem o to, żeby sytuacja wyglądała naturalnie. Bardzo zależało mi na tym, żeby osoba, którą obserwowałem, nigdy (nawet w przyszłości) nie zorientowała się, że przyglądał jej się terapeuta partnera. Szybko wycofałem się z takich nieoficjalnych, „przypadkowych” spotkań, bo czułem, że mają one w sobie coś z manipulacji.

Zdarzyło się też, że umówiłem się w restauracji w centrum handlowym, ale to nie jest dobra praktyka. Moja pacjentka przeżywała małżeński kryzys, była skłócona z mężem, który nie chciał chodzić na terapię. Urodziło im się dziecko, więc umówiliśmy się w restauracji, żeby pacjentka opowiedziała mi, co się dzieje. Dziecko spało w wózku obok, a my jedliśmy obiad, rozmawialiśmy i wtedy ktoś zrobił nam zdjęcie, które potem znalazło się w internecie z podpisem „Starowicz ze swoją dziewczyną i z dzieckiem”. Mąż mojej pacjentki to zobaczył i był wściekły, że terapeuta spotyka się z żoną prywatnie. Tylko utwierdził się w przekonaniu, żeby na terapię nie przyjść.

Kiedy zaczynałem pracę w psychoterapii, nie było takich standardów jak te, które obowiązują teraz. Dzisiaj wiadomo

już, że terapeuta może spotykać się z pacjentem tylko w gabinecie, a spotkania w kawiarni nie wchodzą w grę.

## **PACJENCI – Z TECZKĄ, INCOGNITO, W HABICIE LUB Z OBCYM AKCENTEM**

Przyjmowałem przedstawicieli prawie wszystkich grup społecznych i zawodowych. Biznesmenów, nauczycieli, lekarzy, pracowników biur i robotników. Problemy z życiem seksualnym trapią bowiem ludzi niezależnie od ich wykształcenia, wykonywanego zawodu czy światopoglądu, choć oczywiście to, w jaki sposób żyją i jakimi kierują się wartościami, ma wpływ także na seks. Ja jestem po to, by im pomóc.

Kiedyś w moim gabinecie pojawiali się nawet pracownicy tajnych służb! W przeszłości z reguły ukrywali swoje dane osobowe i podawali rejestratorce fałszywe nazwisko. Ta zasada przestała funkcjonować od czasu wprowadzenia przepisu o konieczności podawania numeru PESEL do recepty. Pracownicy tych służb nigdy nie rozmawiają o swojej pracy, mają obsesyjne nastawienie do tajności wizyt i dokumentacji chorobowej. Boją się, że dane mogłyby wpaść w niepowołane ręce. Te obawy stały się jeszcze silniejsze od czasu afery z kardiochirurgiem Mirosławem G. w 2007 roku. Był on szefem Kliniki Kardiochirurgii szpitala MSWiA w Warszawie. Postawiono

mu dwadzieścia zarzutów (w tym zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci). Sprawa wzbudzała wiele kontrowersji, była silnie upolityczniona i służby specjalne dokładnie przestudiowały dokumentację medyczną doktora G. Od tego czasu wszystkie swoje służbowe notatki dotyczące pacjentów szyfruję.

Inna ciekawa grupa pacjentów to bogaci biznesmeni. Cenią sobie pieniądze i źle reagują na podwyższone co pewien czas opłaty za wizytę. Wielu z nich jest przyzwyczajonych do dyspozycyjności i chcą narzucać terminy spotkań, nie zgłaszają się na wizytę w ustalonym terminie (nie odwołując jej uprzednio), najbardziej odpowiadają im późne godziny wieczorne. Zdarzało się, że zapraszali mnie do własnych rezydencji, oferowali przysłanie samochodu z kierowcą, a nawet samolotu! Jeden ze znanych biznesmenów zaproponował przeprowadzenie leczenia podczas rejsu na dalekomorskim jachcie w egzotycznym miejscu. Inny z kolei poza wynagrodzeniem za leczenie zaproponował „podarowanie” na dwa miesiące jednej ze swoich kochanek (i to w jej obecności i bez słowa sprzeciwu z jej strony!). Nie jestem pewien, o co mu chodziło – chciał mi zrobić przyjemność czy też

oczekiwał praktycznego przeszkolenia dziewczyny? Nie skorzystałem z zaproszenia na jacht z powodu braku czasu, nie przyjąłem też żywego prezentu. Nie daję się również skusić na wożenie samochodami czy samolotami.

Kiedyś często przyjeżdżali obcokrajowcy, którzy trafiali do mnie w różny sposób. Jedni przyjaźnili się z Polakami i dostawali od nich informacje na mój temat. Inni zobaczyli w telewizji wywiad ze mną i szukali kontaktu. Uzasadnienie tych wycieczek jest proste – jeszcze niedawno na Zachodzie seksuologia jako gałąź medycyny nie istniała. W wielu krajach (na przykład w Norwegii) nie było ani jednego seksuologa! To my – Polacy, Czesi i Niemcy – mamy duże zasługi, jeśli chodzi o rozwój seksuologii, która w innych krajach zaczęła się rozwijać dopiero po wprowadzeniu na rynek viagry. Powstała medycyna seksualna, bo byli potrzebni lekarze do wypisywania recept. Powołano również międzynarodowe Towarzystwo Medycyny Seksualnej, które organizuje konferencje sponsorowane przez firmy farmaceutyczne. Często zadziwia mnie różnica w standardzie sympozjów organizowanych dla seksuologów-lekarzy i seksuologów-psychologów. Jeśli jedzie się na europejski kongres Towarzystwa Medycyny

Seksualnej, to śpi się w najlepszych hotelach i jada w najlepszych restauracjach. U psychologów jest za to skromnie – gołym okiem widać, gdzie są sponsorzy i pieniądze.

Szczególna grupa pacjentów to dyplomaci. Poza typowymi u mężczyzn zaburzeniami seksualnymi zdarzają się u nich problemy wiążące się z relacjami partnerskimi w mieszanych narodowościowo związkach. Są to najczęściej problemy związane z różnicami kulturowymi w mieszanych małżeństwach. Pewnego razu zgłosiła się do mnie żona dyplomaty jednego z państw afrykańskich. Jej mąż zbulwersowany był tym, że opisuje ona w pamiętniku różne historie z ich małżeństwa. Odbierał to jako „zabieranie mu duszy” – takie miał poglądy wynikające z rodzimych tradycji. Doszło do kryzysu i zaniku więzi seksualnej. Żona prosiła mnie o udzielenie im pomocy. Była przekonana, że przyczyną jego problemów i zachowań są jakieś sprawy zawodowe. Dopiero później dowiedziała się, jaka była prawdziwa przyczyna jego niechęci, i udało się załagodzić konflikt.

W innym przypadku mąż pochodzący z Egiptu postanowił w trakcie wizyty u rodziny w swoim ojczystym



kraju ożenić się ponownie. Jego polska żona nie akceptuje poligamii, pojawił się więc problem. On był z kolei przekonany, że żona, znając jego kraj i rodzinę, nie będzie się pomysłowi drugiego małżeństwa sprzeciwiać. Sprzeciwiła się i o mało nie doszło do rozwodu. Zdecydował się ostatecznie na monogamię, bo bardzo mu zależało na utrzymaniu tego związku i rodziny.

Z kolei ożeniony z Polką i pracujący w Polsce Meksykanin naśladował styl życia swojego dziadka i ojca – po prostu stworzył sobie drugi dom. Ukrywany przed żoną związek trwał pięć lat, pacjent dochował się w nim dwuletniego syna. Dla niego posiadanie dwóch rodzin było czymś oczywistym i potrafił sobie z tym dobrze radzić. Żona niczego nie podejrzewała, nawet wtedy, kiedy dzielił świąteczne dni „sprawiedliwie” na dwa domy. Po spotkaniu go z drugą rodziną na spacerze w Łazienkach kobieta przeżyła szok i chciała się rozwieść. O seksie nie było mowy. Nic nie dały przekonywania, że mąż kontynuuje rodzinną tradycję. Musiał dokonać wyboru i z tym problemem zgłosił się na wizytę. Kochał obie partnerki i nie widział sposobu rozwiązania tego węzła gordyjskiego. Kochanka zgadzała się na utrzymanie *status quo*, żona

zdecydowanie nie. Ostatecznie podjął decyzję i z drugą rodziną wyjechał do Meksyku. Na tym jednak nie koniec: z prośbą o pomoc zgłosiła się porzucona żona. Czując, że nadal bardzo kocha swego męża i zbyt szybko postawiła sprawę na ostrzu noża. Nie przewidywała takiego finału. Ona też podjęła decyzję – postanowiła udać się do Meksyku i odzyskać męża. Przyznała, że jest nawet gotowa pogodzić się z istnieniem drugiej rodziny. I tak się stało! Mieszka w Meksyku z mężem, a jego druga rodzina żyje w tym samym mieście.

Miewałem nawet takich pacjentów, którzy – wydawałoby się – u seksuologa nie muszą szukać pomocy. Zakonnica w habitcie w poczekalni przed gabinetem seksuologa to wcale nie jest taki egzotyczny widok, jak by się mogło wydawać. Najczęściej i księża, i zakonnice pojawiali się u mnie w cywilu, ale habit wcale nie zaskakiwał. Większość problemów sióstr i księży wynikała z życia w celibacie.

Przychodziła więc zakonnica i prosiła o pomoc, bo libido sprawiało jej problemy i odczuwała trudne do opanowania podniecenie. To był najczęstszy problem. Wypisywałem receptę i sprawa załatwiona – podniecenie

seksualne można bowiem bardzo skutecznie obniżać farmakologicznie. Pacjenci w sutannach szukali też pomocy w związku z innymi problemami. Ksiądz pozostawał w związku i nie miał zamiaru go kończyć – chciał współżyć z kochanką, wiódł podwójne życie i było mu z tym dobrze. Tymczasem dopadały go typowe męskie problemy – przedwczesny wytrysk albo zaburzenia erekcji. Próbowaliśmy coś na to poradzić, często skutecznie. Czasami trudno było im żyć w dwóch światach, ale jeszcze trudniej było się rozstać z jednym z nich. Niektórzy przychodzili do mnie, bo chcieli się po prostu wygadać, a nigdzie indziej nie mogli. Przy okazji wychodziły dziesiątki tematów związanych z przeżywanymi namiętnościami, zakochaniem czy zdradą.

Pojawiali się też księża o orientacji homoseksualnej. Nie jest to dla seksuologa żadne zaskoczenie, bo jak dowodzą badania amerykańskiego duchownego, katolickiego księdza A.W. Richarda Sipe'a, w tej grupie społecznej homoseksualistów jest proporcjonalnie więcej niż wśród reszty społeczeństwa. Sipe przebadał ponad 1500 osób w ciągu dwudziestu pięciu lat i opisał je w książce *A Secret World. Sexuality and the search for celibacy*.

Co ciekawe, episkopat USA promował te badania. Zwykle księża homoseksualiści, którzy pojawiali się w moim gabinecie, nie akceptowali swojej orientacji i prosili, żeby ich z niej wyleczyć. Dziś wiemy, że nie jest to możliwe. Zawsze jednak, na miarę możliwości, jakie dawała ówczesna medycyna, próbowałem im w ich problemie pomóc i ulżyć cierpieniom.

Czasami trudno mi zachować powagę podczas zwierzeń pacjentów. Szanuję ich problemy i wiem, że przychodzą do mnie z prawdziwymi życiowymi dramatami, ale bywa, że z boku ich historie brzmią czasem naprawdę zabawnie.

Odwiedził mnie kiedyś czterdziestosiedmioletni księgowy. Doszedł do przekonania, że dotychczasowe życie z jedną tylko partnerką to w dzisiejszych czasach coś nienormalnego. Małżeństwo oceniał jako bardzo udane, również jeśli chodzi o życie intymne, ale postanowił zaszaleć. Czuł się gorszy od innych mężczyzn mających bogatsze doświadczenia seksualne. Postanowił dać się uwieść swojej koleżance z pracy, która od dawna go adorowała. Doszło do kontaktu, a jego niepożądanym owocem była rzeżączka. Wyleczył się szybko, żony na szczęście nie zdążył zarazić. Po dwóch latach kolejny raz

dał się uwieść. Poszedł do łóżka z inną koleżanką, również z firmy, w trakcie podróży służbowej. O dziwo, powtórzyła się historia z chorobą weneryczną, a do tego pojawiły się jej następstwa – zanik orgazmu. Zgłosił się z prośbą o leczenie, kiedy już wyleczył się z choroby wenerycznej. Bardzo rozczulał się nad swoim pechowym życiem – dwa skoki w bok i dwa razy kara! „Moim kolegom to się nie zdarza”, mówił.

Innym razem wszedł do gabinetu trzydziestosześcioletni mężczyzna – handlowiec, od dziewięciu lat żonaty. Żona była jego jedyną partnerką seksualną. Wiedział, że zanim go poznała, miała czterech partnerów. Przez kilka lat w ogóle mu to nie przeszkadzało, ale z czasem zaczęło i postanowił „poprawić bilans”. Cztery razy próbował odbyć stosunek, każdy z inną kobietą, i za każdym razem się nie udawało z powodu zaniku erekcji przed stosunkiem. Ostatnią próbę postanowił podjąć w agencji towarzyskiej. Doszedł bowiem do przekonania, że „profesjonalistka” poradzi sobie z jego zaburzeniem. Nie poradziła sobie. Czuł się skazany na monogamię i uznał, że pomogą leki. Kupił w internecie tabletki reklamowane jako środki mające pomóc w uzyskaniu erekcji. Spróbował ponownie. I tym razem też

nic z tego nie wyszło! To go zaniepokoiło i postanowił poddać się badaniom specjalistycznym w celu wyjaśnienia niepokojącego zjawiska. Tymczasem aktywność seksualna z żoną nie doznała żadnego uszczerbku i nadal była udana. Po co więc było szaleć?

Inną kategorią pacjentów są mężczyźni przeżywający różne problemy wiążące się z pobytem w sanatorium. To, że mogą mieć nieudane próby współżycia, wynikające z przygodnych znajomości, nie jest niczym zaskakującym, bo działa tu stres sytuacyjny. Ale zdarzają się i takie historie: sześćdziesięciodwuletni mężczyzna po przebytych dziewięć lat wcześniej zawale zaczął bardzo dbać o swoje zdrowie i przynajmniej raz w roku jeździł do sanatorium. Współżycie seksualne z żoną miał udane również po zawale, bez stosowania leków. W sanatoriach miewał przelotne romanse. Podczas ostatniego pobytu zakochał się w pięćdziesięcioletniej kuracjuszce. Stwierdził, że to kobieta jego życia. Wybranka serca bardzo mu się podobała, bo przypominała pierwszą miłość ze szkolnych czasów. Okazało się, że jest bardzo zmysłowa i wyjątkowo lubi seks. Była rozwódką, mieszkała w tym samym mieście co on. Podczas pobytu w sanatorium kochali się codziennie.

Romans trwał dalej po powrocie do domu. Po trzech miesiącach postanowił powiedzieć żonie prawdę. Zaskoczyła go jej spokojna reakcja: sama zaproponowała separację, bo nie chciała „być przeszkodą w jego szczęściu”. Została w ich wspólnym domu, a on przeniósł się do mieszkania, w którym zamieszkał razem z kochanką.

Po miesiącu sielanki pojawił się problem – nie był w stanie uprawiać seksu codziennie i stopniowo kontakty stawały się rzadsze. Kiedy doszło do dwóch w tygodniu, kochanka się zdenerwowała. Powiedziała, że to dla niej za mało i nie rozumie, co się z nim dzieje. Dała mu szansę – jeżeli „wyleczy się z oziębłości”, to wyjdzie za niego, a jeżeli nie – koniec związku. Na wizytę zgłosił się właśnie z powodu tego ultimatum. Okazało się, że jest zdrów jak ryba. Nie ma żadnych zaburzeń seksualnych. Jego sprawność seksualna po okresie tańca godowego wróciła do typowej formy. Rozsądnie uznał, że w tej sytuacji korzystanie każdego dnia z chemicznego wspomaganie w celu zaspokojenia potrzeb kochanki to niewesoła perspektywa, a także spory wydatek. Finał tej sprawy? Kochanka wróciła do swego mieszkania, a on do żony, która go przyjęła bez oporów. Później dowiedział się od niej, że przewidywała

taki koniec... Niestety, nie każdemu mężczyźnie przytrafia się tak wyrozumiała żona!



## **PACJENCI HOMOSEKSUALNI – KIEDYŚ I DZIŚ**

Wiem, że dziś to brzmi fatalnie, ale kiedyś leczyłem z homoseksualizmu. Kiedy zacząłem pracę, homoseksualizm był traktowany jako patologia i w międzynarodowej klasyfikacji chorób umieszczono go w dziale rozpoznań dewiacyjnych w pobliżu zoofilii i nekrofilii. Z listy chorób Światowej Organizacji Zdrowia został wykreślony dopiero w 1991 roku. Historia medycyny pełna jest takich dramatycznych pomyłek.

Oczywiście nie urządzaliśmy łapanek na gejów i nie poddawaliśmy ich przymusowo leczeniu. Niemniej jeśli ktoś się do mnie zgłaszał, to – zgodnie z ówczesnym stanem wiedzy – próbowałem mu pomóc. Chętnych do „leczenia” było wielu. Tolerancja dla homoseksualizmu w czasach PRL-u była niemal zerowa, a osoby homoseksualne były przerażone, czuły się chore i prosiły o szansę na „normalność”. Wiele z nich nie akceptowało siebie i marzyło o uzyskaniu orientacji heteroseksualnej. Stosowano wtedy różne metody leczenia – od psychoterapii zaczynając, na metodach awersyjnych kończąc.

Jedna z nich wyglądała następująco: pacjent podniecający się scenami o treści homoseksualnej

(fotografie z wydawnictw pornograficznych) był w nieprzyjemny sposób drażniony prądem (oczywiście nie zagrażało to zdrowiu i odbywało się pod odpowiednią kontrolą, wszystko zgodnie z procedurami). Zachęcany był natomiast do masturbowania się w trakcie oglądania scen o treści heteroseksualnej i ekspozycji nagości kobiecej. U części „leczonych” ujawniał się zanik reakcji na bodźce homoseksualne i traktowano to jako sukces terapeutyczny. Okazało się jednak, że tego typu metoda leczenia w przypadku stuprocentowych gejów nie kończyła się sukcesem, bo reaktywność homoseksualna wracała po pewnym czasie, a ich związki z kobietami nie były udane. Metoda była skuteczna na chwilę, bo po terapii geje omijali szerokim łukiem słynne miejsca na placu Trzech Krzyży, gdzie spotykali się homoseksualiści. Metody awersyjne działają jednak bardzo krótko, tak było i w tym przypadku.

Dostęp do pornografii w czasach PRL-u był bardzo trudny. Walka z nią polegała na konfiskowaniu materiałów pornograficznych na bazarach i targowiskach oraz przez celników na granicy. W mediach również, rzecz jasna, jej nie było. Na czarnym rynku można było znaleźć zdjęcia,

czasopisma zwane „świerszczykami”, slajdy i – to już bardzo rzadko – filmy. Pornografia była mi potrzebna dla celów naukowych, diagnostycznych, terapeutycznych, również w pracy biegłego seksuologa. Poprosiłem o pomoc prezesa Towarzystwa Rozwoju Rodziny, mojego zwierzchnika w pracy, i otrzymałem stosowne pismo adresowane do szefa Głównego Urzędu Celnego. Zgodził się bez oporów i wydał dyspozycje. Pamiętam jak dziś, kiedy zaprowadzono mnie do magazynu załadowanego pornografią konfiskowaną przez celników – od podłogi po sufit. Było w czym wybierać! Spędziłem tam pół dnia i wyszedłem z pełną walizką.

Dzisiaj młodzi geje trafiają do mojego gabinetu rzadko. „Leczyć” chcą się nieliczni pacjenci, głównie z motywacją religijną. Pojawiły się natomiast inne grupy: mężczyźni zorientowani homoseksualnie żyjący w małżeństwach i mający trudności we współżyciu z żonami, żony po odkryciu homoseksualności męża, kobiety zaczynające odczuwać potrzeby homoseksualne po wielu latach trwania małżeństwa, a także homoseksualni pacjenci z typowymi zaburzeniami seksualnymi w swoich związkach. Jednak najczęściej spotykanym dzisiaj problemem są dramatyczne

często przeżycia rodziców po ujawnieniu homoseksualizmu dziecka. Zdarza się, że młodych chłopaków przyprowadzają rodzice, i to oni są bardziej przerażeni sytuacją niż sami zainteresowani. Młodzi geje i lesbijki często akceptują, a nawet afirmują swoją orientację.

Rozumiem dylematy rodziców, którzy świeżo przeżyli *coming out* swojego syna lub córki. Na ogół chcą mieć pewność, że dziecko się nie pomyliło, kiedy mówi im, że jest gejem albo lesbijką. Od urodzenia je przecież obserwowali i przez lata postrzegali jako rozwijające się w kierunku heteroseksualnym, więc są zaskoczeni. Jest przecież w rozwoju faza homofilna, więc rodzice się zastanawiają – a może to ta faza z opóźnieniem trwa u mojego dziecka? Chcą wiedzieć, na czym stoją. Szukają informacji. Często przeprowadzam oparte na wywiadzie badanie, które ma sprawdzić, czy młody człowiek trafnie rozpoznaje swoją orientację. Oczywiście tylko i wyłącznie pod warunkiem, że sam zainteresowany wyraża na to zgodę, a to się wbrew pozorom całkiem często zdarza. 90% osób przyprowadzonych przez rodziców do mojego gabinetu trafnie odczytuje swoją orientację, ale w co dziesiątym przypadku zdarza się pomyłka.

Niestety nadal wielu rodziców oczekuje, że wyleczą ich dzieci z homoseksualizmu, ale są i tacy, którzy po zapoznaniu się z lekturami na ten temat i przejrzeniu informacji w internecie proszą tylko o przeprowadzenie badania diagnostycznego i deklarują pogodzenie się z faktem, jeżeli potwierdzi ono homoseksualizm ich dziecka. W ostatnich latach liczba rodziców oczekujących leczenia dziecka jest większa, pewnie dlatego, że ciągle wydawane są w Polsce książki i publikowane artykuły poświęcone „terapii reparatywnej”.

Istnieją bowiem całe ośrodki deklarujące zajmowanie się zmianą orientacji na heteroseksualną oraz chwalone się sukcesami w tej dziedzinie. Jestem przekonany, że opisywane sukcesy terapeutyczne dotyczą tylko osób o orientacji biseksualnej lub z różnymi zaburzeniami identyfikacji seksualnej, a więc z pozornym homoseksualizmem. Jeżeli nawet w wyniku „leczenia” człowiek o stuprocentowej orientacji homoseksualnej zacznie odbywać stosunki heteroseksualne, stworzy związek z osobą przeciwnej płci i będzie miał dzieci, nie znaczy to, że stał się osobą heteroseksualną. Nie da się zmienić uwarunkowań mózgowych. Ważne jest, z kim się

dobrze czuje, w jakich związkach chce się realizować, do kogo odczuwa pociąg seksualny. To bardzo złożone zagadnienia.

Dramatyczne bywają również historie małżeństw, w których żona oświadcza mężowi, że zakochała się w kobiecie i jest z nią szczęśliwa oraz odkryła po wielu latach, że jest lesbijką. Mąż protestuje, usiłuje pozbawić ją praw rodzicielskich. Nie ma miesiąca, aby nie zjawiali się ludzie z tego typu problemami. Mężowie szukający wyjaśnienia zaskakującego zachowania żon, żony proszące o pomoc w wyjaśnieniu, że ich orientacja jest naturalna, i pragnące przekonać mężów do pogodzenia się z sytuacją. Z najnowszych publikacji na ten temat wynika, że orientacja i tożsamość seksualna u mężczyzn jest bardziej trwała i niezmienna w porównaniu z kobietami.

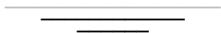
Ciągle jeszcze nie zaakceptowaliśmy homoseksualizmu. Zdarza się, że studenci zdający egzaminy testowe udzielają poprawnej odpowiedzi, wybierając jedną z kilku zaproponowanych, że są trzy pełnoprawne orientacje seksualne, ale dopisują z boku: „Ja się z tym nie zgadzam”. Miałem również do czynienia z sytuacją, kiedy jeden z kandydatów do sejmu został przez konkurenta nazwany

dewiantem z powodu orientacji homoseksualnej. Kandydat czuł się poszkodowany, odwołał się więc do sądu. Jako ekspert wydałem w tej sprawie opinię, powołując się na Światową Organizację Zdrowia, że homoseksualizm to nie dewiacja. Sąd orzekł, że nie podziela poglądów eksperta, bo na temat homoseksualizmu są różne opinie, również wśród naukowców.

Żaden polski seksuolog nie leczy dzisiaj z homoseksualizmu. Jest ich teraz w Polsce stu siedemdziesięciu, w tym kilku głęboko religijnych, ale nie uzewnętrzniają swoich poglądów w sprawie homoseksualizmu. Jeden jedyny raz zdarzyło się, że ktoś udzielił wywiadu i powiedział na ten temat coś niezgodnego z obowiązującą nauką. Gdy mamy zjazdy i sympozja, to nikt nie występuje z takimi poglądami, na egzaminach studenci również odpowiadają, jak należy. Ale co myślą w głębi ducha? Tego nie wiem.

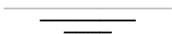
Ostatnie badania Zbigniewa Izdebskiego pokazują, że jedna trzecia Polaków chciałaby leczyć z homoseksualizmu – to więcej niż akceptuje osoby homoseksualne. Największa część ludzi nie ma zdania na temat gejów i lesbijek. Zapewne też nic o nich nie wiedzą.

# Z MLEKIEM MATKI





KIEDY MIAŁEM SZEŚĆ LAT, RODZICE WYBRALI SIĘ ZE MNĄ NA SPACER W MIEJSCE, GDZIE ZATRZYMYWAŁY SIĘ CYGAŃSKIE TABORY. LUBILIŚMY TAM CHODZIĆ – ROZMAWIALIŚMY Z CYGANAMI, PATRZYLIŚMY, JAK TAŃCZĄ I ŚPIEWAJĄ, RAZ NAWET BYLIŚMY ŚWIADKAMI WESELA. WTEDY WŁAŚNIE CYGANKA WSKAZAŁA MNIE PALCEM I POWIEDZIAŁA DO RODZICÓW: „DOCZEKACIE SIĘ, ŻE ZAMIESZKA W WARSZAWIE I BĘDZIE ZNANY”.



Wróżba rzeczywiście się spełniła, choć wtedy wydawała się niewiarygodna. Urodziłem się w czasie wojny, w 1943 roku, w prowincjonalnym, lecz urokliwym Sieradzu. Choroba matki sprawiła, że nie byłem karmiony piersią, a dokarmiały mnie niemieckie pielęgniarki z miejscowego szpitala, co było o tyle zaskakujące, że na ogół nie pały miłością do polskich dzieci. Efektem pobytu w piwnicy, gdzie rodzice schronili się przed bombardowaniami, było ciężkie zapalenie płuc, które ledwo przeżyłem. Gdy zakończyła się wojna, wyglądałem jak szkielet owinięty w skórę (problemów z nadwagą nie mam zresztą do dziś).

Być może będzie to dla wielu rozczarowaniem, ale nie mogę powiedzieć, że od zawsze interesowałem się seksem. Jeszcze bardziej może wielu czytelników zdziwić fakt, że byłem dobrym ministrantem i miałem łacinę w małym palcu, a sieradzcy księża widzieli mnie w przyszłości w sutannie. Nie odpuszczali nawet wtedy, gdy byłem już lekarzem i nosiłem wojskowy mundur. Na szczęście posłuchałem rady kościelnego, który słysząc te namowy, powiedział: „Zjedzą cię tam z twoimi poglądami na seks”. A skąd zainteresowanie tym właśnie tematem? Na pewno nie jest

to kwestia dziedziczna, bo nie ma w mojej rodzinie ani pasjonatów naukowego zainteresowania seksem, ani erotomanów czy seksualnych dziwaków. Rodzina jednak miała bardzo duży wpływ na moje poglądy i postawy dotyczące seksualności, relacji partnerskich czy po prostu miłości.

Piętrowa kamieniczka na ulicy Kolegiackiej 3, w której mieszkaliśmy, stoi w Sieradzu do dziś i doczekała się generalnego remontu wykonanego pod okiem konserwatora zabytków. Zajmowaliśmy pierwsze piętro – z korytarza wchodziło się do bardzo dużej kuchni; po lewej stronie był pokój dzienny, centrum życia rodzinnego, który pełnił funkcję gabinetu ojca, czytelnicy, biblioteki i miejsca wypoczynku dla całej naszej piątki. Drugi duży pokój z czasem zajął brat. Była jeszcze sypialnia rodziców i mała łazienka. To były wysokie, przestronne pomieszczenia – przedwojenny klimat.

Tata był nauczycielem, a mama nie pracowała zawodowo; mieli trójkę dzieci. Standard finansowy nie był wysoki – mniej więcej taki jak w domach moich kolegów. Ponieważ żyliśmy skromnie (od pierwszego do pierwszego), zaskakiwały mnie opowieści rodziców o

przedwojennych czasach – kamerdyner, samochód z szoferem, zagraniczne podróże. Mimo że sytuacja materialna rodziców bardzo się po wojnie pogorszyła, zachowali pogodę ducha. Gdy wspominali stare czasy, nigdy ani nie narzekali, ani nie rozpamiętywali przeszłości. Dopiero wiele lat później zrozumiałem, jak wielkiej degradacji doświadczyli, i nie wiem, czy sam potrafiłbym coś podobnego znieść równie dobrze jak oni.

Ze wszystkich miejsc w naszym mieszkaniu najbardziej lubiłem gabinet, gdzie miałem półkę z książkami, szafkę i biurko. To był mój świat – tu spędzałem najwięcej czasu i tu toczyło się życie rodzinne. Popołudnia spędzaliśmy razem. Tata siedział przy biurku i sprawdzał prace – był polonistą, zawsze miał więc sporo klasówek do ocenienia. Jeśli nie poprawiał sprawdzianów, to czytał książki, pisał wiersze albo malował – piórkiem, akwarelami i olejem. Cały czas był zajęty! Mama, kiedy nie przygotowywała posiłków, przeglądała czasopisma. Chętnie sięgała po magazyny takie jak „Dookoła Świata”, które przybliżały jej kraje, jakich nie mogła zwiedzać. I tak siedzieliśmy sobie w trójkę – mama przy stole rozkładała gazety, tata przy swoim biurku czytał, a ja przy swoim odrabiałem lekcje. Tak wyglądało nasze

spokojne i szczęśliwe rodzinne życie.

Struktura społeczna Sieradza była hierarchiczna, ale na jej czele nie stali partyjni urzędnicy, tylko inteligencja: lekarze, nauczyciele, prawnicy, ostatni ziemianie i arystokracja. To oni siedzieli w pierwszych ławkach podczas niedzielnej mszy świętej – tam też było moje miejsce jako syna profesora liceum i niemal narzeczonego bratanicy proboszcza. W Sieradzu miałem szczęście poznać naprawdę interesujących księży, takich jak choćby ksiądz Wieczorek, kapelan sióstr urszulanek, który był obdarzony specyficznym poczuciem humoru. Ot, choćby w dniu uroczystego odsłonięcia namalowanej na ścianie sceny Sądu Ostatecznego pocieszał wiernych, że potępionych jest dlatego więcej, że taka jest akurat konstrukcja ściany, a nie teologiczna prawidłowość. W zakresie seksualności był zapewne łagodny, skoro przed jego konfesjonałem zwykle kłębiło się mnóstwo młodzieży, a spowiedź trwała krótko.

Korzenie rodziny Starowiczów tkwią w miejscowości Starowicze w pobliżu Kijowa. W centralnej Polsce zjawili się w połowie XIX wieku. Dziadek Jan Witold Starowicz był dyrektorem administracyjnym fabryki włókienniczej Leonhardta, Woelkera i Girbardta w Łodzi. Poślubił

potomkinię Kickich i Potockich – moją przyszłą babcię Natalię, piękną kobietę. Stojąca przy ulicy Piotrkowskiej 292 kamienica „Pod Górale” została wybudowana właśnie przez niego. Na każdym piętrze można było trafić na popiersie jakiegoś wybitnego Polaka, bo dziadek był wielkim patriotą – nie chciał, aby jego dzieci poddawane były rusyfikacji, więc wysłał je do szkoły w austriackim wówczas Krakowie. Był też twórcą, dowódcą i instruktorem VII Oddziału Straży Ogniowej, w którym służyli tylko Polacy i który za jego sprawą mógł się poszczycić znakomitym wyposażeniem. Gdy Jan Witold Starowicz zmarł w 1923 roku, został pochowany w mundurze strażaka, a na jego pogrzeb zjechali do Łodzi strażacy z całej Polski.

W czasach stalinowskich mój tata bardzo niechętnie opowiadał o swej młodości. Nic dziwnego, bo mogło to spowodować na niego tylko kłopoty. W czasie II wojny światowej został wyrzucony ze swojego łódzkiego mieszkania i przeniósł się do Sieradza, gdzie poznał mamę. Jako kawalerzysta brał udział w wojnie 1920 roku – wtedy życie uratował mu wróg, który strącił go z konia, ale nie zadał śmiertelnego ciosu. W czasie II wojny światowej w

zapewnieniu bezpieczeństwa dla siebie i rodziny pomogła mu znajomość języka i literatury niemieckiej, która ułatwiła kontakty z kulturalnym Austriakiem i zdobycie posady księgowego w należącej do niego firmie.

Tata od przedwojennych czasów uczył w liceum języka polskiego i rysunku. Nie dbał o karierę, bardziej interesowała go uwielbiana przez niego literatura skandynawska czy rosyjska lub folklor ziemi sieradzkiej. Cieszyły go procesje w lokalnych ludowych strojach, a propozycję objęcia stanowiska dyrektora liceum za cenę zapisania się do PZPR wielokrotnie odrzucał. Ludzie pamiętają go jako wyrozumiałego człowieka o wielkim sercu i z wielkim poczuciem humoru. Zawsze wiedziałem, w której klasie miał lekcję, bo już na korytarzu słychać było salwy śmiechu. Wciąż żartował, choć nauczycielem był wymagającym – żeby dostać piątkę, trzeba było naprawdę zasłużyć. Mimo to uczniowie bardzo go lubili. Z wzajemnością, bo nawet po przejściu na emeryturę pracował w szkolnej bibliotece, żeby mieć z nimi kontakt. Wielu z nich było na jego pogrzebie, gdy sieradzki proboszcz Apolinary Leśniewski nazwał mojego ojca „ostatnim wielkim romantykiem”.

Mama miała na imię Adamina, ale mimo tego odmęskiego imienia była zdecydowanie kobieca. W młodości słynęła z urody. Mógłbym być wobec tej opinii sceptyczny, gdybym usłyszał ją tylko od zakochanego w niej ojca, ale potwierdziło to wiele innych osób. Pochodziła z rodziny Skrzypińskich, od pokoleń mieszkającej w okolicach Sieradza. Mama była osobą tolerancyjną, bardzo pogodną i optymistycznie nastawioną do życia. Wiele czasu poświęcała rodzinie – mężowi i trójce dzieci – co manifestowało się między innymi w kuchni. Dziś potrawy, które wychodziły spod ręki mamy, mogłyby przypisać o grozę dietetyków tropiących nadmiar cholesterolu. Mama uważała za podstawę kuchni śmietanę i dodawała ją do wszystkiego. A ponieważ nie tylko lubiła gotować, ale i zjeść, to śmietanę pochłaniała szklankami (a była to śmietana trzydziestoprocentowa, w której łyżka stawała na baczność!). I tak na naszym stole lądowały wyśmienite sosy, kopytka, pyzy, żurek, zalewajka, rosół czy pomidorowa. Nie brakowało ryb, mięs i drobiu, a na koniec deseru. Jeśli ktoś myśli, że była to zabójcza dieta, to grubo się myli – moja mama nigdy nie miała kłopotów z cholesterolem i zmarła w wieku dziewięćdziesięciu dziewięciu lat. Do końca życia, gdy tylko skądś



przyjeżdżałem, pytała, jakie tam było jedzenie.

Kiedy myślę o moich rodzicach, przed oczami staje mi taki obrazek: idą na spacer, trzymają się za ręce... Tata był zakochany w mamie do końca życia i zawsze okazywał jej wiele czułości. Uwielbiali chodzić do kina. Co tydzień w sieradzkim kinie były dwie premiery i rodzice bardzo chętnie w nich uczestniczyli. Oglądali wszystko, nawet radzieckie filmy o kołchozach, a tata powtarzał, że z najgorszego nawet filmu można wyciągnąć coś ciekawego. Bawiła ich prymitywna propaganda i zaśmiewając się do łez, opowiadali mi takie sceny: Syberia, para zakochanych spaceruje, mostek, pełnia księżyca.

Ukochana mówi: – O czym myślisz?

On odpowiada: – O światowym komunizmie.

Bawiło ich to bardziej niż najlepsza komedia!

Kiedy tata zmarł, mama nie wyobrażała sobie, że mogłaby być z kimś innym. Chociaż krytykowała go za bujanie w obłokach, naiwność i wydawanie pieniędzy na książki (w miejscowej księgarni ojciec miał na zapleczu specjalną półkę, na której odkładano dla niego nowości – podobnie będzie później ze mną!), to była przekonana, że nigdy nie znajdzie mężczyzny z taką klasą i tak

uczuciowego. Oczywiście nigdy nie zwierzałem mi się ze swojego życia seksualnego, ale z różnych sygnałów domyślałem się, że byli zmysłowi, obdarzeni dużym temperamentem i zadowoleni z tej sfery życia.

Pomiędzy mną a moim rodzeństwem była duża różnica wieku (brat był starszy o trzynaście, a siostra o piętnaście lat), więc głębsze relacje między nami powstały, gdy byłem już dorosły. Zawsze czułem się przez nich kochany, ale różnica wieku sprawiała, że długo trudno było mówić o wspólnych zainteresowaniach. Mimo to brat zawsze się mną opiekował – trenował boks, więc sieradscy chuligani bali się go i zazwyczaj mnie nie zaczepiali. W końcu rodzeństwo zaczęło zabierać mnie na tańce. To było coś! Grała prawdziwa orkiestra (dziewięciu czy dziesięciu muzyków z łódzkiego hotelu, trąbki, saksofony, wszystko, co trzeba!), a ja obtańcowywałem dziewczyny mojego brata. Swoją drogą, przez jedną z nich miałem nieliczne kłopoty. Była nauczycielką i kiedy brat ją rzucił, zaprosiła mnie do pokoju nauczycielskiego, gdzie wprost powiedziała, że nie będzie mi lekko, skoro jestem bratem kogoś takiego. Rzeczywiście, musiałem uczyć się więcej niż inni, ale dałem radę. To była cenna lekcja – jak wiemy z literatury: nie ma większej furii

niż gniew wzgardzonej kobiety.

Ojciec miał zamiłowanie do oryginalnych imion, które musiał wygrzebywać gdzieś w literaturze. I tak moja siostra to Alma Tomira, a brat nazywał się Maur Sulimir. Przed nadaniem mi równie oryginalnego imienia ojca powstrzymała okupacja. Niemcy stworzyli spis imion, które Polacy mogli nadawać dzieciom i nie było wśród nich niczego wyjątkowego. W tej sytuacji ojciec nadał mi dokładnie takie imiona, jakie nosił on sam – Zbigniew Kazimierz. Nie mógł wtedy wiedzieć, że za kilka lat jego imieniem i nazwiskiem będą opatrywane artykuły i książki poświęcone seksuologii.

Lew to nie imię, tylko herb. Tata tłumaczył mi, że został nadany naszej rodzinie za zasługi dla kraju. Nie mogłem go używać w czasach komunistycznych, zresztą herby i tytuły szlacheckie zostały zniesione w Konstytucji marcowej w 1921 roku, więc kiedy studiowałem w Wojskowej Akademii Medycznej, w indeksie figurowałem jako Zbigniew Starowicz, również część moich książek podpisana jest samym nazwiskiem. Natomiast moje rodzeństwo zawsze „Lwa” używało, brat nawet dwukrotnie nie dostał się na studia z jego powodu. Ciągłe słyszał jakies

komentarze na ten temat, stale ktoś się do niego przyczepiał, dlatego – nauczony ich doświadczeniem – do mojego nazwiska przywróciłem herb dopiero wtedy, kiedy były do tego warunki.

## SKĄD TAKI WYBÓR?

W małym Sieradzu mój wybór specjalizacji wzbudził ogromne zaskoczenie. Nikogo nie dziwiło ani to, że wybrałem medycynę, ani nawet to, że zająłem się psychiatrią. Dopiero „ta seksuologia”! Ludzie pytali rodziców, co się stało. Zawód miłosny? Jakieś nieszczęście? Czemu on się zajmuje tym seksem? Rodzice śmiali się, gdy słyszeli te pytania, a moja mama odpowiadała, że Starowicze od zawsze byli namiętni, a ja te zainteresowania wyssałem z mlekiem matki.

Rzeczywiście, mama była pozbawiona pruderii i traktowała naturalnie sprawy seksu, choć zawsze wiązała go z miłością. Tata również często rozmawiał ze mną o seksie, ale nie czynił tego wprost. Skupiał się na tym, co cenią sobie kobiety. To od niego dowiadywałem się, że większość bardzo lubi, kiedy mężczyzna jest czuły, lubi pieszczoty. Tata cieszył się też, kiedy spędzałem wieczory ze swoimi sympatiami. Jeśli więc w sobotni wieczór zostawałem w domu z książką, był niemal zaniepokojony: „Dlaczego nie masz dziewczyny? Czemu nigdzie nie idziesz? O co chodzi?”.

Nie od razu jednak zaakceptowali to, że ich syn zajmie

się seksuologią. Do mojej decyzji o wyborze specjalizacji podchodzili dość nieufnie, bo mieli nadzieję, że syn zostanie może internistą czy kardiologiem i będzie mógł im pomóc w ich chorobach, jeśli kiedyś się jakieś pojawią. Psychiatrię zaakceptowali łatwiej, bo w pobliżu Sieradza był szpital psychiatryczny, więc znali lekarzy psychiatrów choćby z życia towarzyskiego. Jednak seksuologia jako dziedzina medycyny dopiero się rozwijała, więc rodzice bali się, że przyniesie mi ona więcej kłopotów niż sukcesów. Obawiali się, że będę krytykowany zarówno przez Kościół, jak i władze. Mówiąc krótko, uważali, że wybrałem dziwaczny kierunek. Mama pytała mnie, czy dam radę wyżywić rodzinę.

Stopniowo jednak ich obawy się rozwiewały. Kiedy w tygodniku „ItD” zaczęły pojawiać się moje artykuły na temat seksu, mama czytała je zawsze z zainteresowaniem, podobnie jak moje książki. Często bywała zaskoczona, że ludzie mogą mieć tak bardzo różne problemy i dziwaczne zachowania seksualne. Interesowało ją, czy moi pacjenci nie mają oporów przed zwierzeniami. Tata również czytał moje prace i poważnie traktował to, co robię. Uważał, że zadaniem lekarza jest promowanie edukacji seksualnej, i

czułem jego wsparcie.

Skąd jednak pociąg do tej dziedziny wiedzy? Sam zastanawiałem się nad tym wielokrotnie i poszukiwałem w bliższej lub dalszej rodzinie osób, po których mogłem odziedziczyć zainteresowanie seksuologią.

Pierwszym kandydatem mógłby być najbardziej egzotyczny członek mojej rodziny – Chen Chik Fen, mąż ciotki Jadwigi. Był rodowitym Chińczykiem, który przed II wojną światową pracował w chińskiej ambasadzie. Zakochał się w Polsce i Łodzi, gdzie zamieszkał wraz z ciotką i dwójką dzieci. Był tam dyrektorem delikatesów, a potem właścicielem sklepu obuwniczego. Mimo wielkiej tęsknoty za ojczyzną i rodziną nigdy nie zdecydował się na wyjazd do Chin, bo bał się, że nie będzie mógł wrócić do Polski. Kiedy więc tylko przyjeżdżała do Polski grupa chińskich artystów operowych czy muzyków, zawsze wybierał się na ich występy. Ciotka nie chciała na nie chodzić, więc wujek przekonał mnie kiedyś, żebym mu towarzyszył. Wtedy zrozumiałem, czemu ciotka wolała zostać w domu – spektakl trwał niewiarygodnie długo, nic nie rozumiałem i wierciłem się z nudów. Wujek płakał ze szczęścia, a ja ledwo byłem w stanie wytrzymać. Od tej

pory trzymam się z dala od chińskiej opery.

Istnieje powszechne przekonanie, że chiński erotyzm jest niezwykle wyrafinowany, a chińska *ars amandi* bogata. W trakcie zbierania materiałów do książek poświęconych erotyce orientalnej próbowałem więc zachęcić wujka Fena do zwierzeń na ten temat. Wujek nie dość, że milczał jak zaklęty, to jeszcze udawał, że nic nie słyszy. Zapytałem wprost: „Wujku, a jak w twojej rodzinie były traktowane sprawy seksu?”.

Był oburzony, że zadaję takie intymne pytania wprost. Parał się ziołolecznictwem, więc bezskutecznie próbowałem się dowiedzieć od niego czegoś na temat afrodyzjaków. Nie da się ukryć, że milczenie wujka było sporym rozczarowaniem. Pomyślałem, że wujek zawdzięcza swoją pruderię długiemu pobytowi w Polsce, ale niedawno odkryłem, że współczesne podejście Chińczyków do seksu jest dokładnie takie samo, a ich bujny erotyzm to już historia.

Wielkim powodzeniem u kobiet cieszył się wujek Józef, brat mamy. Jednak nie zabawiał mnie historiami miłosnych podbojów, a moje zainteresowanie seksuologią raczej go bawiło, choć był dumny z moich książek. Wujek Józef



był dla mnie bohaterem: przedwojenny kawalerzysta, podpułkownik AK odznaczony Virtuti Militari za zasługi w czasie Powstania Warszawskiego. Jego żona Sonia była wyznania prawosławnego, a z kolei jego brat Tadeusz poślubił luterankę. W ich domu miałem z kolei okazję poznać luterańskie cnoty, a nie znaleźć pożywkę dla swoich zainteresowań. Jednak rodzina mamy dała mi cenną lekcję wielowyznaniowości i wielokulturowości.

Ojciec miał trzech braci i siostrę. Wszyscy mieli bardzo udane małżeństwa, ale ich losy układały się różnie. Stryj Leszek i jego żona Żydówka cudem przetrwali okupację. Stracili cały majątek na łapówki, które w czasie wojny ocaliły im życie. Z kolei stryj Mieczysław z Krakowa zakochał się w kuzynce i aby ją poślubić, musiał uzyskać zgodę na ślub od biskupa. Choć skończył medycynę, to zaczął studiować filologię klasyczną. Po tych ekscesach wiódł z żoną wzorowe życie krakowskiego mieszczanina, który w każdą niedzielę elegancko ubrany idzie do cukierni przy Rynku na kawę i ciastka. Nic dziwnego, że do wujka bardziej od mojej seksuologii przemawiał mundur wojskowego. Seks i piękne kobiety cenił za to stryjek Zdzisław, ale to nie jemu zawdzięczam swoje

zainteresowania – stryjka, niestety, nie pamiętam prawie wcale, bowiem zmarł, kiedy byłem dzieckiem.

A jak ja sam radziłem sobie z seksem? Małe miasta, takie jak Sieradz, nie dawały dużych szans na otwartość w tej kwestii. Chłopcy pokazywali sobie w ukryciu „pornografię”, która w porównaniu z tym, co dziś można znaleźć w sieci, była śmieszna i uboga – ot, kilka zdjęć nagich kobiet i par w pozycji klasycznej.

Zachowania młodzieży były wtedy zupełnie inne. Jednak skwapliwie umawialiśmy się na wspólne odrabianie lekcji – w końcu trzeba było się przygotować do małej matury, normalnej matury, kolejnych egzaminów... Zbieraliśmy się w osiem czy dziesięć osób i najpierw rzeczywiście była nauka, ale w pewnym momencie towarzystwo rozchodziło się gdzieś po kątach... Nie były to oczywiście żadne orgie, raczej nazwijmy to pieszczotami na do widzenia. Owszem, zdarzały się w szkole koleżanki z bujnym temperamentem, ale nawet ci, którzy spędzili z nimi noc, nie mieli o nich dobrego zdania.

Organizowaliśmy też czasami prywatki. W niektórych domach rodzice zachowywali się jak cerberzy, a w innych dyskretnie znikali i dawali znać, o której wrócić. U mnie w

domu tata po prostu otwierał drzwi do pokoju i wszyscy wiedzieli, że oznacza to koniec imprezy i czas się rozejść. W przeciwieństwie do zabaw tanecznych w szkole, przy tańcu nie trzeba było zachowywać dystansu, którego pilnowali nauczyciele. Przychodziło się na prywatki z sympatią lub aby kogoś poznać. Już wtedy zacząłem się orientować, jakie dziewczyny mi się podobają – powiedzmy może tak: preferuję kobiety kobiece, aerodynamiczne, nieprzejawiające skłonności do dominacji, inteligentne, wesołe, lubiące taniec, filmy i książki.

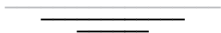
Oprócz wspólnego odrabiania lekcji i prywatek mieliśmy też w liceum zabawy taneczne, które zawsze wyglądały tak samo: przy jednej ścianie stali chłopcy, przy drugiej dziewczęta. Chłopcy wybierali koleżanki do tańca, ale aby dać szansę tym, które miały mniejsze powodzenie, zapowiadano „białe tango” i wtedy do stojących chłopców podbiegały dziewczyny. Jak już wspomniałem, nauczyciele pilnowali dystansu między tańczącymi, więc pieszczotom bardziej sprzyjało kino. Ale i tu były spore ograniczenia: młodzież szkolna nie była wpuszczana na ostatnie seanse o ósmej wieczorem. Jeśli nawet udało się jakoś przekonać surowego kontrolera, to na widowni można było trafić

na nauczyciela, co groziło połajankami i obniżeniem oceny ze sprawowania.

Jednak nawet w tamtych czasach młodzież miała dostęp do edukacji seksualnej. Na własnej skórze poczułem wtedy, jak działa edukacja typu awersyjnego, czyli straszenie skutkami. Do liceum przychodził miejscowy lekarz i straszył nas chorobami przenoszonymi drogą płciową, które wówczas zwano wenerycznymi. Wielkie tablice przedstawiające zmienione chorobowo twarze, genitalia i skórę rzeczywiście budziły grozę i być może na pewien czas oddalały grzeszne myśli, ale już wtedy wiedziałem, że ta metoda nie jest skuteczna.

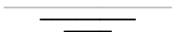
Sieradz opuściłem po maturze, gdy miałem siedemnaście lat. Tutaj spędziłem dzieciństwo, chodziłem do szkoły, poznałem pierwsze sympatie. Na cmentarzu spoczywają moi rodzice i wiele bliskich mi osób. Wciąż mieszka tu moja bratowa, która niedawno wyprowadziła się z naszego rodzinnego domu. Pozostały tylko wspomnienia... Co ciekawe, w późniejszych latach objechałem ze spotkaniami niemal wszystkie miasta Polski. Wszystkie, oprócz Sieradza. Wygląda to na nieodwzajemnioną miłość.

# MUNDUR



1 SIERPNIA 1960 ROKU WŁOŻYŁEM MUNDUR.

ROZPOCZYNAŁEM STUDIA W WOJSKOWEJ  
AKADEMII MEDYCZNEJ. BYŁO MI TROCZĘ GORĄCO –  
MOCNO GRZAŁO SŁOŃCE, MUNDUR BYŁ WEŁNIANY  
(NIKOMU SIĘ NIE ŚNIŁY WSPÓŁCZESNE  
ODDYCHAJĄCE TKANINY), A WOJSKOWE BUCIORY  
BARDZO CIĘŻKIE. NA UCZELNIĘ ODWIÓZŁ MNIE  
WZRUSZONY OJCIEC.



O tym, że zostanę lekarzem, postanowiłem już w szkole średniej. Z jednej strony z ciekawością słuchałem opowieści lekarzy, których poznałem w Sieradzu, a z drugiej pochłaniałem popularnonaukowe książki poświęcone psychologii. Było już trochę publikacji na temat, który mnie fascynował – jak wzajemnie wpływają na siebie psychika i ciało. Szukałem sposobu połączenia medycyny z psychologią i uważałem, że takiego wspólnego punktu brakuje. Jedna dziedzina skręca w prawo, druga w lewo, a ja chciałem pójść prosto – tam, gdzie był człowiek. Oczywiście nie wiedziałem jeszcze, że chcę zajmować się seksuologią. Trudno, aby tak było, skoro nie istniała wtedy jeszcze taka specjalizacja lekarska.

Czemu wybrałem akurat Wojskową Akademię Medyczną (WAM) w Łodzi? Bliskie mi były wojskowe tradycje, ciągle miałem przed oczami fotografie ojca i stryja w mundurze. Do naszego domu często przychodzili oficerowie, bo ojciec był również wykładowcą języka polskiego w Oficerskiej Szkole Łączności Przewodowej w Sieradzu oraz w Liceum Wieczorowym dla oficerów garnizonu w Sieradzu. Co roku w maju wojskowy samochód zabierał go do koszar. Oficerowie z wysokimi

szarżami, a nawet generałowie, musieli zdawać maturę. Powojenne powiedzenie „nie matura, lecz chęć szczerą...” straciło bowiem na aktualności. Przez egzamin dojrzałości musiał przejść każdy polski oficer. Rajskie życie obiecywał mi pułkownik o nazwisku Raj. Pamiętam do dzisiaj jego rozmowę z ojcem: „Jeśli pana syn pójdzie na WAM, to będzie miał jak w raju”.

Dodatkowym argumentem przemawiającym za wyborem wojskowej uczelni były też kwestie finansowe. Nie mogłem liczyć na wsparcie rodziców. Gdybym poszedł do cywilnej Akademii Medycznej, pewnie dostałbym w końcu jakieś stypendium, ale początki byłyby zapewne bardzo trudne. Tymczasem na WAM był żołąd – studenci dostawali pensję. Mało tego, pensja lekarza wojskowego była już na starcie trzy razy wyższa niż pensja lekarza cywilnego. Dlatego bardzo trudno było się dostać na te studia – w roku, w którym ja zdawałem egzaminy wstępne, na jedno miejsce przypadało dziesięciu kandydatów.

Wszystko wskazywało na to, że WAM będzie dla mnie najlepszym wyborem, i nagle pojawiła się przeszkoda – mój wiek. Nie miałem jeszcze skończonych siedemnastu lat. Do szkoły podstawowej poszedłem w wieku niespełna



sześciu lat, bo pobyt w przedszkolu mnie nudził. Któregoś razu po prostu wszedłem do szkoły podstawowej, w której uczył mój tata, usiadłem w ławce i poczułem się uczniem. Nauczyciele spytali ojca, co mają zrobić z tym fantem. Postanowiono: niech sobie Zbyszek siedzi w ławce, aż mu się to znudzi. Nie znudziło się i zostałem w szkole, więc do egzaminów na studia również miałem przystąpić o rok wcześniej.

Po naradzie ze znajomymi oficerami ojciec napisał podanie do ministra obrony narodowej, prosząc, żeby pozwolił mi przystąpić do egzaminów w WAM. W piśmie powołał się na to, że jest wykładowcą w Oficerskiej Szkole Łączności w Sieradzu. Odpowiedź była pozytywna, a ja wkrótce zostałem najmłodszym podchorążym.

Nadchodziły trudne czasy. Kończył się okres październikowej odwilży i z roku na rok zaczęto ograniczać swobodę praktyk religijnych. Widok żołnierzy udających się w mundurze i całymi kompaniami do kościoła miał odejść w przeszłość i nie wracać przez długie lata. Kiedy w 1971 roku przyjechałem do Sieradza z Warszawy, już jako znany seksuolog, miałem na sobie wojskowy mundur. Służąc do mszy jako ministrant, włożyłem komżę, tak jak robiłem

to lata wcześniej. Wszyscy byli zaskoczeni, szedłem w procesji i widziałem wścibskie spojrzenia. Czułem się jak na wybiegu w cyrku. Nie chciałem ani o nic walczyć, ani niczego udowadniać, ale moi koledzy ze studiów sądzili, że swoim zachowaniem chcę sprowokować przełożonych, żeby wyrzucili mnie z wojska. Żyłem z pewnością w mocno wyidealizowanym świecie, skoro połączenie munduru i komży wydawało mi się zupełnie naturalne. Byłem ministrantem prawie do trzydziestego roku życia.

Jeszcze na początku studiów, kiedy przyjeżdżałem do Sieradza, mundur nikogo nie kłuł w oczy. Zresztą w tamtych czasach studenci WAM nie mieli prawa chodzić po cywilnemu, więc gdybym poszedł do kościoła bez munduru, złamałbym zasady. Każda decyzja była zła: zastępca rektora WAM do spraw politycznych zakazał podchorążym chodzić w mundurze do kościoła, a jednocześnie nie wolno nam było przebierać się w strój cywilny. Oficerowie polityczni zwiększali naciski i coraz więcej kolegów wstępowało do PZPR – w dniu ukończenia studiów poza mną jedynie trzech kolegów nie było członkami partii.

## GORĄCA DYSKUSJA

Poziom studiów lekarskich był bardzo wysoki, a szpitale wojskowe w Łodzi uchodziły za elitarne, świetnie wyposażone i z doskonałą kadrą. Poza przedmiotami medycznymi mieliśmy również zajęcia typowo wojskowe oraz kursy polityczne – na pierwszym roku była to historia ruchu robotniczego, a potem: ekonomia polityczna, historia wojska, filozofia marksistowska, psychologia i pedagogika socjalistyczna. Wśród wykładowców tych przedmiotów zdarzały się świetne osoby – na przykład major, który wykładał filozofię, nie ukrywał prawdy o Katyniu. Chciał prowadzić ciekawe zajęcia, więc postanowił zaaranżować dyskusję na temat racjonalności i irracjonalności. Ponieważ wiedział, że jestem związany z Kościołem, poprosił mnie o przybliżenie stanowiska osób wierzących i przedstawienie ich światopoglądu. Z kolei mój kolega, który dzisiaj jest profesorem w Warszawie, miał przedstawić marksistowski punkt widzenia.

Zastanawiałem się, jak się przygotować do tej dyskusji. Mój konkurent dysponował bogatą literaturą – wystarczyło, że wszedł do uczelnianej czytelnicy. Ja nie miałem niczego. Wpadłem na pomysł, żeby poprosić o pomoc łódzkiego

biskupa Michała Klepacza, filozofa i byłego profesora uniwersytetu w Wilnie. Poszedłem do niego w mundurze, przedstawiłem się i przedstawiłem problem. Biskup przyjął mnie niezwykle serdecznie i wspomógł zarówno rozmową, jak i materiałami.

W końcu nadszedł dzień dyskusji. Przysłuchiwać mógł się każdy – obecny był cały mój rocznik, przyszli również przedstawiciele politycznych władz uczelni. Kolega przedstawił swój punkt widzenia, a ja swój. Dyskusja była zawzięta i wciągająca, ale przerwał ją prorektor do spraw politycznych, gdy dostrzegł, że strona niemarksistowska ma szansę wygrać. Nakazał milczenie. Choć nie traktowałem tego jako wojny ideologicznej, byłem świetnie przygotowany. Uważałem, że dyskusja musi być na takim poziomie, żeby słuchacze mogli wyciągnąć z niej własne wnioski. Okazało się jednak, że przygotowałem się zbyt dobrze.

Powiało strachem. Wszyscy myśleli, że mnie wyrzucą z uczelni. Moi koledzy zrobili gazetkę z satyrycznym rysunkiem, na którym ja występuję w sutannie, a pułkownik wytyka mnie palcem i rozkazuje: „Milczeć!”. Autor tego rysunku miał przykrości, jego również wezwano

na dywanik. Zgodnie z najczarniejszym scenariuszem mogli mnie zesłać jako podchorążego do jednostki wojskowej – zostałbym wtedy sanitariuszem i nie ukończył studiów medycznych. Ostatecznie skończyło się tylko zakazem udziału w dyskusjach. Nie mogłem się w nich udzielać, nie mogłem na nie przychodzić – rozkaz milczenia.

Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się, że uratowali mnie profesorowie. Podobno w rozmowie z moim dowódcą prorektor do spraw politycznych wyraził przypuszczenie, że moja katolicka gorliwość zapewne wynika z życia w celibacie, i zachęcał do umożliwienia mi znajomości z dziewczynami. Cóż było robić... Skwapliwie wykorzystywałem tę zachętę.

## ZA MUNDUREM...

Życie w koszarach to specyficzne doświadczenie. Stłoczeni w jednym miejscu młodzi mężczyźni w wieku największej pobudliwości seksualnej odczuwali naturalne potrzeby kontaktów z kobietami. Najbardziej wyczekiwany dzień tygodnia była sobota. W pobliskim miasteczku studenckim znajdowały się akademiki pełne dziewcząt. Najładniejsze były studentki kierunków humanistycznych i to z nimi chodziliśmy na sobotnie tańce. W poszukiwaniu miłych dziewcząt zaglądałem również do duszpasterstw akademickich. Zawsze w mundurze, który dodawał mi atrakcyjności.

Jedno z duszpasterstw znajdowało się w pobliżu WAM, przy kościele Świętej Teresy. Jako stały bywalec zacząłem w nim organizować wieczorki taneczne. To doprowadziło prorektora do spraw politycznych do furii i wydał mi kolejny zakaz – tym razem kontaktowania się z tym środowiskiem. Drzwi kościoła strzegli oficerowie polityczni w cywilu, którzy pilnowali, żeby studenci WAM nie wchodzili na parafialne zabawy. Na szczęście, dla mnie to nie był problem, bo w tamtym czasie miałem już narzeczoną.

Małgorzata mieszkała we Włocławku, ale wakacje, święta i ferie spędzała w Sieradzu u swojego wujka, który był naszym proboszczem. Byłem ministrantem, a ponieważ proboszcz mnie lubił, czasami zapraszał do siebie na kolacje i właśnie podczas jednej z nich poznałem swoją przyszłą narzeczoną. To była inteligentna, pomysłowa, dowcipna i atrakcyjna dziewczyna. Miała zwariowane pomysły: pamiętam, że pewnego razu kupiła osiem biletów do kina dla znajomych, ale nie w jednym rzędzie, tylko w pionie, jedna osoba przed drugą. Parą byliśmy przez kilka lat, ale nie spędzaliśmy ze sobą zbyt wiele czasu, bo byłem skoszarowany. Widywaliśmy się więc latem, podczas Wielkanocy i Bożego Narodzenia; czasami, kiedy dostałem przepustkę, to z Łodzi jechałem ją odwiedzić we Włocławku, ale to zdarzało się raczej rzadko. To był dobry związek, który mógł zakończyć się małżeństwem, spędzaliśmy ze sobą jednak tak mało czasu, że w końcu się rozstaliśmy. Niestety, tylko potwierdziliśmy wyniki badań: związki na odległość są narażone na rozstania.

Z koszar WAM wychodziliśmy w mundurach. Łatwo można było poznać, z którego jesteście roku studiów: świadczyły o tym paski na rękawie munduru oraz stopień

wojskowy – na pierwszym roku mieliśmy stopień szeregowego, a na każdym kolejnym byliśmy o stopień wyżej, aż do sierżanta. Szarża była bardzo ważna dla dziewcząt – podchorążowie z pierwszego i drugiego roku nie budzili u nich specjalnego zainteresowania. Prawidłowość była prosta: im więcej pasków, tym większe powodzenie. Wszyscy doświadczaliśmy na własnej skórze prawdziwości badań Davida M. Bussa, opublikowanych w książce *Ewolucja pożądania. Jak ludzie dobierają się w pary*. Buss podkreślał, że pozycja społeczna – ta obecna i ta przewidywana – to ważny składnik atrakcyjności mężczyzny. Widziałem, jak wraz z kolejnymi paskami na mundurze rosło moje powodzenie u dziewcząt.

W robotniczej Łodzi WAM miała spory prestiż. Poważaniem cieszył się zarówno mundur, jak i zawód lekarza, nic więc dziwnego, że im starszy rocznik, tym więcej studentów miało narzeczone. Zgodnie z przepisami nie wolno nam było wprawdzie zawierać małżeństwa do czasu zakończenia studiów, ale w obliczu nieplanowanych ciężarów dowództwo wydawało kolejne pozwolenia na kolejne śluby. W chwili zakończenia studiów pozostało na moim roku trzech kawalerów, a wśród nich i



ja. Szybko miało się to zmienić.

Ja w planach miałem jeszcze studia psychologiczne, a poza tym byłem najmłodszy z całego roku – kiedy kończyłem studia, miałem dwadzieścia trzy lata. Byłem bardzo młody i nie spieszyłem się do ołtarza, natomiast dziewczyny, z którymi się spotykałem – wprost przeciwnie, były bardzo chętne. Kilka spotkań, kilka randek i już zaczynały się odpowiednie sugestie. Kiedy jednak widziałem parcie na małżeństwo, od razu się zniechęcałem. Presja była bardzo silna, bo i czasy okrutne – jeśli kobieta do dwudziestego piątego roku życia nie znalazła męża, to zostawała starą panną.

No i na koniec studiów zostało nas trzech.

W czasie studiowania w WAM najbardziej interesowała mnie psychiatria. Postanowiłem zostać psychiatrą ukierunkowanym na psychosomatykę, zaburzenia nerwicowe i seksualne. O wyborze seksuologii zdecydowały zaś wykłady z niej, prowadzone na piątym roku przez doktora Kazimierza Imielińskiego, późniejszego profesora i założyciela pierwszej naukowej placówki seksuologicznej w Warszawie. WAM była jedyną uczelnią w Polsce, w której seksuologia wykładana była jako

przedmiot. Dzięki tym zajęciom ostatecznie skryształizowały się moje zawodowe zainteresowania.

## SEKSUOLOGIA A SPRAWA POLSKA

Zostałem seksuologiem w kraju, w którym seksuologia od początku była traktowana poważnie. Choć trudno w to uwierzyć, w Europie są tylko trzy kraje, gdzie lekarz może uzyskać specjalizację z seksuologii – Polska zalicza się do tej właśnie trójki. W pozostałych seksuologia jest tylko jednym z odłamów psychologii. W Unii Europejskiej dopiero teraz przygotowuje się program kształcenia seksuologów, którzy będą certyfikowani.

Tymczasem u nas seksuologia ma pół wieku tradycji, co zawdzięczamy profesorowi **Tadeuszowi Bilikiewiczowi** z Akademii Medycznej w Gdańsku. Ten znakomity psychiatra i psychoterapeuta wprowadził seksuologię do polskiej medycyny i dzięki niemu już od 1963 roku istniała specjalizacja w zakresie seksuologii dla lekarzy. Jako pierwszy tytuł seksuologa otrzymał doktor **Kazimierz Imieliński** –

kolejny wielki nestor tej dziedziny.

Zasługą pionierów seksuologii jest to, że sformalizowali seksuologię jako naukę – pojawiły się pierwsze doktoraty, a potem habilitacje i profesury. Kolejny przełom przyniosło wprowadzenie na rynek viagry w 1998 roku. Okazało się, że zapotrzebowanie jest wielkie, a brakuje lekarzy, którzy mogliby wypisywać recepty. Seksuolodzy okazali się przedmiotem pożądania!

Seksuologia była promowana przez wspaniałych naukowców – profesorów takich jak **Bolesław Popielski**, **Kazimierz Imieliński**, **Albert Dryjski** czy **Adam Bilikiewicz** (syn Tadeusza). Nie można przecenić roli profesora **Mikołaja Kozakiewicza**, którego wiele osób może pamiętać jako marszałka sejmu. Był on jednak przede wszystkim prezesem **Towarzystwa Rozwoju Rodziny**, w którym stworzył sieć poradni i przychodni specjalistycznych oraz program edukacji seksualnej.

Edukacja seksualna zawdzięcza też wiele

profesorowi **Andrzejowi Jaczewskiemu**, który z pasją odpierał wszelkie próby manipulowania seksuologią przez polityków i fundamentalistów religijnych. To był prawdziwy wychowawca, który zawsze mówił wprost, co myśli.

Nie można wreszcie zapomnieć o profesorze **Julianie Godlewskim**, który nie tylko uczył całe pokolenia seksuologów, ale pasjonował się też seksuologią sądową. Jak widać, nazwisk jest sporo, choć większość Polaków z seksuologią kojarzy jedną osobę – **Michalinę Wisłocką**. Dlaczego akurat ona zdobyła tak wielką popularność? Być może czytelników uwiodła praktyczność jej książek.

Seksuologia to wąska dziedzina. Wszyscy się znamy. Seksuolodzy w przeszłości byli postrzegani jako tajemnicza grupa zawodowa. W jednym z badań, które przeprowadziłem w 1992 roku na reprezentatywnej ogólnopolskiej populacji, wielu respondentów wyrażało pogląd, że seksuolodzy są potrzebni, ale stanowią hermetyczną grupę. Jednak już

w badaniach powtórzonych w 2005 roku na pytanie „U kogo chciałby się Pan/Pani leczyć w przypadku wystąpienia zaburzeń seksualnych?” aż 60% respondentów wymieniło seksuologa, a 78% określiło seksuologów jako „normalny zawód” i „takich samych ludzi jak inni”.

Z pewnością do tej zmiany nastawienia przyczyniła się nasza stała obecność w mediach. Ja sam pisałem do czasopism i występowałem w telewizji, a w Radiu Zet miałem swoją audycję. Ludzie oswoili się z tym, że seksuolodzy istnieją. Oswoili się też z tematyką, którą poruszamy. Przez wiele lat, aby stać się seksuologiem, trzeba było uzyskać najpierw specjalizację z innych dziedzin medycyny (psychiatrii, ginekologii, chorób wewnętrznych), a następnie przez co najmniej dwa lata kształcić się w seksuologii. Teraz, po nowelizacji procesu kształcenia, lekarze będą mogli wybrać seksuologię bezpośrednio po studiach w bloku psychiatrii, a następnie kontynuować naukę w zakresie seksuologii. Razem będzie to trwało pięć lat, a w

efekcie pojawi się nowe pokolenie seksuologów, mających bardziej sprzyjające warunki do uzyskania kwalifikacji. Także psychologowie – po odpowiednim procesie kształcenia i zdaniu egzaminu – mogą uzyskać certyfikat seksuologa klinicznego, nadawany przez Polskie Towarzystwo Seksuologiczne. Kolejka chętnych do uzyskania tego certyfikatu wyraźnie się wydłuża.

## TAJEMNA WIEDZA SEKSUOLOGA

Wiele osób zadaje mi pytanie, czy bycie seksuologiem ułatwia życie intymne. Bez wątplenia tak; podobnie zresztą jak w przypadku każdej osoby znającej naukowe podstawy seksualności człowieka. Nawiązywanie znajomości i relacji partnerskich jest dla seksuologów nieco łatwiejsze, bo budzą zainteresowanie, swobodniej rozmawiają na tematy związane z erotyką oraz wydają się znawcami sztuki miłosnej i innych tajemnic seksu. Mówiąc inaczej, mają ułatwiony taniec godowy.

Ja sam raczej nie musiałem stosować żadnych trików. Uchodziłem za przystojnego mężczyznę, byłem lubiany przez kobiety i wzajemnie, więc nie musiałem wykorzystywać jakichś specjalnych sposobów, żeby kogoś poznać czy zaprosić na kolację. Jedna z moich dziewczyn powiedziała mi, że spodobał jej się mój głos i ręce oraz sposób gestykulowania podczas wykładów; inną uwiódł uśmiech. Podchody i łowy nie były potrzebne, bo relacje nawiązywałem naturalnie – najczęściej podczas spotkania towarzyskiego ktoś wpadał mi w oko. Rozpoczynałem interesującą rozmowę, później padała propozycja: „No to spotkamy się?”. „Oczywiście!” I tylko tyle, nigdy nie

stosowałem żadnej wiedzy tajemnej znanej tylko seksuologom, choć na pewno pomagała mi swoboda rozmawiania o interesujących sprawach związanych z moją pracą. Kobiety interesowała nie tyle seksuologia, ile inne działy mojej pracy: hipnoza (wtedy była modna), odmienne stany świadomości, muzykoterapia i terapia w ogóle. Tematy seksualne wychodziły niejako przy okazji i na ogół nie na pierwszej randce, więc raczej na podstawie moich doświadczeń nie mógłby powstać żaden solidny podręcznik uwodzenia.

Zdarza się, że niektóre osoby oczekują od seksuologów wprowadzenia w jakiś nadzwyczajny i ponadstandardowy świat seksu. Poprzeczka oczekiwań i wymagań może być umieszczona bardzo wysoko. Adoratorki nierzadko wysyłają komunikat wprost: „Pokaż, co potrafisz, naucz mnie czegoś nowego”. Sam tego doświadczyłem, gdy byłem młodszy.

Pewnego razu przysłała do mnie dziewczyna i poprosiła o przysługę. Powiedziała: „Moja mama jest pana wielką fanką, czyta wywiady z panem i wszystkie książki, ale jest chora i leży w łóżku. Czy jest szansa, żeby ją pan odwiedził? To byłaby dla mamy wielka przyjemność”. W



tamtych czasach byłem mniej zapracowany niż dzisiaj, więc po skończonej pracy pojechałem pod wskazany adres. W mieszkaniu czekały na mnie wino i kolacja. Pytam, gdzie mama, i słyszę, że mama teraz śpi, więc my tu sobie zjemy i napijemy się, potem mama się obudzi i będzie czas na rozmowę. Na chwilę zastanowiły mnie świece zapalone na stole, ale gospodyni przyniosła parujący półmisek owoców morza, bo w jakimś wywiadzie wyczytała, że je lubię, więc zjedliśmy kolację. Wyszła z pokoju i wróciła do niego prawie rozebrana. Pytam, co z mamą, i słyszę, że nadal śpi. Sytuacja robiła się coraz bardziej niezręczna. Wiedziałem ze swojej praktyki terapeutycznej, że kobieta odrzucona przez mężczyznę może być groźna, więc muszę działać dyplomatycznie. Zawsze próbowałem tak neutralizować sytuację, żeby nie doszło do jawnego odrzucenia. Ponieważ kobieta była mocno zdeterminowana, powiedziałem jej, że... mam rzeżączkę. To zupełnie zepsuło atmosferę. Na deser nie mogłem liczyć, ale za to spokojnie poszedłem do domu.

Kiedy kształcę seksuologów, lekarzy czy psychologów, przestrzegam ich, że w takich sytuacjach nie powinni reagować gwałtownie. Nie powinno się mówić: „Proszę się

ubrać, wychodzę natychmiast”. Nie mają też sensu deklaracje „Kocham żonę”, nie warto powoływać na normy i mówić, że jest się praktykującym katolikiem czy przywoływać kodeks lekarski – żaden z tych argumentów nie działa w sytuacjach podbramkowych.

Uprzedzałem też moich studentów, że tematyka, którą się zajmują, może się wiązać z zawyżonym postrzeganiem ich atrakcyjności. Ważne, żeby ich partnerki i partnerzy wiedzieli o tym mechanizmie i byli odporni na zazdrość. Moja żona uodporniła się już wiele lat temu. To trochę tak jak żona ginekologa – co ma zrobić? Ma być zazdrosna, że jej mąż bada kilka kobiet w ciągu dnia? Albo sobie z tym nie poradzi, albo dostosuje się do sytuacji. Zresztą, jeśli mąż przyjmuje jednego dnia wiele pacjentek, jest to mniej niepokojące dla żony, niż jeżeli w kółko opowiada jej o nowej koleżance z pracy.

Moja żona nie miała problemu z tym, że jestem seksuologiem. Sama jest atrakcyjną kobietą, która zawsze cieszyła się powodzeniem i była obiektem adoracji do tego stopnia, że musiała zmienić pracę, kiedy jej zwierzchnik zaczął przesadnie okazywać swój zachwyty. W czasie studiów na medycynie została wybrana dziewczyną roku i

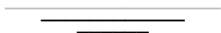
nigdy nie miała żadnych kompleksów.

Atrakcyjni seksuolodzy obojga płci nie mają łatwego życia i poddawani bywają rozmaitym prowokacjom. Pamiętam, jak wiele lat temu jedna z moich pacjentek spytała, co najbardziej lubię otrzymywać w prezencie. W tamtych czasach drobne upominki dla lekarzy były powszednie, więc odpowiedziałem, że bardzo lubię gorzką czekoladę. Na następnej wizycie pacjentka poprosiła mnie, abym na chwilę zajął się swoimi papierami, a ona tymczasem przygotowuje się do badania. Rzeczywiście, zająłem się dokumentami na biurku, gdy nagle usłyszałem, że już jest gotowa. Odwróciłem się i... okazało się, że leży w stroju Ewy, cała pokryta płatkami czekolady. Powiedziałem, że to wspaniałe połączenie i pięknie wygląda, a czekolada będzie smakowała wspaniale, więc zachowam ją dla siebie. Dodałem, że to bardzo miłe, traktuję to jako ukłon w moją stronę, a jako mężczyzna czuję się niebywale dowartościowany, ale musimy wrócić do pracy i do rozmowy. Uśmiechnęliśmy się do siebie, pacjentka zaczęła się ubierać i na tym sprawa się skończyła.

Inne panie były mniej subtelne. Mówiły wprost: „No to umówmy się na kawę” albo „Zapraszam do swojego

domu”. Do tego dochodził odpowiedni typ ubioru, zachowania w gabinecie i stałe sprawdzanie, czy ja już się „ugotowałem”, czy jeszcze nie. Asortyment tych zachowań był szeroki: od wysoko unoszonych ud poprzez supermini do zachęcającego mrugania rzęsami. Czego ja nie widziałem już w swoim gabinecie... Seksuolog z natury rzeczy wkracza w intymne życie pacjentów. Często się zdarza, że pacjent pierwszy raz w życiu tak dokładnie rozmawia na tematy seksu. Do tego dochodzi jeszcze badanie ciała. Profesjonaliści zdają sobie z tego sprawę i pomagają pacjentom przełamać opory. Jednak każde nieetyczne zachowanie seksuologa nagłaśniane przez media może zaburzyć relację pacjenta z terapeutą. Pojawia się nieufność, lęk, nadinterpretacja zachowań, wreszcie unikanie szukania pomocy u specjalisty. Nic zatem dziwnego, że środowisko seksuologów jest wyczulone na tego typu sygnały i stara się chronić pacjentów.

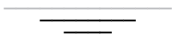
# NIEODWZAJEMNIONA MIŁOŚĆ



W 1966 ROKU MÓJ ROCZNIK ZAKOŃCZYŁ STUDIA I ZBLIŻAŁA SIĘ UROCZYSTOŚĆ OTRZYMANIA DYPLOMU LEKARZA MEDYCYNY ORAZ STOPNIA PODPORUCZNIKA.

NIE ZDAWAŁEM SOBIE SPRAWY Z TEGO, ŻE WŁADZE WAM MIAŁY ZE MNĄ PROBLEM. DOWIEDZIAŁEM SIĘ O TYM KILKA LAT PÓŹNIEJ, KIEDY DZIĘKI ŻYCZLIWOŚCI PRACOWNIKA KANCELARII TAJNEJ DOSTAŁEM NIETYPOWY PREZENT – PÓŁ GODZINY SAM NA SAM Z MOJĄ TECZKĄ. KAŻDA JEDNOSTKA WOJSKOWA MIAŁA SWOJĄ TAJNĄ KANCELARIĘ. WIEDZIELIŚMY O JEJ ISTNIENIU I LOKALIZACJI, ALE NIE MIELIŚMY DOSTĘPU DO DOKUMENTÓW, KTÓRE BYŁY W NIEJ PRZECHOWYWANE. OBEJRZAŁEM DOKUMENTY Z MOJEJ TECZKI W MOMENCIE, W KTÓRYM OPUSZCZAŁEM WOJSKO.

PO PRZECZYTANIU ZAWARTYCH W NIEJ MATERIAŁÓW PRZEŻYŁEM PRAWDZIWY WSTRZĄS.



Najbardziej bolesne było dla mnie przeczytanie dwóch donosów – jednego, złożonego na mnie przez członka rodziny, oraz drugiego, złożonego przez kolegę, który mieszkał ze mną w jednym pokoju podczas studiów. Pisali, że zawsze staram się ustawiać pod prąd, przechwalam się swoim pochodzeniem i herbem Lew, jestem wnukiem łódzkiego fabrykanta, lubię chodzić w mundurze z akselbantami i w białych rękawiczkach, kupuję literaturę religijną wydawnictwa PAX, a moim idolem jest Szymon Słupnik.

Naprawdę byłem zaszokowany tym, co przeczytałem. Spodziewałem się oczywiście, że jeśli ktoś mnie nie lubi, to na mnie nagada. Takie były czasy. Ale żeby kolega z pokoju? Jeden z członków rodziny? Nie mogłem zrozumieć motywów ich postępowania. Te wypowiedzi mogły być wystarczającym argumentem, żeby wyrzucić mnie ze studiów. Były tam informacje, że chcę skończyć WAM, żeby leczyć księży. I sugestia, że może lepiej mnie wyrzucić, bo po co kształcić lekarza, który potem będzie leczył księży.

Bardzo mocno to przeżyłem. Dzisiaj uważam, że ta lektura była mi potrzebna, i mam wrażenie, że wpłynęła na całe moje postrzeganie świata. Zmniejszył się trochę mój

idealizm, poprawiła się za to znajomość ludzkiej psychiki. Z czasem zrozumiałem motywacje donosicieli. Krewny zazdrościł mi, bo sam nie miał wyższego wykształcenia (kilka razy próbował dostać się na studia, ale mu się nie udało, a miał duże ambicje). Z kolei kolega z WAM rywalizował ze mną o punktację. Walczyliśmy o to, który z nas będzie lepszym studentem. Zrozumienie ich motywacji bardzo mi pomogło w wyciszeniu emocji, ale długo nie mogłem poradzić sobie z rozgoryczeniem.

Podczas jednej z rodzinnych imprez, wiele lat później, powiedziałem krewnemu, że wiem o jego donosach. Wtedy się uspokoilem. Z kolegą z wojska do dzisiaj się nie rozmówiłem, ale w czasie stanu wojennego zrehabilitował się w moich oczach. Miałem wtedy problemy zawodowe i bardzo starał się, żeby pomóc mi wyjść na prostą. Mam dzisiaj z nim koleżeńskie i jak najbardziej normalne układy. Ale on nie wie, że ja wiem... Otwarcie teczki jest tak silnym negatywnym przeżyciem, że jestem zdecydowanym przeciwnikiem powszechnego do nich dostępu.

W teczce znalazłem też informacje, że prorektor WAM do spraw politycznych nie chciał, aby promować mnie na oficera. Prześladował mnie przez całe studia, aż



do samego końca. Dziekan, profesor Borsuk, oponował. Ostatecznie z WAM zostało skierowane tajne pismo do generała Józefa Urbanowicza, szefa służby politycznej MON, z prośbą o podjęcie decyzji w sprawie mojej osoby. Z pisma tego wynikało, że kadra medyczna – w tym dziekan Wydziału Lekarskiego i dowódca rocznika major Lentecki – wydała dobrą opinię i proponowała promocję na oficera. Prorektor do spraw politycznych, pułkownik Paweł Piotrowski, opierając się na informacjach uzyskanych od moich kolegów, przedstawił mnie zaś w bardzo ciemnych barwach. Zarzucał kontakty z duchowieństwem (włącznie z biskupami Klepaczem i Bejzą) oraz aktywność religijną. Nie wiem, co ostatecznie przeważyło, ale jednak 6 czerwca 1966 roku promowano mnie na stopień podporucznika w korpusie oficerów służby zdrowia.

Najlepsi absolwenci WAM – dziesięć pierwszych osób na liście – mieli prawo do wyboru miejsca, w którym będą mieli podyplomowy staż. Łódź już znałem, więc zdecydowałem się na Warszawę. Wybrałem II Centralny Szpital Kliniczny WAM w Warszawie na Szaserów – z dobrą renomą, doskonale wyposażony i pachnący świeżością. Nowy szpital, nowe duże miasto, nowe

możliwości! W trakcie stażu przez pół roku pracowałem w I Klinice Chorób Wewnętrznych, której kierownikiem, a zarazem dyrektorem szpitala, był generał profesor Dymitr Aleksandrow. Zwrócił uwagę na moje zainteresowania medycyną psychosomatyczną i seksuologią. Obiecał mi, że jak zakończę staż podyplomowy, to przyjmie mnie do pracy na etat asystenta i utworzy pododdział psychosomatyczny. Zgodził się też, żebym rozpoczął studia psychologiczne na Uniwersytecie Warszawskim, więc podjąłem je w trybie indywidualnym. W ten sposób wszedłem na moją drogę psychologiczną, która doprowadziła ostatecznie do uzyskania certyfikatu psychoterapeuty.

Praca pod kierunkiem profesora Aleksandrowa była spełnieniem moich marzeń. Wydawało się, że moja przyszłość zawodowa jest zapewniona, a przede mną prosta i pozbawiona wybojów droga – kariera naukowa i praktyka we wspomniałym szpitalu.

Pojawiły się jednak chmury. W moje życie znowu wkroczyła polityka, której trochę sam pomogłem, bo nadal chodziłem w mundurze do kościoła i byłem ministrantem w kościele Sióstr Wizytek w Warszawie. Czytałem „Więź” i „Tygodnik Powszechny”, bo pokazywały inny świat,

intelektualnie odmienny od promowanego oficjalnie światopoglądu. Do tego wszystkiego zdarzało się, że odwiedzałem prymasa Wyszyńskiego, który był uczniem naszego sieradzkiego proboszcza. W drodze z Warszawy do Częstochowy prymas często zatrzymywał się w Sieradzu, a ja z kolei często odwiedzałem parafię, bo tam, u swojego wujka proboszcza, bywała moja ówczesna narzeczona. Byłem oczywiście zawsze w mundurze. Zdarzało się, że zapraszano mnie na kolację, więc sobie razem siedzieliśmy przy stole i rozmawialiśmy. Dziś nawet mnie wydaje się to trochę dziwne – oficer i prymas, przy jednym stole, jedzą i dyskutują, ale tak to właśnie wyglądało. Później spotykałem się z prymasem Wyszyńskim już w Warszawie, na Miodowej. Dowiedział się, że jestem w stolicy, i zapraszał, żebym wstąpił, więc skorzystałem z tego zaproszenia. Jakby tego było mało, zaprzyjaźniłem się z księdzem Janem Twardowskim (ochrzcił nawet mojego syna), poznałem przyszłego biskupa Józefa Życińskiego, a nawet zostałem członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. To, rzecz jasna, nie mogło pozostać niezauważone.

Podjęto decyzje w mojej sprawie. Rozkaz brzmiał: nie

ma mowy o zatrudnieniu w klinice, czeka na mnie natomiast posadka lekarza garnizonowego w jednostce wojskowej poza Warszawą. Był październik 1968 roku, a moja zaplanowana prosta zawodowa ścieżka rozsypała się w drobny mak. Mówiąc krótko, zostałem zesłany. Na szczęście pułkownik Kostrzewski, szef służby zdrowia Warszawskiego Okręgu Wojskowego, okazał się ludzkim człowiekiem i zamiast proponowanej początkowo pracy w odległych od Warszawy garnizonach zgodził się na skierowanie mnie do Siedlec. Nie zamierzał mi także utrudniać kontynuowania studiów psychologicznych.

## TWARDE LĄDOWANIE

Z psychosomatyki, stażu w szpitalu klinicznym w WAM i wielkich planów musiałem się przestawić na pracę w przychodni w jednostce wojskowej 2491 w Siedlcach, które w tamtych czasach były zupełną dziurą. Żeby się tam dostać z Warszawy, trzeba było jechać pociągiem elektrycznym do Mińska Mazowieckiego, a później przesiąść się do pociągu ciągniętego przez lokomotywę parową, który bezustannie gdzieś się zatrzymywał.

Kiedy dostałem mieszkanie służbowe i urządziłem je, sprowadziłem żonę i dzieci. Pierwszy raz ożeniłem się, gdy miałem dwadzieścia pięć lat. Był rok 1968. W tamtych czasach taki wiek uchodził za najlepszy na wejście w życie małżeńskie, ale dzisiaj wydaje mi się, że to nieco za wcześnie na tak poważne decyzje. Moją żoną została dużo młodsza dziewczyna z zaprzyjaźnionej rodziny. Nasze rodziny zatem nam sprzyjały, moi rodzice byli całkiem zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Szybko urodziła się pierwsza córka, a potem druga. Mieszkaliśmy w Siedlcach dwa i pół roku, ale nigdy się tam nie zakorzeniliśmy.

Z Siedlec jeździłem też do pracy w Warszawie. Kiedy otrząsnąłem się z pierwszego szoku, zacząłem działać.

Znalazłem radziecki pociąg z samymi slipingami – zatrzymywał się w Siedlcach, a potem w Warszawie. Wsiadałem do niego w mundurze, więc Rosjanie patrzyli na mnie przychylnym okiem, nie musiałem nawet kupować biletu. Wchodziłem, siadałem i za półtorej godziny byłem w Warszawie, w której spędzałem dwa dni w każdym tygodniu. To był czas przeznaczony na studia psychologiczne i pracę w Poradni Przedmałżeńskiej i Rodzinnej Towarzystwa Rozwoju Rodziny, gdzie przyjmowałem pacjentów z problemami seksuologicznymi. Pułkownik Tatarzyński, mój dowódca, bardzo mi to wszystko ułatwiał, za co będę mu wdzięczny do końca życia. Ani przez chwilę nie zakładałem, że to będzie koniec kariery naukowej. Robiłem wszystko, żeby otworzyć przewód doktorski, i cały czas o tym myślałem. Nie poddałem się ani na moment.

Długo i bezskutecznie starałem się o możliwość zrobienia specjalizacji z psychiatrii. Nie uzyskałem na nią zgody. Wojsko nie było zainteresowane rozbudową psychiatrii. Osobą, która podejmowała decyzję w mojej sprawie, był generał Władysław Barcikowski, chirurg. Psychiatrię traktował trochę jak fanaberię. „Psychiatria –

tłumaczył mi – to nie jest żadna medycyna, tylko czarna magia. Proszę się zająć poważnymi, męskimi sprawami”.

Zaproponowano mi, żebym zajął się higieną wojskową lub epidemiologią. To typowo wojskowe specjalizacje, którymi w ogóle nie byłem zainteresowany – badanie czystości i występowania zarazków, tego, jakie czynniki zakaźne mogą objawić się we wspólnych wieloosobowych pokojach, jak zapewnić czystą wodę i żywność oraz jak uniknąć chorób zakaźnych w wojsku. Moi przełożeni wychodzili z założenia, że skoro skończyłem WAM, powinienem siedzieć w specyfice wojskowej, bo specjalistów z innych dziedzin można sobie zawsze dobrać z cywila.

Byłem jednak wytrwały. W tym czasie zacząłem pracę w Poradni Przedmałżeńskiej i Rodzinnej Towarzystwa Rozwoju Rodziny w Warszawie przy Karowej. TRR prowadziło akcję uświadamiającą – w mediach oraz na spotkaniach. Każdy mógł na takie spotkania przyjść z ulicy i wiele osób z tego chętnie korzystało. To był dopiero początek edukacji seksualnej w naszym kraju, więc dostęp do informacji był słaby, brakowało odpowiednich publikacji. Nic więc dziwnego, że przychodziły tłumy.

Tematy były różne: jedni zajmowali się antykoncepcją, inni opowiadali o małżeństwie, zdradzie i budowaniu relacji. Oprócz mnie spotkania prowadzili między innymi Zuzanna Celmer, Anna Dodziuk, Michalina Wisłocka i Mikołaj Kozakiewicz.

Pracowałem jako seksuolog dwa razy w tygodniu. Miewałem również pogadanki uświadamiające organizowane przez TRR. Po jednej z nich podszedł do mnie redaktor Piotr Wierzbicki z propozycją pisania cotygodniowych artykułów na tematy seksu w tygodniku studenckim „ItD”. Tak rozpoczęła się współpraca, która trwała nieprzerwanie do zamknięcia pisma w stanie wojennym.

Te prawie trzy lata spędzane w Siedlcach, Warszawie i pociągach były ciekawe i bardzo pracowite. To była typowa działalność lekarza wojskowego – zajmowałem się leczeniem różnych chorób i higieną. Sprawdzałem stan kuchni, izby przyjęć, koszar, łóżek i pokojów – nic niezwykłego.

Często jeździłem na inspekcje sanitarne w terenie, miałem dobre kontakty z kadrami. W grudniu 1968 roku dostałem zgodę dowódcy na powołanie Poradni Zdrowia



Psychicznego. Dzięki pracy w niej miałem do czynienia z psychiatrią, ale nadal bez zgody na podjęcie specjalizacji. Byłem w jednostce jednym z nielicznych oficerów po akademii wojskowej, mimo to musiałem ciągle zdawać egzaminy z przedmiotów wojskowych i politycznych. Na szczęście, dzięki kontaktom z redakcją tygodnika „ItD”, miałem możliwość czytania tajnych biuletynów PAP-u. Zdobywałem dzięki nim wiadomości o wydarzeniach na świecie. Pewnego dnia w jednostce wojskowej wylądował helikopter i wysiadła z niego gromadka wyższych rangą oficerów. Po inspekcji garnizonu odbył się sprawdzian. Stałem przed komisją egzaminującą z wiadomości politycznych. Na pytanie (jaka jest strategia polityczna NATO?) odpowiadałem na podstawie wiadomości z biuletynu PAP-u. Wymieniałem po kolei wszystkich ministrów spraw zagranicznych i wojskowych państw NATO, przypisując im poglądy, które zmyślałem na bieżąco. Gadałem jak natchniony, sypiąc nazwiskami i teoriami. Czekałem tylko, aż ktoś mi przerwie i powie, że zmyślam, ale komisja słuchała w milczeniu. Po egzaminie, w trakcie odprawy oficerskiej, jeden z generałów stwierdził, że zdałem celująco i inni oficerowie powinni się wstydzić, że lekarz wie więcej od nich.

Do Warszawy wyjeżdżałem wczesnym pociągiem jadącym z Moskwy, a wracałem do Siedlec następnego dnia ostatnim pociągiem, już po północy. W ciągu tych dwóch dni odbywałem zajęcia z psychologii na Uniwersytecie Warszawskim, a w godzinach popołudniowych pracowałem jako seksuolog w poradni TRR. Zawodowa przyszłość jednak nadal nie wyglądała różowo – ciągle nie uzyskałem zgody na specjalizowanie się w psychiatrii. Nie wiedziałem, co zrobić. Paradoksalnie, w rozwiązaniu problemu pomogli niezapominający o mnie oficerowie polityczni. Nadal bowiem „rozrabiałem”. W Siedlcach byłem jedynym zawodowym oficerem nienależącym do PZPR, więc psułem statystykę. Do tego nadal utrzymywałem kontakty z Kościołem i warszawskim KIK-iem.

## HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

W końcu wybuchła afera nieco większego kalibru. Pewnego razu do księdza Leśniewskiego, proboszcza w Sieradzu, przyjechał prymas Wyszyński w towarzystwie kardynała Franza Königa z Wiednia i trzech biskupów. Akurat tak się złożyło, że w tym samym czasie byłem u rodziców w Sieradzu. Ksiądz zaprosił mnie na obiad. Ubrałem się jak zwykle w mundur i poszedłem. Hierarchowie byli mili, mundur w ich gronie był rzadkością. Niestety na tym przyjęciu zrobiono zdjęcia, które potem trafiły w ręce pionu politycznego. Oficer informacji w Siedlcach zaprosił mnie na rozmowę. Sytuacja była groteskowa, bo oficer nie dysponował nowoczesnym sprzętem elektronicznym i musiał nagrywać naszą rozmowę na terkoczącym magnetofonie, co usiłował ukryć, puszczając silny strumień wody w umywalce. Miał do mnie cztery pytania:

Skąd znam obu kardynałów?

Dlaczego chodzę w mundurze do kościoła?

Dlaczego jako wykształcony człowiek i wychowanek akademii wojskowej wierzę w gusła?

Dlaczego demonstracyjnie czytam Biblię w pociągu?

To ostatnie było nieporozumieniem – tak naprawdę w trakcie wyjazdu z grupą oficerów z Siedlec na szkolenie do Warszawy czytałem ulubionego *Pana Tadeusza* w skórzanej oprawie. Kiedy to wyjaśniłem, oficer zaczął mnie egzaminować z tego dzieła. Dobrze pamiętał nazwy kolejnych ksiąg i znał masę szczegółów. Muszę przyznać, że mi zaimponował. Niestety, okazało się później, że w moich tajnych papierach nie naniósł sprostowania i nadal pozostał w nich zarzut czytania Biblii. Nie czekałem długo na reakcję. W marcu 1971 zostałem wezwany do sztabu w Warszawie. Zaskoczyła mnie ranga tego spotkania: uczestniczyli w nim oficer polityczny generał Tadeusz Szaciło, szef służby zdrowia WOW pułkownik Bończak i kwatermistrz WOW, którego nazwiska dzisiaj nie pamiętam. Rozmowa trwała bite dwie godziny. Pytano mnie o zainteresowania naukowe, lekarskie, motywy wstąpienia do WAM, charakter znajomości z hierarchami. Generał Szaciło był filozofem. Kiedy usłyszał, że cenię personalizm chrześcijański, Teilharda de Chardin i teologię Paula Evdokimova, stwierdził, że z tego typu zainteresowaniami w polskim Kościele nie znajdę zrozumienia. Zastanawiał się

głośno, dlaczego jestem zapraszany z wykładami do duszpasterstw akademickich. Wyjaśniłem mu, że bywam tam jako seksuolog, a nie filozof czy teolog. Rozmowa jak w Wersalu! Nawet mnie chwalono! Na koniec jednak padła propozycja: albo wyrażę zgodę na przeniesienie do zielonego garnizonu pod Szczecin, albo napiszę podanie do ministra obrony narodowej z prośbą o przejście do rezerwy. Dodano, że jeżeli nawet udam się pod Szczecin, to o wyrażeniu zgody na specjalizację z psychiatrii, seksuologii i kontynuowanie studiów psychologicznych nie ma mowy.

Zrozumiałem.

To była propozycja nie do odrzucenia. W Siedlcach napisałem podanie. Po kilku dniach generał Szaciło wezwał mnie i poprosił o usunięcie trzeciego punktu z tego podania, który brzmiał: „Będąc wierzącym, jestem traktowany jako obywatel PRL drugiej kategorii, co również rzutuje na moje życie osobiste i zawodowe”. Po krótkiej rozmowie zdecydowałem się usunąć ten punkt.

W ten sposób skończyła się moja przygoda z wojskiem.

Z oficerami mojej jednostki uroczyście pożegnałem się 7 sierpnia 1971 roku. Podanie rąk, kilka miłych słów.

Zupełnie bez fajerwerków, ale też nie było to takie ciche odejście po kryjomu – ot, rozstanie z kolegami ze służby i z wojskiem. Było mi przykro, bo cały czas miałem sentyment do wojska. Mam go zresztą i dzisiaj. Tymczasem moje losy potoczyły się inaczej, niż chciałem. Trzeba się było z tym pogodzić.

Na szczęście miałem już załatwioną pracę w szpitalu w Drewnicy, kontynuowałem też pracę w Towarzystwie Rozwoju Rodziny, więc sytuacja nie była dramatyczna. Nie było tak, że wychodzę za bramę koszar i nie wiem, co ze sobą zrobić.

Obawiałem się czego innego. Mówiono nam, że po studiach powinniśmy odpracować w wojsku minimum piętnaście lat. Po takim czasie mieliśmy prawo do połowy świadczeń. Po trzydziestu latach uzyskiwało się prawo do całego świadczenia, jednak jeżeli ktoś chciał odejść ze służby wcześniej, na własną prośbę (a w moim przypadku tak to przecież formalnie zostało załatwione), to za studia musiał zapłacić sam. Ciągłe nad tym myślałem: każą mi zwracać te pieniądze za studia czy nie? Na szczęście nie męczyli mnie żądaniem zwrotu pieniędzy, a nawet dostałem na koniec nagrodę pieniężną od pułkownika

Tatarzyńskiego, który bardzo mnie szanował (z wzajemnością).

Koledzy z WAM i z jednostki wałkowali ten temat na wszystkie strony, podejrzewając, że mam jakieś wysoko postawione znajomości. Plotki związane z moim odejściem latami żyły własnym życiem i wciąż je powtarzano. Mówiono, że specjalnie demonstracyjnie w mundurze chodziłem do kościoła i zadawałem się z hierarchami, aby sprowokować przełożonych do pozbycia się mnie. Że byłem kuzynem prymasa Wyszyńskiego, że biskup Klepacz chciał wyciągnąć z wojska wykształconego lekarza i zrobić z niego księdza, że specjalnie zaręczyłem się z bratanicą biskupa, aby sprowokować zwolnienie. Co prawda, to nie był biskup, tylko ksiądz infułat i nie związałem się z nią z powodów merkantylnych... Jeszcze i dzisiaj słyszę czasem, jaki to byłem wtedy cwany!

Tymczasem opuszczenie wojska wiązało się z dużymi problemami. Oficer polityczny szpitala na Szaserów nie wyraził zgody na odbywanie przeze mnie w klinikach stażu specjalizacyjnego, koniecznego do egzaminu specjalizacyjnego z psychiatrii. Kolega z roku chciał mnie przyjąć do pracy w wojskowej Poradni Zdrowia

Psychicznego przy Koszykowej w Warszawie. Dostałem odmowę. Długo nie byłem awansowany na kolejne stopnie oficera w rezerwie. Nie było lekko.

Poza tym musiałem zdjąć mundur. To było symboliczne pożegnanie z wojskiem, wcale dla mnie niełatwe. Lubiałem mundur i chętnie chodziłbym w nim do dzisiaj, gdybym mógł. W mundurach zawsze budziliśmy sympatię i szacunek. Wchodziliśmy do autobusu czy tramwaju i ludzie się uśmiechali. U mężczyzn budziły się wspomnienia, bo wtedy wszyscy mieli za sobą służbę wojskową, więc od razu się zaczynało: „Wie pan, jak ja byłem w wojsku, to...”, a kobiety często mi powtarzały, że dobrze wyglądam w mundurze. Nie wiem, jaki jest teraz stosunek do mundurowych – na pewno niechęć do nich pojawiła się po stanie wojennym. Ja w wojsku byłem od siedemnastego do dwudziestego ósmego roku życia, czyli w wieku, w którym najmocniej kształtują się cechy męskie.

Czasami odwiedzam Wydział Wojskowo-Lekarski Uniwersytetu Medycznego w Łodzi jako recenzent lub promotor rozpraw doktorskich. Jest to wyjazd do swoich. Mam tam kolegów. Zawsze podkreślam publicznie i prywatnie, że jestem absolwentem WAM i mile wspomynam

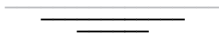


moją uczelnię, wykładowców i kolegów. Niestety, moja miłość do WAM pozostała nieodwzajemniona.

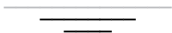
Wciąż z zainteresowaniem oglądam parady wojskowe. Ubolewam tylko, że zmienił się krok defiladowy naszej kompanii honorowej – teraz bardziej przypomina chód modelek na wybiegu niż wojskowy krok. Bardzo przeżywam wszystkie kryzysy mające miejsce w naszym wojsku.

Po śmierci chcę zostać spopielony w mundurze.

# PAN Z FAJKA



USIADŁEM NA KRZEŚLE I ZASTANAWIAŁEM SIĘ,  
JAK TO BĘDZIE. PIERWSZE CHWILE PIERWSZEGO  
DNIA MOJEJ PIERWSZEJ PRACY SEKSUOLOGA  
PAMIĘTAM DOKŁADNIE I ZE SZCZEGÓŁAMI. TO BYŁ  
1967 ROK. WSZEDŁEM, JAK ZWYKLE W MUNDURZE,  
DO MOJEGO GABINECIKU NA PIĘTRZE W PORADNI  
PRZEDMAŁŻEŃSKIEJ TOWARZYSTWA ROZWOJU  
RODZINY.



Nie denerwowałem się. W końcu miałem za sobą sześć lat studiów i dwa lata stażu, więc z pacjentami byłem już trochę obyty. Wiedziałem też, że nawet jeśli nie będę mógł sobie dać rady, to mam do pomocy konsultantów i mogę do nich odesłać ludzi, którym nie potrafię pomóc. Świadomość, że istnieje takie wsparcie, dawała mi duży komfort. Sporo wiedziałem też już na temat samych zaburzeń seksualnych – wiele o tym wcześniej czytałem. Zdawałem sobie sprawę z tego, że często pojawiają się problemy z przedwczesnym wytryskiem i brakiem orgazmu.

Poradnia znajdowała się wtedy przy ulicy Karowej, potem przeniesiona została na plac Trzech Krzyży. Legendarne miejsce. Pokój obok mojego zajmowała Michalina Wisłocka. Często po pracy omawialiśmy przypadki i problemy osób, które szukały u nas pomocy. Z czasem się zaprzyjaźniliśmy i współpracowaliśmy ze sobą długo, aż do jej śmierci. Pracowaliśmy w tych samych godzinach i na tym samym piętrze. Ja przyjmowałem pacjentów seksuologicznych, ona zajmowała się robieniem cytologii, a przy okazji ze swoimi pacjentkami rozmawiała na temat seksu. W czasie przerw przychodziła do mnie i mówiła: „A wiesz, Zbyszek, była u mnie pacjentka, która

mówi, że nie ma orgazmu od lat. Często masz takie przypadki?”. Wiedziałem, co u niej słyhać, opowiadała mi też o problemach z wydaniem *Sztuki kochania*. Wydawnictwa odmawiały jedno po drugim, ludzie bali się tego tematu jak ognia. Również środowisko seksuologów było bardzo sceptyczne. Potem okazało się zaś, że to jedna z najbardziej znanych w Polsce książek o seksie, z której do dziś korzystają kolejne pokolenia.

Mój mundur nie dziwił pacjentów, bo lekarz w mundurze to nie był w tamtych czasach egzotyczny widok. Zresztą w ogóle w przestrzeni publicznej widać było wielu mundurowych. W mundurze można było wejść do najbardziej wykwintnej restauracji, i było to zupełnie na miejscu. Wiedziałem, że będę miał większe powodzenie, pokazując się w sytuacji towarzyskiej w mundurze niż w garniturze, więc nie bardzo opłacało mi się wtedy inwestować w garnitury.

Pierwszym pacjentem tego dnia był młody mężczyzna skarżący się na przedwczesne wytryski. W tamtych czasach tego typu zaburzenia leczono metodami treningowymi i lekami działającymi znieczulająco na żołądź członka. Pacjentowi metody treningowe nie odpowiadały, ale

zaakceptował maść anestetyczną. Wyszedł. Po nim wszedł drugi pacjent. Był to mężczyzna w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, skarżył się na zaburzenia erekcji. Słynna viagra, która ma ogromny wpływ nie tylko na komfort życia mężczyzn (a pośrednio również kobiet), jeszcze wtedy nie istniała. Zaburzenia erekcji leczyło się tabletkami johimbiny – lekiem znanym już od XIX wieku. Miał naturalny skład, złożony był głównie z kory drzewa johimba. Ta nazwa była powszechnie znana i używana, więc wszyscy wiedzieli, do czego służy johimbina – tak jak dziś wszyscy znają nazwę viagra. Potem o niej zapomniano, choć w niektórych zaburzeniach erekcji nadal się ją stosuje, ale rzadko, bo są nowsze i skuteczniejsze sposoby. Poza tym johimbina nie tylko podnosiła ciśnienie, ale także budziła nerwowość i rozdrażnienie pacjentów.

Podawaliśmy też zastrzyki ze strychniny. Kojarzy się to fatalnie, z truczką na szczury, tymczasem strychnina oraz zastrzyki z *magnesium sulfuricum* były w mojej praktyce na porządku dziennym. Działały doraźnie. Pacjent się rozgrzewał, rozszerzały się też tętnice członka. Prawdę mówiąc, te zastrzyki nie były zbyt skuteczne, ale trochę pomagały. Dziś się ich zupełnie nie stosuje. Były raczej

nieprzyjemne, bo pacjenci musieli je sobie sami aplikować przed stosunkiem.

Tamtemu pacjentowi, który odwiedził mnie pierwszego dnia pracy, odpowiadała johimbina.

Najpopularniejszymi metodami leczenia w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych były metody treningowe. Stosowało się je przy różnych problemach – u mężczyzn przy przedwczesnym wytrysku, u kobiet przy pochwicy i anorgazmii.

Szacuje się, że przedwczesny wytrysk to problem, który dotyka co trzeciego mężczyzny w Polsce. To najbardziej rozpowszechniony problem seksuologiczny w naszym kraju. Możemy sobie zatem wyobrażać, ile par i ilu mężczyzn na przestrzeni lat stosowało te ćwiczenia. Napisałem nawet wtedy książkę *Vademecum sztuki miłosnej*, gdzie zostało zaprezentowanych wiele z tych metod.

Większość treningów odbywała się z udziałem partnerki lub partnera, niektóre w pojedynkę. Ja sam poznawałem je w klinice w Czechosłowacji u profesora Stanislava Kratochvila, gdzie para przyjeżdżała do szpitala, przechodziła szkolenie, a potem trenowała w osobnym

pokoju. Po wszystkim było spotkanie z terapeutą – omówienie treningu i rozwianie ewentualnych wątpliwości.

Zdarzało się, że w przychodni Towarzystwa Rozwoju Rodziny był tak wielki tłum ludzi, którzy potrzebowali mojej pomocy, że zamiast dokładnie tłumaczyć, na czym polega trening, prosiłem pacjenta, żeby usiadł w poczekalni i spokojnie przeczytał odpowiedni rozdział *Vademecum sztuki miłosnej*. Potem jeszcze dokładnie omawialiśmy, jak ma wyglądać jego trening. Jeśli problemem pacjenta był przedwczesny wytrysk, czytał sobie o metodzie na przykład Williama H. Mastersa i Virginii Johnson, która w skrócie polega na tym, że partnerka ręcznie drażni członek pacjenta i w odpowiedniej chwili przerywa lub mocno uciska żołądź w momencie zbliżającej się ejakulacji.

Skuteczność metod treningowych oceniana była bardzo wysoko. Dzisiaj jesteśmy wobec nich bardziej sceptyczni, niemniej w odniesieniu do niektórych chorób – na przykład w leczeniu pochwicy i anorgazmii pierwotnej u kobiet – nadal uchodzą za najbardziej skuteczne. Jeżeli jednak chodzi o przedwczesny wytrysk, to obecnie pacjenci, którzy zgłaszają się do mnie z tym problemem (a nadal jest ich wielu), wychodzą z gabinetu z receptą na lekarstwo.



Jednak nawet dzisiaj nie dysponujemy tabletkami na wszystkie problemy. Nie istnieje na przykład viagra dla kobiet. Takie lekarstwo bardzo by się przydało, bo trudności związane z brakiem podniecenia i osiągnięciem orgazmu to najczęstsze problemy seksuologiczne, z którymi zmagają się kobiety. Niestety, szanse na wprowadzenie żeńskiego odpowiednika viagry są znikome, bo seksualność kobiet jest zbyt złożona. Uwarunkowania seksu u kobiet są o wiele bardziej biopsychospołeczne niż u mężczyzn. Często zdarza się, że ciało kobiety jest podniecone, ale psychika nie. Ważny jest świat emocji, relacja z partnerem, a także nastrój. Duże znaczenie ma również samoocena dotycząca ciała. Czasami wystarczy, że koło nosa pojawi się krostka, i kobieta już nie ma ochoty na seks wieczorem. Z powodu tych złożonych uwarunkowań wymyślenie tabletki, którą kobiety będą połykały i od razu poczują ochotę na seks, jest bardzo trudne.

Ale wróćmy do pierwszego dnia mojej praktyki. Po dwóch panach do mojego gabinetu wkroczyła pacjentka. Miała około trzydziestu pięciu lat, jej problemem był brak orgazmu. Pamiętam, że ta atrakcyjna kobieta była niemiłe zaskoczona moim młodym wiekiem. Stwierdziła, że chociaż

jestem lekarzem, to jednak jestem zbyt młody i niedoświadczony, bym był w stanie jej pomóc. Podobnie zareagowała ostatnia w tym dniu pacjentka. Pani w wieku czterdziestu czterech lat miała problemy małżeńskie, których przyczyną była duża różnica potrzeb seksualnych. Również stwierdziła, że jestem za młody, i postanowiła szukać pomocy u starszego wiekiem terapeuty. Byłem zdruzgotany i bardzo przeżywałem pierwsze niepowodzenia w kontakcie z pacjentami.

Zastanawiałem się długo i nie miałem pomysłu na to, w jaki sposób mogę sobie dodać powagi. W końcu wymyśliłem, że atrybutem, który sprawi, że będę wyglądał dostojniej, może być fajka. To były czasy, w których można było palić wszędzie. Paliło się w szpitalach i na uczelniach, w samolotach i pociągach. W trakcie egzaminów palili i profesorowie, i studenci. Jeśli ktoś zdenerwował się w trakcie ustnego egzaminu, to pytał, czy może zapalić, i na ogół dostawał zgodę. Narady lekarzy w szpitalu odbywały się w pomieszczeniach szarych od dymu. Pacjenci też palili! Również moi na Karowej i w gabinecie prywatnym. Często byli zdenerwowani, bo przecież rozmowy, które trzeba przeprowadzić z lekarzem seksuologiem, bywają trudne i

papieros pomagał im się rozluźnić. Pomysł z fajką nie był więc zupełnie wydumany.

Poszedłem do słynnego sklepu z fajkami przy ulicy Kruczej. Sprzedawcy widzieli, że mają do czynienia z nowicjuszem, więc pośpieszyli z praktycznymi radami. Z ich pomocą wybrałem trzy fajki i tytoń, popularną wtedy aromatyczną Amforę. Sam byłem zdziwiony, że ta strategia okazała się skuteczna i pacjentki przestały uciekać na widok młokosa. Do tego bardzo pozytywnie reagowały na zapach aromatycznego tytoniu. I tak w oparach tytoniu fajkowego wysłuchiwałem zwierzeń moich pacjentów. Palili pacjenci, paliłem ja. Czasami ledwie mnie widzieli zza kłębow dymu.

Pozostałem przy aromatycznych tytoniach, a fajki zmieniałem na coraz lepsze, z czasem zacząłem kupować je w Peweksie. W gabinecie przy placu Trzech Krzyży na moim biurku stał stojak z kilkoma fajkami, a pacjenci z reguły pozytywnie oceniali zapach w gabinecie. Pewnego razu do sklepu Fajka dotarły tytoń z Kuby. Panie zaproponowały mi zakup tytoniu Partagas. Palacze cygar dobrze wiedzą, jak jest mocny. Dawka końska! Nie miałem o tym pojęcia, pudełko było piękne. Zanim przyszli pacjenci, usiadłem w fotelu i przed pracą, dla rozluźnienia, zapaliłem

sobie fajkę nabitą kubańskim tytoniem. Od razu poczułem się fatalnie: gonitwa myśli, drżenie rąk, pobudzenie ruchowe. Czułem, że w takim stanie nie będę mógł rozmawiać z pacjentami. Pobiegnę do gabinetu zabiegowego i wypiję kieliszek działających uspokajająco ziół. Dzięki nim byłem w stanie myśleć spokojnie i przyjąłem tego dnia wszystkich pacjentów.

Pałem fajkę potem przez wiele lat, aż do czasu pojawienia się zakazu palenia w służbie zdrowia. Nigdy się jednak nie uzależniłem. Do dzisiaj palę tylko wtedy, kiedy mam na to ochotę.

## ZASADY ARS AMANDI

Pod koniec lat sześćdziesiątych prawie połowa moich pacjentów miała problemy wynikające z braku znajomości podstawowych zasad *ars amandi*. Niewiedza prowadziła do lęków i zahamowań. Kobiety bardzo się bały pierwszego stosunku. Były przerażone i obawiały się, że defloracja to apokalipsa, wielki ból i krwawienie. Kiedy przychodziła do mnie dziewczyna, trzeba ją było uspokajać i tłumaczyć, że to są zupełnie wyjątkowe sytuacje, że na ogół tylko trochę boli, a często nawet o tym nie ma mowy. Krwawienie też rzadko jest obfite. Czasami proponowałem badanie ginekologiczne, żeby stwierdzić, czy będzie problem z defloracją czy nie. Mężczyźni z kolei byli przekonani, że pierwszy kontakt musi być udany, i jeżeli coś poszło nie po ich myśli, zgłaszali się z reklamacją. Powszechne były lęki związane z masturbacją. Ci, którzy się masturbowali, byli przekonani, że będą mieć zaburzenia seksualne. Znowu trzeba było uspokajać, tłumaczyć, że nic złego się nie stanie. Dzisiaj ludzie są bardziej świadomi. O seksie mówi się w telewizji, pisze w kolorowych gazetach. Nadal mamy komplety pacjentów, ale zmieniły się problemy.

Jeśli chodzi zaś o zaburzenia seksualne – te na

przestrzeni dziesięcioleci się nie zmieniły. Ludzie mają dzisiaj te same problemy co pół wieku temu. Zgłaszają się pacjenci z problemami związanymi z seksualną patologią: przedwczesne wytryski, problemy z erekcją, brak chęci do seksu, brak potrzeby seksu, nieskonsumowane związki, kłócące się pary, zdrady.

Czasami przychodziły do gabinetu osoby z problemami, które w ogóle nie były opisane w żadnych podręcznikach. Te przypadki omawiałem potem we własnych książkach, nadając im odpowiednie nazwy. Dzisiaj dużo mówi się o zjawisku, które nazywa się „seksomia”. To seks w czasie snu, gdy człowiek wykonuje różne seksualne czynności wobec kogoś, kto śpi obok, a rano już tego nie pamięta. Ja opisałem to zjawisko o wiele wcześniej (miałem wystąpienie na ten temat na konferencji naukowej w Paryżu), nadając mu nazwę „zespołu Morfeusza”.

Pamiętam też, że w jednej z książek, które sprowadziłem z Zachodu, przeczytałem o zespole Koro, który stosunkowo często występuje u mężczyzn w południowo-wschodniej Azji. Polega on na tym, że mężczyzna boi się, że członek zniknie mu w brzuchu, a to doprowadzi do śmierci. Miała to być przypadłość charakterystyczna dla Azjatów, głównie

Chińczyków, wynikająca z tamtejszej kultury i filozofii. Tymczasem do mojego gabinetu trafił mężczyzna z takim samym problemem. Z czasem okazało się, że zespół Koro występuje nie tylko na Dalekim Wschodzie, choć w innych miejscach ma inne podłoże. Mężczyzna boi się, że jeśli nie uprawia seksu, to członek się kurczy.

Jest jeszcze jeden odwieczny problem: wstyd. To z nim musiałem walczyć od pierwszego dnia mojej pracy. Często bywa tak, że w gabinecie seksuologa człowiek po raz pierwszy w życiu rozmawia o seksie, więc to zrozumiałe, że się wstydzi. W latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, a nawet i w osiemdziesiątych ludzie nie wiedzieli, w jaki sposób mówić o seksie, jakich używać słów. Dzisiaj jest z tym lepiej, bo o seksie mówi się tak wiele w mediach, że trudno tej tematyki nie dostrzec.

Kiedy proszę mężczyznę, aby rozebrał się do badania, pojawia się strach. Jak to? Ostatni raz jego narządy płciowe widział pewnie pediatra, a urologa mężczyźni odwiedzają raczej w późniejszym wieku. Z kobietami jest łatwiej, bo przez całe życie odwiedzają ginekologa. Zarówno pacjenci, jak i nawet lekarze często uważają, że przyczyny problemów z seksem tkwią tylko w psychice. Jeśli

pacjentka mówi, że nic nie czuje w trakcie seksu, bo jej pochwa i łechtaczka wydają się znieczulone, muszą sprawdzić, co się dzieje, i nie mogą poprzestać tylko na rozmowie. Moje doświadczenie terapeutyczne i psychologiczne jest również potrzebne, ale jeśli kogoś coś boli lub organizm w zaskakujący sposób reaguje na seks, to czasami mogę pomóc właśnie dlatego, że jestem lekarzem.

Polacy mają jeszcze jedną specyficzną cechę – wstydzą się badań testowych, bo boją się, że źle wypadną. Kiedy mówię, że teraz przejdziemy do badań testowych, pacjenci często próbują się wymigać („Nie, ja źle wypadnę, bo jestem niewyspany”). Proszę, żeby coś narysowali, i słyszę: „Ale ja nie umiem rysować, panie doktorze”. A to przecież nie jest egzamin konkursowy na ASP! Wstydzą się, że źle wypadną i dostaną dwóję do dziennika.

## SEKS A SPRAWA POLSKA

*Moralność pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej i *Dzieje grzechu* Stefana Żeromskiego to dwie lektury, które kojarzą nam się ze stosunkiem Polaków do seksu w przeszłości. Rzeczywiście, obie książki trafnie opisują pewien wycinek rzeczywistości – **kulturę**



**drobnomieszczańską**, gdzie dominował model patriarchalny i ideał kobiety skromnej oraz pracowitej, sztuka miłosna była uboga w pieszczoty, a postawa wobec seksu nieufna. Zapominamy o tym, że erotyzm w polskiej kulturze nie został jeszcze precyzyjnie opisany. Inaczej wyglądało to choćby w **kulturze wiejskiej**, która próbowała znaleźć złoty środek pomiędzy nauczaniem Kościoła a zdrowym i racjonalnym podejściem do seksu. Przed ślubem trzeba było sprawdzić, czy panna jest cała i zdrowa, więc często zdarzało się, że panny młode szły do ołtarza z brzuchem. Obowiązywała bowiem jednocześnie jeszcze inna zasada – jak dziewczyna zaszła w ciążę, ślub trzeba było wziąć.

Zupełnie zapomniana była natomiast rozwijająca się od XVII wieku **kultura sarmacka**. Pewnie dlatego, że w czasach PRL-u nie wypadało przypominać szlacheckich tradycji. Dlatego dzisiaj możemy być zdziwieni tym, że kulturę sarmacką cechowała wysoka pozycja kobiety, jej prawo do seksualnej satysfakcji

oraz zachęcanie żon do aktywności. Ceniona była jurność, zdrowe podejście do seksu i odrzucanie idei ascezy seksualnej. Ta tradycja rozwijała się w otwartej na inność Polsce – wielokulturowej i wielonarodowościowej, pełnej Rusinów, Białorusinów, Litwinów, Holendrów, Czechów i Niemców.

Mężczyzna szedł z pospolitym ruszeniem i spędzał na wojnie wiele lat. Ktoś musiał prowadzić gospodarstwo, więc zajmowały się tym żony i w efekcie zyskiwały wysoką pozycję społeczną. Nawet w staropolskich listach, które przetrwały do dzisiaj, widać, że małżonkowie darzą się dużym szacunkiem: „całuję rączki pani dobrodziejce”. Dużo tam elegancji i czułości. Oczywiście, ograniczenia istniały – choćby nierówność wobec prawa, która przejawiała się w zasadach dziedziczenia. Niemniej jednak styl życia był swobodny, a stosunek do seksu po prostu zdrowy.

Dopiero w **XIX i XX** wieku postawy wobec seksu zostały zdominowane przez obyczajowość

drobnomieszcząską, cechującą się pruderią, wstydlivością, nieufnością i zahamowaniami. Trudno zatem mówić o jakiejś ogólnej specyfice polskiego erotyzmu.

Źródła, z których czerpie się informacje o tym, jak Polacy traktowali w przeszłości seks, to głównie zapiski osobiste – pamiętniki z tamtych czasów i listy, które ciągle można odnaleźć w archiwach.

**Pierwszy polski przepis prawny poświęcony sprawom seksu wprowadzał zakaz kontaktów zoofilnych i homoseksualnych.** W 1279 roku **król Bolesław Wstydlivy** ustanowił prawo dla miasta Krakowa: „Kto znaleziony był z bydlęciem, albo chłop z chłopem przeciw przyrodzeniu sprawę miał, takowi mają być na gardle karani, spaleni bez żadnego zmiłowania i łaski”. Podobne przepisy istniały również w innych krajach Europy, ale u nas rzadko były egzekwowane.

Kolejne zachowane dokumenty opisujące kwestie seksu powstały kilkaset lat później. W XVI wieku

**Szymon z Łowicza** w *Poradniku lekarskim* opisał wiele praktycznych sposobów. Jeden z nich mówił, w jaki sposób rozpoznać dziewicę – dać dziewczynie do picia przetarty korzeń rzepy. Jeżeli będzie się jej po tym odbijało, to nie jest dziewicą.

Znanym pionierem edukacji seksualnej w Polsce był **Jędrzej Śniadecki**, który żył na przełomie XVIII i XIX wieku. Napisał książkę *O fizycznym wychowaniu dzieci* – dzieło, jak na tamte czasy, bardzo otwarte i nowatorskie. Niestety jego poglądy nie trafiały pod strzechy.

W XIX wieku na edukację seksualną wielki wpływ wywarła książka **Samuela Auguste'a Tissota** *Onanizm*, która wywołała antymasturbacyjną obsesję trwającą do drugiej połowy XX wieku. Tissot był przekonany, że straszenie piekłem to za mało, aby zniechęcić do masturbacji, i dlatego postanowił straszyć chorobami, których litania była imponująco rozległa, począwszy od ogólnego osłabienia, na śmierci kończąc. Kolejne pokolenia młodzieży były

wychowywane w lęku przed następstwami masturbacji.

Masturbacja legła jednak u podstaw seksuologii – to jej poświęcono pierwsze badania populacyjne w zakresie seksu. W 1903 roku doktor **Tadeusz Łazowski** na podstawie badania młodzieży stwierdził, że masturbuje się 64% nastolatków.

Interesującym, chociaż niesłusznie zapomnianym, pionierem polskiej seksuologii był **Stanisław Kurkiewicz** z Krakowa. To on, jako pierwszy, postulował wprowadzenie w nauce terminu „seksuologia”. W opracowanym przez siebie słowniku proponował upowszechnienie polskiej terminologii seksualnej: masturbację proponował nazywać „samieństwem”, pieszczoty palcami – „palcowiznami”, pobudzanie ręką narządów płciowych mężczyzny – „merdanką”, pobudzanie narządów kobiety – „gmeranką”, erekcję – „wzwodnością”, a stosunek – „płceniem”. Proponowana przez niego terminologia, jak sami wiemy, nie zyskała popularności.

W okresie międzywojennym seksuologia zaczęła być traktowana poważniej. Wpływ na to miały dzieła **Bronisława Malinowskiego** *Seks i stłumienie w społeczności dzikich oraz inne studia o płci, rodzinie i stosunkach pokrewieństwa* z 1927 roku, a także *Życie seksualne dzikich w północno-zachodniej Melanezji* z 1929 roku. W tych latach ukazały się kolejne ważne książki innych autorów: *Życie płciowe naszych czasów* Iwana Blocha, *Vita sexualis* Pawła Klingera czy erudycyjna, czterotomowa *Encyklopedia wiedzy seksualnej* autorstwa Maxa Marcuse'a z 1937 roku. (To dzieło wywarło na mnie wielkie wrażenie i pogłębiło zainteresowanie seksuologią. Pierwszy raz miałem je w ręce w 1965 roku. Niestety nie było mnie wtedy stać na jego zakup).

Seksuologią interesowali się w tamtych czasach również duchowni. Jednym z nich był świątły i zupełnie zapomniany ksiądz **Karol Mazurkiewicz**, autor opublikowanych w 1931 roku książek *Kwestia*

*seksualna w wychowaniu i Pedagogika wobec kwestii seksualnej.* Oczywiście nie wyszedł poza ortodoksję, ale godne podziwu było to, że zajął się tego typu tematyką w obrębie Kościoła. Następnym, który miał to zrobić, był dopiero **Karol Wojtyła**. Przed nim tematyką seksuologiczną nie zajmował się żaden z biskupów. Ani jeden!

Liberalne postawy wobec seksu promowały powstała w 1933 roku w Krakowie **Poradnia Świadomego Macierzyństwa** i oddział krajowy **Światowej Ligi Reform Seksualnych**, a także **Liga Reformy Obyczajów**, w której działali **Irena Krzywicka**, **Zofia Nałkowska**, **Tadeusz Boy-Żeleński**, **Maria Pawlikowska-Jasnorzewska** i **Paweł Hulka-Laskowski**. Oczywiście musieli się liczyć z protestami. Nowoczesne postulaty Boya czy Krzywickiej nie były specjalnie akceptowane.

## PIONIERSKIE LATA

**Towarzystwo Rozwoju Rodziny**, w którym pracowałem, było przez wiele lat jedyną poradnią seksuologiczną w Warszawie. Przewinęły się przez nią tysiące pacjentek i pacjentów. Każdego dnia miałem komplet. To była instytucja, która w Warszawie cieszyła się wielkim poważaniem. Przychodziły do mnie kolejne pokolenia kobiet. Moim pacjentom zawdzięczam napisanie większości swoich książek i artykułów naukowych.

Trafiłem tam przypadkiem. Wcześniej, już w trakcie stażu w szpitalu na Szaserów, włączyłem się w promocję oświaty zdrowotnej. Jeden z pracujących tam pułkowników wciągał mnie w różne akcje. Najczęściej były to spotkania z żołnierzami czy rodzinami oficerów zawodowych. Wygłaszałem prelekcję dla publiczności na tematy związane z problematyką relacji małżeńskich i rodzinnych. Wiele uwagi poświęcałem zagadnieniom seksualnym. W 1967 po jednym z wykładów podeszła do mnie doktor Komorowska, która pracowała w Poradni Przedmałżeńskiej i Rodzinnej Towarzystwa Rozwoju Rodziny w Warszawie, i zaproponowała współpracę. Rozpocząłem pierwszą pracę w charakterze seksuologa. Od początku wiedziałem,



że ta poradnia jest miejscem zasłużonym i wyjątkowym.

Towarzystwo Rozwoju Rodziny dysponowało siecią poradni i przychodni lekarskich na terenie całego kraju. Za czasów największej świetności przychodnie funkcjonowały w szesnastu miastach, a w Krakowie poradnia znajdowała się nawet na Rynku Głównym. Ponadto z usług Towarzystwa można było korzystać w Słupsku, Wrocławiu, Opolu, Lublinie, Poznaniu i innych miastach. Poza przychodniami specjalistycznymi działały też specjalne poradnie młodzieżowe. W sumie było to kilkadziesiąt placówek na terenie Polski.

W Towarzystwie pracowali najsłynniejsi warszawscy lekarze. Prezesem w tym czasie był znany pediatra profesor Łukasz Górnicki. Przedemną w placówce przy placu Trzech Krzyży przyjmowali twórcy polskiej seksuologii – profesor Imieliński i profesor Kozakiewicz – a także twórca polskiej psychoterapii – profesor Leder. Pracowali tam również kierownicy klinik ginekologicznych, ich adiunkci i asystenci, wielu wspaniałych lekarzy. Wszyscy robili to w zasadzie charytatywnie. To były czasy, kiedy ludzie potrafili tak pracować i nie pytali od razu, czy coś za to dostaną i ile.

Trafiały do nas nastolatki, które zamierzały rozpocząć

życie seksualne. Nagminnie. Ciągłe przeprowadzaliśmy te rozmowy: chłopak naciska – co robić, czy będzie bolało, jak się zabezpieczyć, żeby nie zająć w ciążę. W TRR pracowali doświadczeni ludzie, było wielu wolontariuszy, którzy naprawdę pomagali tym dzieciakom, żeby nie narobiły błędów. To nie było namawianie do seksu, ale rozmowa – rozważenie wszystkich za i przeciw oraz informacja o antykoncepcji. Co więcej, wszystkie porady były za darmo. Młodzi ludzie przychodzili z ulicy, a my byliśmy do ich dyspozycji. Dzisiaj można współczuć młodzieży, że nie może skorzystać z usług tego typu instytucji. Oczywiście teraz młodzi szukają odpowiedzi na palące pytania w internecie – niestety jednak często są to informacje nieprawdziwe, wprowadzające w błąd, a nawet szkodliwe. Nie wiadomo, komu zaufać, kto udziela rady, powstał straszny bałagan. Także w kolorowych magazynach wiele się pisze o seksie, temat podejmują nawet poważne dzienniki – dość wspomnieć cykl poświęcony antykoncepcji na łamach „Gazety Wyborczej”. Jednak jestem przekonany, że tego typu artykuły nie powinny zastępować prawdziwej, rzetelnej edukacji seksualnej. Wiedza na temat seksualności człowieka powinna być przekazywana całościowo i dotyczyć jej kilku

podstawowych wymiarów: oczywiście biologicznego, ale i psychologicznego, społeczno-kulturowego czy duchowego. Dlatego od wielu lat, niezależnie od istnienia przeznaczonych do tego instytucji, jeżdżę po Polsce z wykładami, spotykam się z młodzieżą szkolną. Rozmawiamy. Traktuję to jako pewnego rodzaju misję. Często jestem zapraszany do szkół, młodzi ludzie są spragnieni wiedzy, zadają pytania. Czasem śmieję się, że jestem takim otwartym, latającym uniwersytetem seksuologicznym. Zależy mi na tym, żeby młodzież, także ta z mniejszych miejscowości, miała dostęp do rzetelnej wiedzy medycznej, bo trzeba pamiętać, że na temat seksu powstało szereg mitów. Poza tym – co istotne – Kościół jest niechętny antykoncepcji, jest przeciwny wszystkim metodom, które nie są naturalne, i stara się je zwalczać. Gdyby chodziło tylko o propagowanie wśród ludzi wierzących metod naturalnych czy namawianie młodych, żeby wytrwali we wstrzemięźliwości, nie miałbym oczywiście żadnych zastrzeżeń. Niestety jednak ofensywa przeciwko tak zwanym nienaturalnym metodom zapobiegania ciąży polega często na tym, że pravicowi dziennikarze, publicyści, a nawet księża – ale nie lekarze! – poza podawaniem argumentacji natury moralnej, do której

mają pełne prawo, straszą także konsekwencjami zdrowotnymi, jakie mają ponieść kobiety, które stosują antykoncepcję hormonalną. Wychodzą na ten temat całe książki, broszury i ulotki, które bardzo krytycznie odnoszą się do antykoncepcji. Ulotki rozdawane są potem młodzieży na lekcjach religii w szkołach. To ma wpływ na ludzi i ich wybory – z tego powodu najbardziej popularną metodą antykoncepcyjną w Polsce jest prezerwatywa. Kościół jej co prawda nie aprobuje, ale też nie zwalcza tak mocno jak pigułki.

Cała sprawa jest o tyle ciekawa, że Kościół – dzisiaj propagujący metody naturalne – był z początku ich przeciwnikiem. Kiedy Billingsowie opracowali metodę badania śluzu, polscy duchowni blokowali wydanie ich książki, która dokładnie ją opisywała. Księża byli do tej metody nastawieni bardzo wrogo! Książka została przetłumaczona z angielskiego przez lekarkę, ginekolożkę, którą znałem ze spotkań w KIK-u, osobę bardzo zaangażowaną religijnie. Kiedy okazało się, że są trudności z wydaniem tej publikacji, zwróciła się do mnie o pomoc. Spotkałem się z księdzem, który był odpowiedzialny za wstrzymanie publikacji, i próbowałem go przekonać

do zmiany decyzji. Powtórzył mi to samo co tłumaczce – nie ma mowy, nie wiadomo, kim są ci Billingsowie z Australii, nie możemy ich promować. Poza tym badanie śluzu to nieprzyzwoite i nieskromne „dotykanie się”. Z czasem jednak Watykan postanowił, że metoda Billingsów będzie popieranym przez Kościół sposobem kontrolowania płodności, i wtedy okazało się, że będzie promowana również w Polsce. Jak widać, kościelne młyny miały powoli.

Polacy są przekonani, że dzisiaj mają o wiele większą świadomość i wiedzę na temat antykoncepcji niż czterdzieści lat temu. Ja wcale nie jestem tego pewien.

W TRR edukacja seksualna była traktowana jako jeden z priorytetów działalności organizacji. Dział poradnictwa organizował szkolenia (coś na kształt cywilnych nauk przedmażeńskich) na temat życia małżeńskiego, rodzinnego i seksualnego; wydawał specjalne biuletyny, ulotki, broszurki, książki, slajdy do wykorzystania w prelekcjach... Promowanie edukacji seksualnej było codziennością w działalności poradni i w przychodniach. Jednocześnie rozdawało się prezerwatywy i produkowało globulki dopochwowe. TRR miało nawet na parterze przychodni

na Karowej fabryczkę produkującą środki antykoncepcyjne – słynne globulki, które były bardzo poszukiwane. Potem pojawiły się kapturki na szyjkę macicy; popularna i niezwykle wygodna dla kobiet metoda.

Wbrew jednak temu, co mówiono w kręgach kościelnych, nigdy nie wykonywano tam aborcji. Pomawiano nas o to, że jesteśmy „abortystami” i że u nas masowo przeprowadza się zabiegi, ale prawda jest taka, że w przychodniach TRR zabiegi przerwania ciąży nigdy nie były dokonywane.

W Polsce ciągle słyszałem zarzuty, że rozpowszechniam antykoncepcję i aborcję. Ponieważ przez jakiś czas byłem prezesem TRR, moją działalność stale kojarzono z International Planned Parenthood Federation. To międzynarodowa organizacja, która objęła swoim patronatem TRR. Do dzisiaj celem działalności IPPF jest upowszechnianie prawa do aborcji i antykoncepcji oraz walka o prawa seksualne, ale u nas, w Polsce, mieliśmy zawsze inny program. Absurd sytuacji polegał na tym, że byłem między młotem a kowadłem – z jednej strony musiałem tłumaczyć, że nie jestem na pasku IPPF, a z drugiej – prowadziłem wojnę z tą organizacją. Wojna

ta zresztą zakończyła się tym, że zostałem zmuszony do zrezygnowania z funkcji prezesa TRR.

A poszło właśnie o aborcję! Zgadaliśmy się, że trzeba upowszechniać antykoncepcję oraz edukację seksualną. Ja ją jednak widziałem nieco szerzej niż IPPF. Uważałem, że nie wystarczy informować o antykoncepcji i chorobach przenoszonych drogą płciową, ale warto mówić również o fazach rozwoju seksualnego człowieka, o związkach, emocjach i miłości. Istniał więc między nami spór ideologiczny. Natomiast w sprawie aborcji nie zgodzaliśmy się już zupełnie.

Nie chciałem pozwolić, żeby w placówkach rozwoju rodziny wykonywano aborcje. IPPF domagało się, żeby nasi lekarze w naszych klinikach przerywali ciążę. Oprócz tego żądało, żebyśmy organizowali pochody i marsze oraz lobbowali w sprawie dostępu do legalnej aborcji w Polsce. To były lata dziewięćdziesiąte i w polskim prawie wprowadzono zmiany dotyczące dostępności przerywania ciąży. Z jednej strony walczyłem więc z oskarżeniami kręgów *pro-life*, że pokątnie usuwamy ciążę, z drugiej zaś – z nieustannymi naciskami IPPF. Odpowiadałem im, że TRR wypowiedziało się wyraźnie w sprawie ustawy, że

jesteśmy przeciwni zakazowi aborcji. W naszych przychodniach aborcji się nie wykonywało, bo uważałem, że placówki Towarzystwa Rozwoju Rodziny miały trochę inny charakter, służyły innym celom. Nasze pacjentki wiedziały, że u nas nie ma aborcji, ale nie oznaczało to, że nasi lekarze nie mogą ich w swoich gabinetach przeprowadzać. Jeśli chodzi o marsze organizowane w obronie prawa do legalnej aborcji – nie mogło być o nich mowy. To już były czasy silnych wpływów organizacji *pro-life*. Naprawdę czułem się jak w oku cyklonu i nie chciałem z nimi walczyć. W Polsce gorące dyskusje na ten temat toczyły się wszędzie. Działacze IPPF zupełnie nie przyjmowali do wiadomości specyfiki polskiej sytuacji. W końcu powiedziałem, że nie będziemy się zajmować działalnością uliczną. Wtedy dostałem propozycję nie do odrzucenia: jeżeli będę dalej prezesem Towarzystwa Rozwoju Rodziny, to nie dostanie ono żadnej pomocy finansowej, a jeżeli odejdę, to pomoc się znajdzie.

Cóż było robić? Zrezygnowałem.

Towarzystwo potrzebowało pieniędzy na wydawanie swoich periodyków i na „Problemy Rodziny”. W tamtych czasach to było jedyne pismo, gdzie można było publikować



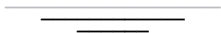
prace naukowe i popularnonaukowe o seksie. Pisaliśmy o seksuologii, antykoncepcji, sprawach małżeńskich, patologiach rodzinnych. IPPF jednak chciało, żeby to pismo zajmowało się tylko tematyką antykoncepcji i aborcji. Pismo wychodziło przez cztery dekady, a w wyniku ostrej kampanii IPPF padło!

Przez wiele lat pod auspicjami Ogólnopolskiej Lekarskiej Przychodni Specjalistycznej Towarzystwa Rozwoju Rodziny działał Instytut Seksuologii Klinicznej Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego, w którym odbywali staże i zdawali egzaminy lekarze specjalizujący się z seksuologii. Odbywali również staże studenci Wydziału Psychologii WSiFZ w Warszawie. Kierowałem tą przychodnią przez wiele lat, aż do jej zamknięcia w lutym 2010 roku. Przyczyna była prozaiczna – przychodnia nie spełniała norm unijnych, znajdowała się bowiem na trzecim piętrze, a nie było windy. Do tego stale podwyższany przez nowego właściciela czynsz przekraczał możliwości finansowe przychodni. Leczyło się w niej dosłownie tysiące pacjentów z całego kraju. W czasach kiedy leczenie w niej było bezpłatne, przeważały pacjentki. Wiele z nich pracowało w pobliskich urzędach centralnych i w godzinach

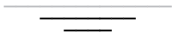
pracy udawały się na zakupy oraz po poradę do seksuologa.

Miały blisko.

# SEKS INTEGRALNY



ZAWSZE BĘDĘ PAMIĘTAŁ MOJE PIERWSZE SPOTKANIE ZE STUDENTAMI KUL-U. PEŁNA AULA, A W NIEJ SPORO ZAKONNIC. JA W MUNDURZE I Z TEMATEM *PSYCHOFIZJOLOGIA SEKSUALNA W BADANIACH SZKOŁY MASTERSA I JOHNSON*. CHODZIŁO O PIONIERSKIE WYNIKI BADAŃ TEJ PARY BADACZY, UZYSKANE W WARUNKACH LABORATORYJNYCH Z UDZIAŁEM APARATURY POMIAROWEJ. SZCZEGÓLNIIE WAŻNE BYŁY BADANIA NAD FAZAMI REAKCJI SEKSUALNYCH Z ORGAZMEM ŁĄCZNIE. MÓWIĘ ZATEM, CO SIĘ DZIEJE W TRAKCIE PODNIECENIA I ORGAZMU U KOBIET I MĘŻCZYZN – CO SIĘ WYDŁUŻA, A CO SIĘ SKRACA, JAK WYGLĄDA SKÓRA I NARZĄDY PŁCIOWE W KOLEJNYCH FAZACH REAKTYWNOŚCI SEKSUALNEJ, FIZJOLOGIA WYTRYSKU... W AULI CISZA JAK MAKIEM ZASIAŁ I WIDZĘ TYLKO, JAK ZAKONNICE PILNIE WSZYSTKO NOTUJĄ. SIEDZĄ W HABITACH JEDNA KOŁO DRUGIEJ I NOTUJĄ. ZWOLNIŁEM TEMPO WYKŁADU, ŻEBY MOGŁY NOTOWAĆ DOKŁADNIE. SCENA JAK Z FILMU!



Kiedy opuściłem wojsko, czekała na mnie praca w szpitalu psychiatrycznym w Drewnicy. Pracowałem tam na etacie asystenta na oddziale dla kobiet pod opieką wspaniałego lekarza – dyrektora szpitala – doktora Jaroszewskiego. Wreszcie mogłem rozpocząć upragnioną specjalizację z psychiatrii.

Gorzej było z mieszkaniem, bo wojsko mnie w tej kwestii trochę oszukało – oddałem nasze lokum w Siedlcach, a gdybym tego nie zrobił, to pewnie pomogliby mi znaleźć coś w Warszawie. Musieliśmy wynająć mieszkanie w Ząbkach, blisko szpitala w Drewnicy, w którym byłem zatrudniony. Rozpocząła się moja cywilna kariera.

W Ząbkach trafiliśmy na bardzo niedobrą atmosferę. Wspólna kuchnia z gospodarzami, nawet przy ustalonych godzinach korzystania z niej, była powodem stałych nieporozumień i kłótni. Robiło się naprawdę nieprzyjemnie. Wyprowadziliśmy się i wynajęliśmy mały domek gospodarczy obok dwupiętrowej willi, w której mieszkali nasi gospodarze handlujący na bazarze Różyckiego. W jednej z części domu prowadziłem praktykę prywatną. Współpraca układała się dobrze, ale warunki życia były

bardzo skromne. Trzeba było opalać węglem, co nas mocno męczyło. Cały czas walczyliśmy o własny kąt.

Oczywiście w tamtych czasach na zdobycie mieszkania trzeba było poświęcić mnóstwo energii. Musieliśmy przeżyć te wszystkie PRL-owskie absurdy – żeby dostać się do spółdzielni mieszkaniowej, trzeba było mieć meldunek w Warszawie, a do tego potrzebne było mieszkanie, którego nie dało się zdobyć poza spółdzielnią. Długo to wszystko trwało.

W tym czasie rozpocząłem pracę w Instytucie Psychiatrii i Neurologii przy Sobieskiego w Warszawie. Codziennie dojeżdżałem tam z Żąbek. Droga była długa. Rano trzeba było pójść na dworzec kolejowy, z dworca dojechać do Warszawy Wileńskiej, a z Warszawy Wileńskiej przez całą Warszawę przejechać komunikacją miejską do Instytutu Psychiatrii na drugi koniec miasta. Jechałem w tłoku ponad godzinę w jedną stronę.

Pierwsze mieszkanie w bloku dostaliśmy w 1973 roku. Mieściło się na warszawskim osiedlu Stegny, niedaleko Instytutu Psychiatrii i Neurologii. Dojazdy do pracy stały się przyjemnością.

W tym czasie byłem też wykładowcą na Katolickim

Uniwersytecie Lubelskim. Zaproponowano mi prowadzenie seminarium międzywydziałowego z seksuologii. Moja współpraca z tą uczelnią, tak jak z innymi instytucjami kościelnymi, zaczęła się w bardzo naturalny sposób. Opublikowałem w „Tygodniku Powszechnym” kilka tekstów, które się spodobały, doceniono moją bezstronność i naukowe podejście do tematu, a także przychylność wobec nauki Kościoła. Głód wiedzy był w tym czasie duży, pierwsi duszpasterze akademicy, którzy mnie zapraszali, przekazywali informację kolejnym, potem pojawiła się propozycja pracy na KUL-u.

Uczelnia była wspaniała: znamienita kadra naukowa, studenci z całego kraju, klimat otwartości, posoborowy duch. Ksiądz profesor Władysław Piwowarski, dziekan Wydziału Teologii, zaprosił mnie do swego gabinetu na rozmowę. Pytał o zainteresowania i pracę zawodową. Wspomniałem mu, że interesuje mnie filozofia i planuję rozpocząć studia filozoficzne na KUL-u. Wiedzę o filozofii traktowałem jako uzupełnienie wykształcenia medycznego i psychologicznego. Zaczęło się od lektury *Historii filozofii* Tatarkiewicza, personalizmu Mouniera oraz książek podsuwanych mi przez biskupa Klepacza.

Jednak ksiądz profesor Piwowarski miał wobec mnie inne plany i podsunął mi pomysł napisania doktoratu pod jego kierunkiem. Zaakceptował tytuł pracy (*Seks integralny*), uzyskał zgodę od władz uczelni i otrzymałem listę przedmiotów do zaliczenia. Zdawałem je po kolei. Najciekawszym przeżyciem był egzamin z tomizmu u ojca profesora Mieczysława Krapca. To było nader interesujące spotkanie: po odpytaniu mnie z tomizmu i formalnym wpisaniu oceny profesor rozpoczął dyskusję na temat możliwości łączenia tomizmu z psychiatrią i psychoterapią. O seksuologii nie mówiliśmy, ale i tak podziwiałem szerokie horyzonty ówczesnych wykładowców KUL-u.

Zdałem egzaminy i oddałem oprawioną w skórę pracę mojemu promotorowi. Dowodziłem w niej, że seks ma cztery wymiary: biologiczny, psychologiczny, społeczno-kulturowy i duchowy. A każdy z tych poziomów jest równie ważny.

Czekałem na decyzję. W tym czasie spotkałem się w Warszawie z profesorem Stefanem Lederem. Rozmowa z nim diametralnie zmieniła moje plany.

Profesor Leder był wybitnym psychoterapeutą i dydaktykiem z barwną i charyzmatyczną osobowością.



Komunista z przekonania, ale bardzo tolerancyjny, również wobec religii – jeśli kogoś prześladowano za poglądy, to szybko reagował. Stworzył Klinikę Nerwic w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Ideowiec, który nie przywiązywał wagi do stroju (pojawiał się czasem w skarpetkach nie do pary), poliglota, błyskotliwy, wszechstronny, komunikatywny i co najważniejsze, demokrata. Medycyna to dziedzina, gdzie feudalizm ma się wciąż nieźle, widać to nawet podczas obchodu w szpitalu – peleton zaczyna się od „cara”, a kończy na „giermku”. On był o wiele bardziej otwarty i bezpośredni. Potrafił dyskutować, ale dawał się przekonać do innej opinii. Kiedy dowiedział się o moim doktoracie na KUL-u, stwierdził, że nie wybrałem najlepszej drogi. Uznał, że skoro chcę się rozwijać naukowo w kierunku seksuologii, to tego typu doktorat mi tego nie ułatwi, i że byłoby lepiej, gdybym wybrał naukową karierę w medycynie, a nie w filozofii. Wiedział o moich problemach w wojsku, znał moich wpływowych przeciwników. Radził mi szczerze, abym nie dawał im do ręki argumentów utrudniających karierę naukową.

Po tej rozmowie zrezygnowałem z obrony doktoratu

na KUL-u. Na półce w tamtejszej bibliotece stanął egzemplarz mojej nieobronionej pracy. Promotor zrozumiał sytuację i nie naciskał. Było mi bardzo przykro, to oczywiste. Praca była gotowa, wydrukowana, cała. Poświęciłem jej sporo czasu i wycofałem się tuż przed metą. Byłem bardzo zadowolony z tytułu *Seks integralny* – później jeden z jezuitów wykorzystał ten zwrot i zaczął go używać w swoich pracach (być może nawet chodził na moje wykłady na KUL-u?). Na szczęście jestem osobą, która szybko potrafi spaść na cztery łapy. Mam mechanizmy wyrównawcze – uciekam w lektury, słucham muzyki. Z natury jestem optymistyczny i pogodny, więc szybko potrafię się wykaraskać z rozmaitych tarapatów.

Patrząc na tę sytuację z perspektywy czasu, myślę, że dobrze się stało. Cała moja kariera jest oparta na medycznych stopniach naukowych, a i tak do tej pory zdarzają się ludzie, którzy uważają, że jestem bardziej psychologiem niż lekarzem. „Pan? Lekarz?” – pytają często moi pacjenci. Jestem i tym, i tym, ale kojarzę im się bardziej z psychologią niż z medycyną.

Rezygnacji ze ścieżki naukowej nie brałem pod uwagę nawet przez chwilę. Zresztą nie pozwoliłby mi na

to profesor Adam Bilikiewicz (syn wielkiego Tadeusza Bilikiewicza, który był pionierem seksuologii w Polsce). Zmobilizował mnie do pracy. Powiedział: „Dlaczego nie robisz doktoratu? Ja się tobą zajmę. Piszesz książki, artykuły, tytuł naukowy podniesie twoją wartość. Traktują cię jako autorytet, a ty nawet nie masz doktoratu. Musisz wzmocnić swoją pozycję naukową!”. Został moim promotorem. Chciałem doktoryzować się z seksuologii. W tamtych czasach w warszawskich uczelniach nie było do tego warunków, więc tytuł ostatecznie uzyskałem w Akademii Medycznej w Gdańsku, gdzie wykładał profesor Bilikiewicz. Doktorat oparty na programie badawczym napisałem i obroniłem bardzo szybko. Dotyczył on zaburzeń seksualnych o charakterze psychogennym. Już na przyjęciu z okazji obrony profesor Bilikiewicz podszedł do mnie i powiedział: „To teraz bierz się do habilitacji”. Tak też zrobiłem! Oparłem ją na dużym projekcie „Seks uzależnionych od alkoholu i narkotyków”, który był częścią wielkiego międzynarodowego programu badawczego. Później współpracowałem z Profesorem przez wiele lat i przysyłałem mu każdą kolejną książkę z dedykacją. Wiele mu zawdzięczam.

Dojazdy do Lublina dezorganizowały mi życie. Połączenia z Warszawy były kiepskie, trzeba było spędzać tam dwa dni, z noclegiem. Podróże w każdym tygodniu, przy pełnoetatowej pracy, były niezwykle wyczerpujące. Jednak ogromnym plusem tych wyjazdów był kontakt z wykładowcami z KUL-u. Dzisiaj nawet trudno to sobie wyobrazić – przyjeżdża seksuolog do katolickiej uczelni i nikt go nie cenzuruje, niczego nie narzuca i niczego nie wymaga. Wykładało tam wielu profesorów, którzy nigdzie indziej nie mogli się pokazywać. KUL był wtedy szczególną uczelnią.

Na moje zajęcia przychodziło sporo studentów. Przez kilka pierwszych tygodni nie zadawali mi żadnych pytań, ale później rozkręcili się. O tym, że zajęcia cieszyły się popularnością, świadczył fakt, że zaproponowano mi również spotkania w duszpasterstwie akademickim prowadzonym przez jezuitów. Było tam wiele atrakcyjnych dziewczyn. Niektóre przychodziły po poradę, potem odprowadzały mnie na dworzec PKP i w trakcie drogi jeszcze rozmawialiśmy. Co ciekawe, do czasu zakończenia służby wojskowej do Lublina zawsze przyjeżdżałem w mundurze. Nikomu to nie przeszkadzało. Niektórzy

wykładowcy zapraszali mnie do swoich domów na kawę i kieliszek koniaku.

Moja przygoda z KUL-em zakończyła się z prozaicznej przyczyny – miałem coraz więcej zajęć z pacjentami w kilku miejscach pracy. Nie dało się tego pogodzić czasowo.

W tym samym czasie miewałem również sporadyczne wykłady na Akademii Teologii Katolickiej, ale do atmosfery i otwartości KUL-u warszawskiej uczelni było daleko. Na jednych z zajęć zaskoczyła mnie niezwykła uroda i zmysłowość studentki zakonnicy. Rozmawiałem z nią po wykładzie. Była świadoma swojej atrakcyjności, ale ceniła powołanie i zamierzała kontynuować studia w Rzymie. Zrobiła potem karierę naukową.

Inna studentka podeszła do mnie po wykładzie i poprosiła o rozmowę. Wyglądała jak niewinny aniołek: łagodne niebieskie oczy, atrakcyjna sylwetka, skromny ubiór. Umówiłem się z nią w moim gabinecie, założyłem kartę chorobową. Powiedziała, że jej problemem jest pociąg do celibatariuszy. Odczuwa silną potrzebę ich uwodzenia. Przyznała, że miała sukcesy. Kiedy postanowiła zakończyć romans z jednym z księży, odrzucony przez nią wielbiciel zaczął ją nękać i doszło do tego, że groziło jej usunięcie z

uczelni. Sprawdziłem, czy nie konfabuluje. Moi znajomi z ATK potwierdzili, że jest dobrą studentką, a jej zachowania są tajemnicą poliszynela i rzeczywiście zawziął się na nią jeden z duchownych. Na szczęście rozmowa z dziekanem pomogła zażegnać konflikt i dziewczyna pozostała na uczelni. Finał tej historii był jednak bardziej zaskakujący: po zakończeniu studiów dziewczyna zgłosiła się do mnie ponownie na wizytę i ujawniła nowy problem – okazało się, że w międzyczasie przestała odczuwać pociąg do celibatariuszy, a zaczęła do... żonatych seksuologów!

Kolejną uczelnią, w której miałem wykłady, był Instytut Bobolanum w Warszawie. Ówczesny rektor ojciec Ryszard Przymusiński zaproponował mi prowadzenie tam zajęć. Bywał nawet u mnie w domu na kolacji. Jezuici byli dobrymi słuchaczami, często dyskutowali. Najczęściej pytano mnie o medyczne aspekty życia w celibacie, masturbację i jej następstwa oraz problemy seksualne, z jakimi zgłaszają się do seksuologów pacjenci. I w tym przypadku również brak czasu uniemożliwił dalszą współpracę.

## PSYCHOTERAPIA I HIPNOZA

Psychiatrą stałem się na dobre, kiedy pracowałem w szpitalu w Drewnicy. W tym czasie zdobywałem również wiedzę o psychoterapii w trakcie kolejnych staży u profesora Kratochvila w szpitalu w Kromieryżu w Czechosłowacji. Każdy z nas mówił w swoim języku i świetnie się rozumieliśmy. Uczył mnie psychoterapii, terapii małżeńskiej, seksualnej i hipnozy. Przeszedłem przez trzy etapy kształcenia w zakresie hipnozy i potem często ją stosowałem w swoim gabinecie. Już wcześniej w Polsce zaczęły się pojawiać publikacje Kratochvila. Zobaczyłem, że to jest rodzaj myślenia psychoterapeutycznego, który mi odpowiada, bo łączy różne szkoły. Stosował hipnozę, metody relaksacyjne, terapię par – to były takie metody pracy, które bardzo mnie interesowały. Udało mi się dotrzeć do profesora – napisałem do niego list, a on zaprosił mnie do swojej kliniki.

Hipnoza była wtedy popularną metodą terapii. Dzięki niej pacjent był zrelaksowany i można było dotrzeć do takich poziomów jego świadomości, których na jawie nie chciał odsłaniać. Czasami to bardzo pomagało w postawieniu diagnozy. Dzięki hipnozie można też było

eliminować lęki pacjentów. Jeśli ktoś bał się kobiet, podczas sesji wizualizował sytuacje, w których spotkania z kobietami nie były dla niego zagrażające. W ten sposób udawało się skutecznie zmniejszyć jego napięcie.

Powoli, sesja po sesji, fobie były eliminowane. Na przykład mówiłem tak: „Dzisiaj wieczorem podejmiesz z żoną kontakt seksualny, będziesz spokojny, nie będziesz czuł lęku, najpierw dotkniesz ją...”, i tak dalej.

Wiele metod w historii medycyny traci z czasem na popularności. W przypadku farmakologii jest to oczywiste – środki są coraz bardziej doskonałe. Zmiany postępują jednak również w zakresie psychoterapii. Przede wszystkim skraca się czas przeznaczany na terapię. Freud kładł pacjentkę na swojej słynnej kozetce na sesje dwa razy w tygodniu przez wiele lat, teraz takie przypadki są bardzo rzadkie. Tymczasem hipnoza jest wyjątkowo czasochłonną metodą, a są już dzisiaj doskonalsze narzędzia, które szybciej prowadzą do celu. Z tych powodów, mimo że cenilem hipnozę, dzisiaj stosuję ją o wiele rzadziej niż kiedyś.

Hipnoza w ogóle nie jest dzisiaj zbyt popularna, chociaż co jakiś czas wraca. Teraz często spotykam się z reklamą



gabinetów stomatologicznych, w których robione są zabiegi w hipnozie. To naprawdę może być bardzo skuteczne. Sam też za pomocą hipnozy łagodziłem ból. Kiedy moje znajome rodziły, to czasami udawało mi się odwiedzić je na sali porodowej i wprowadzić w stan hipnozy. Były zachwycone!

Mój model psychoterapii zakłada sześćdziesięciminutowe sesje. Spotykam się z pacjentami najpierw co tydzień lub dwa, a później stopniowo coraz rzadziej. Terapia zamyka się w kilku miesiącach, na pewno nie latach. Jeśli nasz kontakt trwa lata, to już raczej nie jest psychoterapia, tylko pacjent przychodzi z konkretnymi problemami czy sprawami. To jest już psychoterapia podtrzymująca, a wizyty są stopniowo coraz rzadsze.

Na początku lat osiemdziesiątych z inicjatywy profesora Kazimierza Imielińskiego pracowałem w Zakładzie Seksuologii i Patologii Więzi Międzyludzkich Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego w Warszawie. Wreszcie mogłem całkowicie poświęcić się wymarzonej seksuologii i pracy naukowej. Jednak po dwóch latach musieliśmy się z profesorem rozstać. Nie mogliśmy dojść do porozumienia – mieliśmy różne wizje i zupełnie

odmienne osobowości.

Wróciłem tam w 2006 roku. Przez kilka lat kierowałem Pracownią Seksuologii Klinicznej i Sądowej w II Klinice Ginekologii i Położnictwa. Powołanie tego zakładu zawdzięczam ówczesnemu ministrowi zdrowia Markowi Balickiemu. Stała się ona niezbędna, bo przed seksuologią pojawiły się nowe zadania – między innymi wiążące się z organizowaniem leczenia sprawców przestępstw przeciw wolności seksualnej, pedofilów, raptofilów i osób z innymi zaburzeniami. Niedawno Pracownia zmieniła nazwę na Zakład Seksuologii Medycznej i Psychoterapii. CMKP jest to jedyna w Polsce uczelnia medyczna, w której nieprzerwanie od trzydziestu lat istnieje zakład naukowy zajmujący się seksuologią. W nim kształciło się i nadal kształci wielu lekarzy seksuologów. Zakład organizuje również wiele kursów doskonalących w zakresie seksuologii dla lekarzy różnych specjalności i psychologów klinicznych.

Kolejną moją uczelnią stał się Wydział Rehabilitacji Akademii Wychowania Fizycznego im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Dziekan wydziału profesor Aleksander Ronikier, bardzo otwarty umysł, stworzył mi warunki pracy

dydaktycznej i naukowej w zakresie seksuologii. Na tym wydziale zorganizowałem Zakład Rehabilitacji Seksualnej i Psychoterapii. Jest to dotąd jedyna uczelnia w Polsce, w której są wykłady i ćwiczenia z rehabilitacji seksualnej. Pracuję w niej nadal, wykładając ponadto psychiatrię, psychosomatykę i historię rehabilitacji. Byłem w niej przez dwie kadencje dziekanem. W zakresie rehabilitacji seksualnej moją współpracowniczką jest doktor Alicja Długołęcka, wspaniały dydaktyk, pasjonatka o wszechstronnych zainteresowaniach. Często zadawano mi pytanie: „Co ty robisz na AWF-ie?”. Rozmówcy wyobrażają sobie, że uczę seksu sportowców, a „to przecież taka zdrowa młodzież i nie powinna mieć kłopotów w tej sferze życia”. Cierpliwie odpowiadam, że zajmuję się w tej uczelni seksualnością osób niepełnosprawnych, i wtedy pojawia się błysk zrozumienia w oku. Problem dotyczy przecież milionów osób! Kiedy zaczynałem pracę w AWF, temat seksu niepełnosprawnych był nieco egzotyczny i pamiętam ciszę na radach wydziału, kiedy odczytywano takie tematy prac magisterskich jak *Seksualność pacjentów z stwardnieniem rozsianym*. Teraz nikogo już to nie dziwi, a rehabilitacja seksualna pojawia się na krajowych i międzynarodowych kongresach naukowych

poświęconych rehabilitacji i fizjoterapii.

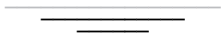
Współpracuję także z Wydziałem Psychologii Wyższej Szkoły Finansów i Zarządzania w Warszawie, w której kierowałem Katedrą Seksuologii i Psychoterapii. Studenci II roku mogą tam wybrać seksuologię jako przedmiot fakultatywny, a od III roku studiować ją w ramach osobnej specjalności. Powstało tam wiele prac magisterskich z zakresu seksuologii.

Jeszcze pięć lat temu codziennie jeździłem z uczelni na uczelnię. Dziś jest trochę luźniej, chociaż ciągle pracuję w kilku. Zajęcia mam rozpisane w kalendarzu na każdy dzień – gdyby mój kalendarz zaginął, byłbym bezradny. Najtrudniejsze sytuacje są wtedy, kiedy dostaję wezwanie z sądu – dowiaduję się na przykład, że we wtorek o jedenastej jest rozprawa, na której muszę się pojawić w charakterze biegłego. Wtedy moje sekretarki mają urwanie głowy i próbują od nowa ułożyć i zgrać wszystkie terminy, spotkania, wykłady i wywiady.

Czasami zdarzają się jednak wpadki. Często umawiam się na spotkania, gdy prowadzę samochód i nie mam przy sobie kalendarza. Kiedyś zadzwoniła do mnie redaktorka z telewizji śniadaniowej i zapytała, czy mogę przybyć

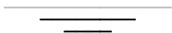
do studia następnego dnia o 9.30. Przejrzałem w myślach plan dnia i odpowiedziałem – jasne, mogę. Tak jak się umówiliśmy, następnego dnia pojechałem na Hożą do studia *Dzień dobry TVN*. Jakie było moje zdumienie, gdy zorientowałem się, że nikt tam na mnie nie czeka! Po szybkiej konferencji telefonicznej okazało się, że zaproszenie było z *Pytania na śniadanie*, a że rozmowa ze mną planowana jest za dwadzieścia minut. Drogę z Hożej na Woronicza przejechałem w kwadrans i zdążyłem dosłownie w ostatniej chwili.

# PRZYPADKI SPECJALNE



NIE CHCIAŁBYM SIĘ CHWALIĆ, ALE POZNAŁEM PRZEDSTAWICIELI WSZYSTKICH SPOŚRÓD PONAD DWUSTU ZABURZEŃ PREFERENCJI SEKSUALNYCH OPISANYCH PRZEZ ŚWIATOWĄ ORGANIZACJĘ ZDROWIA.

JEŚLI DO MOJEGO GABINETU W CENTRUM MIASTA WKROCY KIEDYŚ BIAŁY NOSOROŻEC, NIE MRUGNĘ OKIEM. NIC NIE JEST W STANIE MNIE ZASKOCZYĆ. MIAŁEM DO CZYNNIENIA Z TAK WIELOMA ZABURZENIAMI I DZIWACTWAMI W TEJ SFERZE ŻYCIA, ŻE TRUDNO BYŁOBY MI JE WSZYSTKIE OPISAĆ.



Kiedy zaczynałem pracę, mówiono o dewiacjach, zboczeniach lub perwersjach. Tak nazywano ekshibicjonizm, pedofilię, zoofilię i inne problemy z tej grupy. Eksperti doszli jednak do przekonania, że ta terminologia kojarzy się źle, i wprowadzono bardziej neutralne nazwy. Zamiast określenia „impotencja” używa się dzisiaj terminu „zaburzenia erekcji”, a dawne „dewiacje” zamieniono na „parafilie” lub „zaburzenia preferencji seksualnych”.

Zdecydowanie częściej niż kiedyś mam dzisiaj do czynienia z pedofilią. Temat przestał być tabu, więc pedofile częściej trafiają do gabinetów. Kiedyś często przychodzili ekshibicjoniści. Dzisiaj jest ich niewielu, bo mogą prawdopodobnie zaspokajać swoje potrzeby z pomocą internetu, a jeszcze kilkanaście lat temu musieli marznąć pod drzewem w śniegu czy deszczu. Byli do tego narażeni na agresję przechodniów – pamiętam wiele opowieści o tym, jak przypadkowi przechodnie spuszczały obnażającemu się ekshibicjoniście lanie, krzyczeli „zboczeniec”, łapali, zatrzymywali siłą i wzywali policję. Ekshibicjoniści często trafiali przed sąd. Dzisiaj zostają przed komputerem.



Na początku mojej kariery często miałem też do czynienia z gwałtami. Jest ich obecnie o wiele mniej – głównie dlatego, że seks jest teraz łatwiej dostępny. Dzisiejsze gwałty są przede wszystkim dewiacyjne. Mamy w ich przypadku do czynienia z raptofilami, czyli mężczyznami, którym sprawia przyjemność tylko taka forma seksu. Muszą gwałcić, bo to ich podnieca. Kiedyś większość gwałtów miała inne podłoże. Często bywało tak, że mężczyzna miał potrzebę seksu, której nie potrafił inaczej zrealizować. Nie było ani internetu, ani agencji towarzyskich. Oczywiście, w Warszawie od zawsze funkcjonowały prostytutki przy ulicy Poznańskiej, więc jak kogoś przypiliło, to mógł tam pójść, a ci, którzy mieli pieniądze, szli do drogich hoteli, gdzie panienki już na nich czekały. Ale nie każdego było na to stać, a Poznańska była miejscem spalonym – wszyscy o nim wiedzieli, można było tam spotkać przypadkiem sąsiadkę idącą na Dworzec Centralny. Co pewien czas pokazywano nieszczęsną ulicę w różnych reportażach w telewizji. Wiadomo, temat gorący. Kiedyś nawet mój pacjent został tam sfilmowany z ukrytej kamery i pokazany w telewizji. Sprawa zakończyła się rozwodem.

Dzisiaj dyskretne agencje można znaleźć w każdym mieście, więc gwałt przestał być popularnym sposobem znalezienia partnerki seksualnej. Na złamanie prawa i akt przemocy decydują się mężczyźni, którzy z jakichś przyczyn nie mają dostępu do kobiety albo boją się, że podczas seksu zostaną przez nią ośmieszeni (na przykład z powodu małego członka), albo wreszcie dewianci.

Rzadziej w gabinecie pojawiają się również sadyści i masochiści. Mają dzisiaj do dyspozycji specjalistyczne agencje, a partnerów mogą znaleźć w sieci.

Niektóre parafilie są niezwykle rzadkie. Człowiek, który ma pociąg do pieluszek – autonetiofil – zjawił się w moim gabinecie tylko raz. Był też tylko jeden apotemnofil, czyli człowiek, którego podniecają okaleczenia i wywiera presję na partnerze, żeby ten również się okaleczał. Najczęściej jednak w trakcie mojej kariery po pomoc zgłaszali się do mnie pedofile, ekshibycjoniści, sadyści, masochiści, zoofile, transwestyci i fetyszyści.

Osoby z zaburzeniami preferencji seksualnych nie zawsze od razu ujawniają swoje skłonności. Bywa, że najpierw koncentrują się na tematach zastępczych. Jedni się po prostu wstydzą, inni sondują terapeutę – sprawdzają, jak

traktuje tego typu zaburzenie; mogą też mieć wątpliwości co do szans wyleczenia. W przypadku zachowań traktowanych w prawie karnym jako przestępstwo mogą się również obawiać, że mimo obowiązku zachowania tajemnicy zawodowej terapeuta może czuć się zobowiązany powiadomić prokuraturę lub policję. Oczywiście my nie zgłaszamy tego typu przypadków policji. To nie miałyby sensu – gdybyśmy tak robili, tacy ludzie nigdy nie zgłaszaliby się do specjalistów i nie byłoby żadnej szansy na terapię. Tymczasem pedofilię się leczy – głównie psychoterapią, ale podaje się też leki. Skuteczność terapii ocenia się tym, że człowiek nie wraca do zachowań pedofilnych, a nie tym, że nie odczuwa pociągu seksualnego skierowanego w stronę dzieci.

Zdarza się również, że pacjent przychodzi do mnie już po odwiedzeniu innego terapeuty, który nie krył niechęci do pacjenta z tego typu zaburzeniami. Rozumiem to. Praca z osobami z zaburzonymi preferencjami seksualnymi, szczególnie z pedofilami, wymaga dużej odporności psychicznej, dystansu wobec własnych emocji, doświadczenia zawodowego, wreszcie zaś umiejętności traktowania pacjenta jako chorego, a nie budzącego wstręt

dewianta. Ja także musiałem się tego nauczyć – to zrozumiałe.

Kiedy siada przede mną w gabinecie pedofil, to jest to dla mnie przede wszystkim człowiek, który jest chory, więc chcę mu pomóc. Najpierw muszę zrozumieć, dlaczego robi to, co robi, a potem mu pomagam przestać. Nigdy nie wizualizuję tego, co robił z dziećmi. Zdaję sobie sprawę, że skrzywdził dziecko, ale nie wyobrażam sobie tego i nie zastanawiam się, co by było, gdyby w jego ręce trafił mój syn lub wnuk. Gdybym w ten sposób myślał, to emocje uniemożliwiłyby mi pracę. Zanim jednak nauczyłem się takiego podejścia, musiałem przejść żmudną autoterapię, która trwała wiele miesięcy.

Jak każdy terapeuta, przechodzę tak zwaną superwizję, dzięki której mogę zrozumieć siebie i swoje zachowanie. Kiedy już zacząłem pracę jako psychoterapeuta w Klinice Nerwic, prowadziłem sesje terapii zbiorowych, które były omawiane bardzo dokładnie przez naszych bardziej doświadczonych kolegów. Często z sesji terapii zbiorowej wychodziłem z wielkimi emocjami. Sesje bywały bardzo dramatyczne i trudne, a po ich skończeniu trzeba było pójść do domu i żyć normalnie. Musiałem nauczyć się zostawiać

złe emocje w gabinecie.

Bywam pytany, czy jako człowiek wierzący miewam dylematy moralne w związku z moją pracą. Oczywiście traktuję moich pacjentów jak lekarz, ale seks to specyficzna dziedzina, gdzie jednak sporo zależy od woli. Wyobraźmy sobie pacjenta, który ma stały, udany związek, udane małżeństwo, kochającą żonę, regularnie uprawiają seks. A jednak co tydzień chodzi do agencji. W takich przypadkach nie skupiam się tylko na doraźnej pomocy w problemie, z którym do mnie przyszedł, moja rola nie sprowadza się tylko do wypisania recepty. Rozmawiając z takim pacjentem, próbuję mu uświadomić możliwe konsekwencje jego postępowania – że może się czymś zarazić i może zarazić też żonę. Próbuję go trochę uwrażliwić, wskazać, jakie mogą być następstwa, przynajmniej potencjalne, i namówić go do ich rozważenia.

Inny przykład: mężczyzna ma jednocześnie żonę i kochankę, prowadzi podwójne życie. Wtedy zazwyczaj pytam, jak traktuje związek z kochanką, czy to przelotny romans, seks dla seksu, niezobowiązujący i bez żadnych następstw, czy może jednak relacja, która wiąże się z uczuciem, z jednej lub drugiej strony? Jaki to ma wpływ

na jego stały związek – czy teraz rzadziej współżyje z żoną lub czerpie z tego współżycia mniej satysfakcji, a może zaczyna unikać seksu w małżeństwie? Zastanawiamy się nad tym. Jeżeli jednak pacjent mi mówi, że nic się między nim a żoną nie zmieniło, że on ją kocha, że ich związek jest udany, natomiast kochanka zdaje sobie sprawę, że nigdy nie będą razem, to ja już nie mam żadnego pola manewru. Nie oceniam go ani nie odrzucam. Mogę jedynie próbować pobudzać pacjentów do refleksji, uwrażliwić. Bo nawet ludzie, którzy idą do łóżka tylko dla seksu, nie mogą przecież przewidzieć, czy to się nie rozwinie w coś więcej. Trzeba im uświadamiać możliwe konsekwencje. Niemniej jednak kiedy przychodzi do mnie para, która na przykład reprezentuje tak zwany związek otwarty – dają sobie zezwolenie na romansowanie i obojgu jest z tym dobrze – to przecież ja nie jestem od tego, żeby ich umoralniać. Taki mają system wartości, to jest ich świadomy wybór, oboje to akceptują, chcą to realizować, a u mnie szukają pomocy w konkretnym zaburzeniu. I już. W takiej sytuacji nie ma dyskusji. Ja swoje poglądy zostawiam za drzwiami gabinetu. Tak jest uczciwie. Nie indoktrynuję, nie namawiam do monogamii, słucham i staram się pomóc. Przychodzą do mnie bardzo różne pary, także tak zwani

swingersi, którzy wymieniają się partnerami. Taki mają styl życia, tak zaspokajają swoje potrzeby seksualne. Jeżeli się wzajemnie nie krzywdzą, oboje to akceptują, a przychodzą do mnie na przykład z problemem zaburzenia erekcji, to ja ich nie będę próbował namawiać do tradycyjnego sposobu funkcjonowania. Oczywiście informacja na temat ich seksualnych preferencji może pomóc w postawieniu prawidłowej diagnozy, ale tylko tyle.

## TRUDNE SPRAWY

W każdym tygodniu przychodzi do mnie kilku mężczyzn, którzy proszą o zaświadczenie, że nie są pedofilami. Różnie bywa – niektóre oskarżenia są ewidentnie fałszywe, inne zaś z pewnością uzasadnione.

Sprawa rozwodowa: żona oskarża męża o zachowania seksualne wobec dzieci. Mężczyzna jest przerażony, bo grozi mu sprawa karna. Przybiega do mojego gabinetu i wzburzony krzyczy już od progu: „Panie, ratuj mnie pan. Ja się poddam badaniu, niech mi pan wyda zaświadczenie, że nie jestem pedofilem”. Błaga o pomoc. Tłumacząc: „Proszę pana, takie zaświadczenie nie ma wartości. Musi być biegły powołany przez sąd, a to, co napiszę, nie ma dla sędziego znaczenia”. Nie mogę wydać żadnego zaświadczenia tylko na podstawie rozmowy w gabinecie (nawet dwu- czy trzygodzinnej), jeżeli nie znam akt sprawy!

Oskarżenie męża o molestowanie dzieci załatwia wiele spraw. Można się go pozbyć z domu, odsunąć od opieki rodzicielskiej, zniechęcić do niego przyjaciół i znajomych. Czasami oskarżony, choć niewinny, ma duże trudności, żeby się wybronić. Choć przy sądach pracują dobrzy fachowcy, którzy potrafią wychwycić wątpliwe przypadki,



to często bywa tak, że kobiety przychodzą do sądu z gotową opinią psychologiczną, że dziecko ujawnia cechy wykorzystywania seksualnego. Jeśli do tego dołączyć odpowiednie zeznania, to mężczyzna ma niewielkie szanse, żeby się wybronić. Taki model postępowania jest niestety coraz bardziej popularny.

Ale ja mogę ich badać i wydawać opinię tylko jako biegły, jeśli powoła mnie do tego sąd! Jest też grupa przysyłana przez adwokatów. obrońcy chcą się wykazać i mówią klientom: „Pójdzie pan do Starowicza, on panu wystawi opinię, pan przyniesie zaświadczenie, ja to zaświadczenie dołączę do akt sprawy i to będzie dla sądu istotne, że pan poszedł się zbadać”. Dobrze znają prawo i wiedzą, że taki dokument nikomu się do niczego nie przyda, ale chcą zrobić wrażenie na kliencie i pokazać, jacy są zaangażowani.

Nie ma tygodnia, żeby ktoś z takim problemem nie stawiał się w moim gabinecie. Wczoraj był pan przysłany przez panią adwokat. Zarzuca mu się, że podglądał dziewczynki w różnych miejscach – na obozach, w przebieralniach, na basenach, w szkołach, gdzie się dało. Przyłapano go na podglądaniu, trwa prokuratorskie

dochodzenie, a pan przyszedł, żeby go zbadał i wystawił zaświadczenie, że nie jest pedofilem, bo przecież żadnej dziewczynce nic złego nie zrobił. Absolutnie nie miał poczucia winy i nie rozumiał, że dla małej dziewczynki, która jest na basenie, w przebieralni czy w toalecie, fakt, że jest podglądana przez dorosłego mężczyznę, może być ogromnym szokiem. Dziecko jest przerażone, płacze i boi się, a następstwa takiego stresu mogą się utrzymywać bardzo długo. Tymczasem on uważa, że krzywdy jej nie zrobił, „a poza tym – powtarza – każdy z nas ma ciało”.

Zbadałem i opisałem około 2300 osób oskarżanych o pedofilię. Czasami były to fałszywe oskarżenia, czasami pomyłki, ale w życiu miałem do czynienia z wieloma prawdziwymi pedofilami. Spotykam ich w moim gabinecie, spotykam w sądzie, kiedy jestem powoływany na biegłego. Bardzo charakterystyczne jest to, że prawie nikt z nich nie miał poczucia winy. Dlatego istotą leczenia pedofilii jest wyrobienie w nich autentycznego – nie deklarowanego, ale autentycznego – poczucia winy.

W mojej pracy biegłego oskarżenia o seks z nieletnimi to było kiedyś 30% przypadków. Dzisiaj to już około 90%. Oczywiście pedofilia istniała i dawniej, ale teraz stała się

prawdziwym problemem. Poszkodowani oraz członkowie rodzin pedofilów częściej ujawniają tego typu zachowania. Upowszechniła się pornografia i prostytutka pedofilka, jednocześnie rośnie populacja mężczyzn niedojrzałych psychoseksualnie i odczuwających lęk przed dorosłymi kobietami. Moda na lolitki i konkursy piękności dziewczynek utwierdza pedofilów w przekonaniu, że dzieci z natury są istotami seksualnymi i pragnącymi seksu, a oni w tym tylko im pomagają. Powstają organizacje zrzeszające pedofilów i domagające się traktowania ich jako normalnej orientacji seksualnej.

Najciekawsze przypadki z mojego doświadczenia jako biegłego opisałem w książce, która dziś nie mogłaby powstać ze względu na obowiązujące przepisy (oczywiście nigdy nie ujawniałem nazwisk, ale Ustawa o ochronie danych osobowych wprowadza o wiele więcej obostrzeń). Biegłym jestem od 1968 roku i przez ten czas wydałem setki opinii. Najciekawsze i zupełnie nietypowe przypadki, z jakimi miałem do czynienia, to seryjni zabójcy i pewne rzadkie typy parafilii (nekrofobia, nekrosadyzm) albo pewne szczególne przypadki pedofilii, która dotyczy kilkudziesięciu dzieci.

Każdy oskarżony, o którym mam wydać opinię, jest przeze mnie badany na różne sposoby – są to testy, wywiady, rozmowy. Takie badanie trwa zwykle wiele godzin, często niektóre jego części przygotowują moi pracownicy, a resztę ja. Przed przystąpieniem do badania, żeby wiedzieć, jak ono ma wyglądać, muszę najpierw dokładnie poznać akta sprawy. Potem piszę opinię i na końcu często jadę do sądu, gdzie tej mojej opinii muszę bronić. Najczęściej sędziowie oraz obrońcy mają do mnie mnóstwo pytań.

Bardzo sobie cenię sędziów. Oni wzywają mnie na rozprawę w sytuacji, gdy są jakieś wątpliwości czy niejasności, które powinienem rozwiązać. Natomiast obrońcy często wzywają mnie tylko po to, żeby się wykazać przed klientami. Tylko co dziesiąte wezwanie przez obrońcę oceniam jako zasadne, bo rzeczywiście coś mogło być niejasne, a oni chcą bronić klienta i chcą dopytać wnikliwie. Reszta się zwyczajnie popisuje.

Siedzę nad tymi aktami, godzinami badam ludzi, poświęcam soboty na to, żeby pisać opinię. Analizuję akta sprawy, palę fajkę i myślę. Odpowiedzialność jest ogromna. Muszę podać rozpoznanie, analizę tego rozpoznania i

uzasadnienie, a to, co napiszę, będzie wpływało na losy oskarżonego człowieka. Są tylko dwa wyjścia – albo jestem fascynatem tej pracy, albo... jestem głupi. Napisanie opinii zwykle zajmuje mi około trzech godzin. Za jedną opinię dostaję 65 zł. Gdybym w tym czasie napisał artykuł albo przyjął pacjenta, to miałbym z tego znacznie więcej. Oczywiście, jestem fascynatem, ale jeśli chodzi o kwestie finansowe, to chyba rzeczywiście jestem dość naiwny.

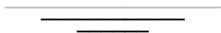
Przez kilkadziesiąt lat byłem biegłym psychiatrą, teraz jestem tylko biegłym seksuologiem. Zdarzało się, że wyjeżdżałem z sądem do tych, którzy do sądu przyjechać nie mogli. Poznawałem ludzi, którzy żyli bez światła elektrycznego i w mieszkaniach, gdzie załęgły się szczury. W jednym z takich domów chory próbował rzucić się z siekierą na mnie i sędziego. Najpierw zamknął się i nie chciał nas wpuścić do domu, potem wpuścił, ale nagle doskoczył do drzwi, przekręcił klucz w zamku i wrzucił go do kieszeni, a w rękę chwycił siekierę. Na szczęście byłem przygotowany i miałem przy sobie mały gaz łzawiący. Pokazałem mu ten gaz. Spłoszył się. Mówię: „Tu mam gaz, a za chwilę ściągnę pogotowie, zawiozę cię do szpitala psychiatrycznego i dopilnuję, żebyś długo

stamtąd nie wyszedł”. Oddał klucz i siekiere.

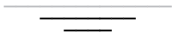
Jedną z najbardziej fascynujących rzeczy w moim życiu jest to, że bezustannie przechodzę ze świata do świata, każdego dnia. W przyszłym tygodniu będę badał człowieka w więzieniu na Rakowieckiej, a potem pojedę na eleganckie przyjęcie dla VIP-ów. Po drodze będę miał wizyty pacjentów i obronę pracy magisterskiej. Jednego dnia cztery zupełnie różne światy!

Bardzo to lubię.

# **AFERY I BESTSELLERY**



PRZEKROCZYŁEM SETKĘ – OPUBLIKOWAŁEM  
CZTERDZIEŚCI PIĘĆ KSIĄŻEK, A WSPÓŁTWORZYŁEM  
SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ. PAMIĘTAM, JAK KAŻDA  
Z NICH POWSTAWAŁA I Z JAKĄ SPOTKAŁA  
SIĘ REAKCJĄ.





Pierwszy raz ujrzałem swoje nazwisko w druku przy okazji książki *Erotyka w aspekcie zdrowia psychicznego* pod redakcją profesor Marii Grzywak-Kaczyńskiej. Byłem autorem trzech rozdziałów. Wydana w 1972 roku i wznawiana kilkakrotnie do 1985 roku przez Instytut Wydawniczy PAX, cieszyła się dużą popularnością, najbardziej w środowiskach związanych z Kościołem. Mimo że Stowarzyszenie PAX uchodziło za prokomunistyczne i nie budziło sympatii hierarchów, to cieszyło się szacunkiem z powodu publikowania wielu cennych książek, które nie miały szans ukazania się w wydawnictwach państwowych. Niestety sam fakt publikowania w PAX-ie był traktowany jako deklaracja polityczna i światopoglądowa. Ciągle musiałem się z tego tłumaczyć podczas spotkań z czytelnikami. Ta sprawa często była także poruszana w kierowanych do mnie listach. Niezależnie od tego, ile razy publicznie składałem deklarację apolityczności, ludzie zawsze próbowali mnie włożyć do jakiejś szufladki.

Pierwszą moją samodzielną książką był *Eros, natura, kultura* z 1973 roku. Patrząc na okładkę świeżo wydanej pierwszej publikacji, nie byłem w stanie przewidzieć

następstw jej wydania. *Eros, natura, kultura* to książka, którą napisałem, zaczynając pracę jako seksuolog. Byłem wtedy bardziej teoretykiem niż praktykiem, nie miałem dużego doświadczenia terapeutycznego i jeszcze nie przepracowałem różnych problemów.

Zanim książka pojawiła się w księgarniach, wydawca obawiał się krytyki z trzech stron: cenzury, władz i Kościoła. Tymczasem atak nastąpił, ale z zupełnie innego kierunku. Książka nie spodobała się czołowym aktywistom z Zarządu Głównego Towarzystwa Rozwoju Rodziny. Jeden z ważnych i opiniotwórczych w PRL-u profesorów udał się do wydawcy z pretensjami. Zarzucał książce „klerykalizm” i domagał się zaprzestania jej upowszechniania. W zarządzie TRR zastanawiano się nawet, czy nie wyrzucić mnie z pracy w poradni TRR. Pracy jednak nie straciłem i dotąd nie wiem, komu to zawdzięczam.

Przyznaję, że rzeczywiście poglądy, które zawarłem w tej książce, mogły być przez księży traktowane jako im bliskie, bo była ona w dużym stopniu zgodna z tradycyjną nauką Kościoła. Krytykuję w niej masturbację, a homoseksualizm klasyfikuję jako chorobę i zalecam jego

leczenie.

To były czasy, kiedy pozostawałem pod wpływem KUL-u, KIK-u oraz duszpasterstw akademickich i nie miałem za sobą wielu lat praktyki lekarskiej. Z czasem, kiedy przyjmowałem coraz liczniejszych pacjentów, okazywało się, że katolicka nauka o małżeństwie i seksie jest często odległa od życia. To jest koncepcja, do której człowiek powinien się dostosować, a nie teoria opisująca kondycję człowieka. Oczywiście ta doktryna też się nieco zmienia. Na początku mojej kariery księży bardzo jednoznacznie traktowali masturbację jako grzech. Co biedni mężczyźni wtedy przeżywali! Często wyglądało to tak, że mężczyzna wieczorem się masturbował, rano szedł do spowiedzi, wieczorem znów się masturbował, rano do spowiedzi... Część zrywała z Kościołem, część toczyła wojnę ze sobą, własnym organizmem i pożądlivością. Dziś patrzy się na to łagodniej. Seksuolodzy powtarzają, że na pewnym etapie masturbacja jest elementem rozwoju, a i księży też nie są już tacy radykalni w opiniach.

Jeśli chodzi o etykę seksualną, to nauczanie Kościoła już od dawna pozostaje w pewnym rozbracie ze statystyczną populacją katolików. Statystyki na ten temat prowadzone

przez Kościół są ogólnie dostępne. Jeszcze jak pracowałem na KUL-u, zostały przeprowadzone szeroko zakrojone badania religijności Polaków i ich postaw wobec seksu. Już wtedy widać było zmiany w myśleniu. Akceptacja antykoncepcji u większości badanych pojawiła się w końcu lat sześćdziesiątych. Dlatego tyle emocji wzbudziła encyklika *Humanae vitae* Pawła VI, bo spodziewano się innego stanowiska papieża. Sądzę, że Kościół w tych sprawach popełnił błąd – inaczej rozłożył akcenty i zamiast więcej uczyć o miłości, postawił na restrykcje. Kładł nacisk głównie na szóste i dziewiąte przykazanie. Nie twierdzę, że Kościół musi zmienić doktrynę, na przykład zaakceptować seks pozamałżeński czy przedmałżeński, nie o to mi chodzi. Ale gdyby więcej mówił o miłości i zobowiązaniach, które się z nią wiążą, zamiast straszyć, byłoby moim zdaniem lepiej. Wydaje się, że ta pedagogia strachu i lęku zawiodła na całej linii. Oczywiście były wyjątki. Dość wspomnieć Karola Wojtyłę i stworzoną przez niego teologię ciała – jak na owe czasy bardzo rewolucyjną – która doceniała wartość ciała jako także stworzonego przez Boga.

Podejście do seksu w Kościele zmienia się, ale dopiero od niedawna. Co ciekawe, mało przychodzi do mnie

pacjentów, którzy mają problemy z seksem ze względu na światopogląd. Nie spotkałem się z przypadkiem, o którym mówią podręczniki wychowania prorodzinnego, żeby jakaś para miała problemy z życiem seksualnym, ponieważ nie dotrwała w czystości do ślubu. Oczywiście, jeżeli ktoś chce rozpocząć życie seksualne dopiero po ślubie, to jest to jak najbardziej w porządku. Ale nie można takim ludziom wmawiać, że dzięki temu będzie ono bardziej udane. Wiele rzeczy wpływa na to, czy w miarę trwania związku życie seksualne będzie satysfakcjonujące. To zależy między innymi od temperamentu pary, od tego, na ile są dla siebie atrakcyjni, na ile atrakcyjną sztukę miłosną stworzyli. W takiej sytuacji trzeba powiedzieć: „To pięknie, że macie swoje zasady, wartości, realizujcie je”, ale nie można wspierać tego zapewnieniem, że dzięki temu taka para z pewnością nie napotka problemów w łóżku – tego zwyczajnie nie wiemy.

Kiedy pisałem swoją pierwszą książkę, dużo się działo w seksuologii – to był czas rewolucji seksualnej, kontrrewolucji i okres przemian, których nie zdążyłem jeszcze uchwycić. Nie opisałem nowoczesnych metod antykoncepcji, niewystarczająco je pochwaliłem.

Wiedza i postęp sprawiły, że na wiele problemów mam dzisiaj zupełnie inny pogląd niż to, co napisałem w *Erosie*... Nie można jednak mieć do mnie pretensji, że w tamtych czasach tak pisałem, bo wtedy takie było oficjalne naukowe stanowisko.

Ciekawe były późniejsze reakcje na tę książkę. Środowiska związane z Kościołem często powołują się na nią i jeszcze do dzisiaj spotykam się z publikacjami cytującymi moje poglądy w niej wyrażone. Moje następne prace, prezentujące inny światopogląd, są traktowane jako wyparcie się pierwotnych poglądów. Niemniej zdarzyło się też, co było dla mnie dużym zaskoczeniem, że w książce napisanej przez znanego księdza, poświęconej miłości i seksualności, znalazłem dosłownie przepisane fragmenty kilku moich publikacji. Wydawnictwo udostępniło mi adres autora i napisałem do niego list. Odpowiedział nader grzecznie, tłumacząc, cytuję dosłownie: „Tak bardzo cenię poglądy Pana Doktora i identyfikuję się z nimi, że mogło się zdarzyć, że wydawały mi się one moimi własnymi”. Dowiedziałem się, że wydawca planuje drugie wydanie tej książki, więc zaproponowałem autorowi współautorstwo. Nie odpowiedział, podobnie wody w usta nabrał wydawca,

a drugie wydanie ukazało się bez zmian. W sprawie interweniował sam prymas Glemp, który upomniał autora i przeprosił mnie za „niegodne” zachowanie księdza.

Wracając do mojej pierwszej książki – odwrotnie niż dla środowisk kościelnych, dla wielu seksuologów dopiero moje następne publikacje są obiektywne i naukowe, a ta pierwsza jest traktowana jako wypadek przy pracy. Na jednym z uniwersytetów napisana została nawet praca magisterska poświęcona ewolucji moich poglądów od *Erosa, natury i kultury* do kolejnych publikacji.

Okazało się, że ewoluuję w dobrym kierunku.

## ROZMOWA PRZED KONKLAWE

Przez przypadek wdałem się w spór z... przyszłym papieżem! Powodem była książka autorstwa jezuitę Jerzego Laskowskiego *Miłość i małżeństwo*. Autor zaproponował mi napisanie rozdziału pod tytułem *Podstawy bioseksualne życia małżeńskiego*. On zajął się częścią teoretyczną, a ja seksuologiczną. Podpisałem umowę, napisałem swoją część – autor był zadowolony, wydawca również. Niestety, pojawiły się problemy. Tuż przed przekazaniem maszynopisu do drukarni zatelefonował do mnie ktoś z redakcji, informując, że książka nie uzyska zgody władz kościelnych na publikację, jeżeli znajdzie się w niej moje nazwisko. Książkę miało opublikować katolickie Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy (WAM). Nie ukrywam, że byłem niezwykle zaskoczony tym, co usłyszałem. To były czasy, w których wykładałem na katolickich uczelniach, utrzymywałem bliskie kontakty z biskupami, a nawet z kardynałem Wyszyńskim. Przez niektórych byłem uważany za człowieka związanego z Kościołem, co przysparzało mi mnóstwa problemów i blokowało karierę. Inni najwyraźniej uznali jednak, że jestem przeciwnikiem Kościoła. Ponieważ szkoda mi było



wykonanej pracy, ostatecznie wycofałem swoje nazwisko i książka ukazała się bez niego. Cały czas miałem jednak poczucie, że to nie w porządku, i doszedłem do wniosku, że muszę się dowiedzieć, w czym tkwi problem. Postanowiłem napisać w tej sprawie do Karola Wojtyły. Znaleliśmy się i lubiliśmy, wielokrotnie brałem udział w organizowanych przez niego naukowych dyskusjach. Odpowiedział na mój list i zaprosił mnie na spotkanie, jak tylko będę w Krakowie. Akurat w tamtym czasie rzadko bywałem w tym mieście, a Kardynał też był bardzo zajęтым człowiekiem. Koniec końców spotkaliśmy się dopiero dwa lata później w Warszawie, podczas konferencji Episkopatu.

Kardynał Wojtyła wytłumaczył mi, że władze Kościoła nie chciały się zgodzić na publikację mojego nazwiska, dlatego że jest ono kojarzone z tygodnikiem „ItD”, w którym pojawiały się wtedy moje felietony. Powiedział, że „ItD” zwalcza Kościół katolicki i muszę się bardzo wyraźnie określić: albo współpracuję z „ItD”, albo z Kościołem. Zasugerował, żebym zrezygnował z pisania do tygodnika. Byłem zupełnie zaskoczony. Polemizowałem z przedstawionymi argumentami, tłumaczyłem, że jestem naukowcem, seksuologiem i nie dam się w ten sposób

zaszufladkować. Uważałem, że to, o czym w tej książce pisałem, to była czysta wiedza biologiczna, a nie światopoglądowa i nie powinna pozostawać w sprzeczności z nauką Kościoła. Kardynał Wojtyła pozostawał przy swoim zdaniu. Nie przeszkadzała mu treść rozdziału, który napisałem, tylko moje nazwisko w książce wydanej przez kościelne wydawnictwo. Próbowałem jeszcze tłumaczyć, że w Warszawie jestem inaczej traktowany nawet przez prymasa Wyszyńskiego, któremu nie przeszkadza moja współpraca z „Itd”. Rozmawialiśmy o niej wielokrotnie i Prymas pochlebnie wypowiedział się o moim pisaniu w tym tygodniku, mówiąc, że człowiek, który jest wierzący, może wszędzie czynić dobro. Nawet w piśmie antykościelnym! Prymas „Itd” na pewno nie czytał, ale też z pewnością nie potępiał.

Kardynał Wojtyła był jednak nieprzejednany, ale ponieważ widział, że jestem bardzo rozczarowany, obiecał mi, że do rozmowy wrócimy. „Teraz wyjeżdżam do Rzymu – powiedział. – Spotkamy się po moim powrocie i dokończymy rozmowę”. Tylko że to był wyjazd na konklawe i to ten, z którego Karol Wojtyła do Polski już na stałe nie wrócił.

Tak jak wspominałem, z Karolem Wojtyłą spotykałem się kilkakrotnie już wcześniej. Nawet korespondowaliśmy ze sobą. Często zapraszał mnie na specjalne narady do Krakowa, poświęcone seksualności człowieka. Odbierałem go jako bardzo – jak na tamte czasy – nowatorskiego hierarchę, otwartego na tematy seksu. W wielu kwestiach się zgadzaliśmy. Przyjeżdżałem do Krakowa, siedziałem i dyskutowałem. Grono uczestników nie było zbyt duże, najwyżej kilkanaście osób. Z czasem pierwsze skrzypce podczas tych spotkań zaczęła grać doktor Wanda Półtawska – przyjaciółka biskupa Wojtyły i jego doradczyni w sprawach seksu oraz rodziny. Wojtyła bardzo jej ufał, co sprawiało, że z czasem zaczęła dominować opcja konserwatywna, bo pani Półtawska ma do dzisiaj zdecydowanie radykalne poglądy. Już później, kiedy Karol Wojtyła został papieżem i czytałem jego encykliki czy słuchałem kazań, czułem wpływ poglądów Wandy Półtawskiej.

Zdarzyło się też, że jechaliśmy razem jego samochodem z Lublina do Krakowa. On wracał do siebie z KUL-u, a ja akurat wybierałem się do Krakowa po moich wykładach. Po drodze rozmawialiśmy o jego książce *Osoba i czyn*.

Akurat świeżo się ukazała i nie zdobyła uznania na KUL-u. Skarżył się wtedy na to, że teologowie i filozofowie z Lublina ją krytykują, a jednocześnie był zaskoczony, że dobrze przyjęli ją psychiatrzy. Długo o tym rozmawialiśmy. To było dla mnie bardzo ciekawe obserwować dyskusję teologów i kościelnych hierarchów dotyczącą bliskich mi kwestii. W końcu różnice w poglądach na temat seksu można znaleźć nawet u Ojców Kościoła: pamiętam, że gdy studiowałem na KUL-u, mój wykładowca podkreślał różnice w podejściu do tego tematu w tomizmie i u świętego Augustyna.

## KONTROWERSYJNY PODRĘCZNIK

Spośród wszystkich moich książek największe kontrowersje wywołał podręcznik *Nowoczesne wychowanie seksualne*, który napisałem wspólnie z Kazimierzem Szczerbą w 1996 roku. Reakcja na tę książkę przeszła moje najśmielsze oczekiwania.

Zacznijmy od kulisów sprawy. Ja i współautor – bardzo dobry psycholog, seksuolog kliniczny i publicysta – doszliśmy do przekonania, że warto napisać książkę poświęconą edukacji seksualnej, adresowaną do młodzieży, rodziców i nauczycieli. Książka w założeniu miała być oparta na najnowszych badaniach, miała zbierać wiedzę, którą dysponuje współczesna nauka, ale i uwzględniać zróżnicowane poglądy. Miała być po prostu rzetelna naukowo. Wydawca nie ingerował w nasze założenia, nalegał jedynie, żeby w tytule umieścić słowo „podręcznik”. Trochę się wahałem, bo zdawałem sobie sprawę, że w kwestii edukacji seksualnej w szkołach decydujący głos ma Kościół i żadna władza, od prawa do lewa, nie zamierza tego zmieniać. Tak było w latach dziewięćdziesiątych, tak również jest dzisiaj. Ostatecznie na okładce znalazł się podtytuł: *Podręcznik dla młodzieży szkolnej*.

Wydanie tej książki bardzo niechętnie przyjęli aktywiści z organizacji katolickich zajmujących się rodziną. W recenzjach przede wszystkim podważano naukowość tego, co napisaliśmy, chociaż każde hasło i rozdział miały solidne oparcie w wynikach badań naukowych. Eksperti społeczni podważali tam niektóre rzeczy, które dla seksuologów są oczywiste. Uważali, że niektóre zachowania seksualne są niemożliwe – na przykład *auto cunillingus* – czyli sytuacja, w której mężczyzna może pobudzać oralnie swój własny członek. Otóż, drodzy państwo, proszę sobie wyobrazić, że jest to możliwe.

Nam, autorom, przypisywano nawet przynależność do jakichś światowych tajnych organizacji, których celem jest niszczenie Kościoła i rodziny. Również Episkopat wydał specjalny list na nasz temat, który był odczytywany w kościołach podczas niedzielnych mszy. W liście biskupi krytykowali nasze ujęcie i traktowali je jako sprzeczne z nauką Kościoła. Przypisywano nam antyrodzinne inklinacje, zarzucano, że nasza książka demoralizuje młodzież. Byłem nawet zaczepiany przez ludzi, którzy na ulicy krzyczeli za mną: „To pan niszczy polską rodzinę!”. Potem w środowiskach katolickich odbywały się dyskusje.

Przychodzili na nie przeciwnicy naszej książki i jej zwolennicy, kłótniom nie było końca.

Każdy drobiazg mógł świadczyć o naszej złej woli. Emocje były na tyle duże, że pod lupę wzięto nawet te elementy książki, które nie leżały w gestii autorów. Nawet dobór zdjęć był interpretowany na naszą niekorzyść.

Zapewne jedną z przyczyn wrogości do tej książki było przedstawienie w niej zróżnicowanych poglądów różnych odłamów chrześcijaństwa na temat seksu, antykoncepcji, rozwodów, małżeństwa. Różnice w ramach chrześcijaństwa w tych sprawach są bowiem spore – niektóre Kościoły protestanckie uważają na przykład, że decyzja o aborcji to sprawa indywidualnego sumienia, do rozstrzygnięcia przez kobietę. Wszystkie, a także Cerkiew prawosławna, dopuszczają pigułki antykoncepcyjne. W Polsce w nauczaniu młodzieży unika się informacji na tego typu tematy.

Wojna z książką trwała długo. Do szkół zostali skierowani specjalni prelegenci, których zadaniem było skrytykowanie książki i udowodnienie jej szkodliwego wpływu. Robili pogadanki zniechęcające do czytania. Dwie z takich delegacji trafiły do klas, w których uczyły się moje

córki. Jedna córka położyła uszy po sobie, spuściła głowę i się nie odezwała, co potem bardzo przeżywała. Natomiast druga, odważniejsza, odczekała, aż panowie skończyli mówić o książce, a zaczęli o mnie, wstała, przedstawiła się i zaprotestowała. Powiedziała, że zna swojego tatę i że to, co przed chwilą usłyszała, to wierutne bzdury. Podobno delegacja trochę się speszyła. Prelegenci mieli pecha, że trafili właśnie na nią. Bardzo byłem dumny z mojego dziecka.

Moim dzieciom w ogóle w głowach się nie mieściło, że temat seksu może wzbudzać takie emocje. W naszym domu rozmowy z dziećmi o seksie były codziennością. Kiedy moje córki zaczynały miesiączkować, otwierałem szampana, bo chciałem uroczyście podkreślić, że cieszę się z tego, że stają się kobietami.

Nie organizowałem godzin wychowawczych z pogadankami, ale na wszelkie pytania odpowiadałem. Sam z własnej inicjatywy podsuwałem również lektury – głównie książki profesora Jaczewskiego. Tematy pojawiały się naturalnie – jakiś program lub film w telewizji, ktoś coś powiedział w szkole, dorośli rozmawiali na jakiś temat, a dzieci to słyszały i zadawały pytania. Szkoda, że to, co było



naturalne dla moich dzieci, szokowało wiele innych, dorosłych osób. A przecież modelowe wychowanie seksualne powinno się zaczynać już w wieku przedszkolnym i być ciągle, aż do późnego wieku dorosłego. Powinno obejmować pewne fazy rozwojowe, bo dzieciaki zadają pytania w wieku już przedszkolnym i trzeba umieć na nie odpowiedzieć.

W trakcie wojny o edukację seksualną większość dyrektorów i nauczycieli szkół, w których miałem spotkania z młodzieżą, obawiała się konsekwencji. Zdarzali się jednak i tacy, którzy zapraszali mnie na te spotkania, jak gdyby nigdy nic. Przekonałem się wtedy, jak łatwo można wywołać histerię, manipulując faktami. Nie byłem na tyle naiwny, żeby sądzić, że nasz podręcznik zostanie wprowadzony do szkół jako obowiązujący. Spodziewałem się raczej, że może będzie jednym z kilku do wyboru. Kampania wrogości zrobiła jednak swoje. Zarzucano nam na przykład, że się horrendalnie wzbogaciliśmy na „walce z Kościołem”. Kiedy publicznie powiedział to jeden z hierarchów, napisałem do niego list z informacją, że honoraria za wszystkie wydane dotąd moje książki odpowiadają cenie średniej klasy samochodu osobowego.

Otrzymałem list z przeprosinami.

## ŻYWOT PISARZA

Nie spodziewałem się takiego sukcesu *Seksu partnerskiego* i *Seksu dojrzałego*. Ich łączny nakład wyniósł prawie pół miliona egzemplarzy. W księgarniach ustawiały się po nie kolejki chętnych. Pamiętam, jak w warszawskim Domu Książki na rogu Gagarina i Belwederskiej kolejka kończyła się na ulicy, przy przystanku autobusów. To było niesamowite!

Po ukazaniu się książek udzielałem wielu wywiadów, podpisywałem setki egzemplarzy podczas targów książki i spotkań autorskich. Popularność bardzo mnie zaskoczyła. Jeszcze bardziej zaskoczyło mnie to, że zacząłem wtedy uchodzić za krezusa i jednego z najlepiej zarabiających lekarzy w Polsce. A pieniędzy z tego, szczerze mówiąc, nie było. Honoraria były tak małe, że za prawie pół miliona sprzedanych egzemplarzy pojechaliśmy z żoną na dwie wycieczki – objazdówkę po Italii i Grecji oraz wczasy w Bułgarii.

Książki były tłumaczone i popularne także poza Polską. Te wydawane w ZSRR nigdy nie przynosiły honorariów. Ba, cieszyłem się, kiedy otrzymywałem przynajmniej egzemplarz autorski! Zupełnie inaczej rzecz się miała z

wydaniami węgierskimi. Honorarium w forintach, które otrzymałem za te dwie książki, starczyło na opłacenie trzydniowego pobytu w dobrym hotelu w Budapeszcie, załadowanie bagażnika fiata 125p wiktuałami niedostępnymi w kraju, zakup ciuchów dla żony oraz klocków lego dla syna. Na granicy węgierskiej celnik poprosił o otwarcie bagażnika. Zaczął ubolewać łamaną polszczyzną: „To nie wolno, lego nie wolno, cieba oddać”. Zacząłem się tłumaczyć, że to honorarium za książkę. Poprosił, abym ją pokazał. Kiedy ją obejrzał, stwierdził, że „pisiarz piszący takie ładne sprawy mozie sobie jechać z tym lego dla dziecka”. Pozostała część honorarium leżała na koncie i wystarczyła na dwie kolejne wyprawy turystyczne i na zakupy w Budapeszcie, z których wróciłem z kolejnymi prezentami.

To było już w czasach, kiedy byłem związany z moją drugą żoną. Poznaliśmy się w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Moja żona jest lekarzem (chirurgiem dziecięcym) – przyszła do mnie w sprawach zawodowych, żeby skonsultować jakiś medyczny przypadek. To była miłość od pierwszego wejrzenia, wyjątkowo silne uczucie. Dzięki temu teraz, kiedy jakiś

pacjent opowiada mi o takim uczuciu, wiem, co ma na myśli. Wierzę mu, że to możliwe, bo sam to przeżyłem.

Moje pierwsze małżeństwo się rozpadło. Kiedy braliśmy ślub, byliśmy jeszcze zbyt młodzi i niedojrzali. Żyliśmy obok siebie, nie było między nami prawdziwych uczuć. Nowa miłość nie była przyczyną naszego rozvodu – w tamtym momencie i tak nie można go już było uniknąć.

Wiele związków powstaje w wyniku pierwszego zauroczenia, ale kluczowe jest to, co się dzieje potem. Dopiero czas weryfikuje, czy tamto szalone uczucie nie było pomyłką. W przypadku mojego związku z drugą żoną nie ma o tym mowy. Mamy syna i jesteśmy małżeństwem od trzydziestu lat.

*Seks partnerski* i *Seks dojrzały* zostały wydane również przez Polski Związek Niewidomych w alfabecie Braille'a. Zadzwoniono do mnie z pytaniem, czy zgadzam się na wydanie tych pozycji bez honorarium. Oczywiście się zgodziłem. Poprosiłem jednak o egzemplarze autorskie. Pewnego dnia do mojego domu przyjechało dwóch panów z olbrzymią skrzynią. Wnieśli ją do domu i powiedzieli: „Proszę, oto egzemplarz autorski *Seksu partnerskiego*”. Okazało się, że egzemplarz zajmuje całą wielką pakę.

Oddałem ją natychmiast do biblioteki dla niewidomych.

Popularność tych książek utrzymywała się bardzo długo. Jeszcze dzisiaj słyszę od niektórych moich pacjentów i w trakcie spotkań autorskich wyznania, że były one źródłem edukacji, pomagały w udanym życiu seksualnym i dawaniu sobie rady z różnymi problemami. Dla wielu osób jestem autorem tylko tych dwóch książek.

Po pewnym czasie doszedłem do przekonania, że powinienem napisać trzeci tom, poświęcony seksowi w późniejszych latach życia. Za najbardziej trafny uznałem tytuł *Seks w jesieni życia*. Mój dotychczasowy wydawca nie był jednak taką książką zainteresowany. Obawiał się, że nie będzie cieszyła się powodzeniem, uznał, że „jesień życia” brzmi smętnie, a seks w tej fazie życia zdarza się rzadko. Udałem się zatem do wydawnictwa Bellona i książka ukazała się w 2000 roku. Rzeczywiście, nie zdobyła takiej popularności jak jej dwie poprzedniczki. Okazało się, że większość moich czytelników nie wkroczyła jeszcze w jesień życia i ta tematyka zwyczajnie ich nie interesowała. Natomiast ci, do których książka była skierowana – dzielą się na dwie grupy. Pierwsza z nich jest nieaktywna seksualnie, co ma związek z chorobami lub znudzeniem

partnerem. Z kolei tych aktywnych i w dodatku zainteresowanych czytaniem o seksie seniorów nie jest znowu aż tak wielu.

## REKORDZISTA

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych wydałem dwie książki poświęcone sztuce miłosnej: *Vademecum sztuki miłosnej* i *Album intymny*. Były to pierwsze w Polsce publikacje opisujące z detalami różne pozycje stosunków seksualnych. Do *Albumu intymnego* zaplanowano zdjęcia pary, która miała prezentować poszczególne pozycje. Wydawca poprosił mnie o pomoc w znalezieniu modeli. Pewnego dnia przyszła do mnie z prośbą o rozwiązanie pewnych wątpliwości młoda, atrakcyjna i aerodynamicznie zbudowana pacjentka. Po rozmowie wspomniałem, że szukam modelki do albumu sztuki miłosnej, co ją zaintrygowało. Spotkała się z wydawcą, porozmawiała i zgodziła się wystąpić w moim albumie. Mało tego, sama znalazła męskiego modela.

Wydawca bardzo obawiał się oskarżeń o pornografię. W tamtych latach kryteria oceny tego, co jest, a co nie jest pornografią, były niezwykle płynne, ale album nie wywołał żadnej negatywnej reakcji.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych napisałem wiele książek. Ukazywało się ich kilka rocznie. W jednym tylko roku opublikowałem 12 książek,



17 artykułów naukowych i 96 popularnonaukowych w prasie. Jeden z wydawców zachęcił mnie nawet, abym podał swoją kandydaturę do *Księgi rekordów Guinnessa*. Tak też zrobiłem – wysłałem informacje pocztą, później do mnie zadzwoniono, wypytując o szczegóły, ale na tym się skończyło. Ja zaś mam poczucie, że książek mogłoby być jeszcze więcej. Myśli zawsze były szybsze od możliwości przelania ich na papier, choć na elektrycznej maszynie pisałem naprawdę bardzo szybko. Brakowało mi też dyktafonu i osoby chętnej do przekładania głosu na tekst.

Przekonałem się również, co znaczy prestiż wydawnictwa. Niektóre nie cieszyły się specjalnym uznaniem w świecie naukowców – co innego Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Państwowe Wydawnictwo Naukowe czy Ossolineum. Kiedy w tym ostatnim wydawnictwie zostały wydane trzy moje książki (*Seks w kulturach świata* [1987], *Listy intymne* [1989], *Kobieta i Eros* [1991]), nawet okazujący mi dotąd niechęć naukowcy zaczęli być bardziej sympatyczni. Nieraz słyszałem, że publikowanie w takiej oficynie nobilituje autora. *Seks w kulturach świata* cieszył się największym zainteresowaniem i został także przepięknie wydany w

formie albumu w ZSRR (oczywiście bez honorarium, ale przynajmniej otrzymałem trzy egzemplarze autorskie). Redaktor z Ossolineum był zainteresowany dalszą współpracą. Dostarczyłem mu maszynopis książki *Mężczyzna i Eros*, logiczną kontynuację wydanej uprzednio *Kobieta i Eros*, ale w Ossolineum doszło do zmian personalnych i książka się nie ukazała. Wykorzystałem fragmenty maszynopisu w innych publikacjach.

## ZDEMASKOWANY PRZEZ CEJROWSKIEGO

W trakcie psychoterapii poznałem znaczenie snów moich pacjentów i postanowiłem poświęcić temu tematowi więcej uwagi. Zebrałem dane z dostępnego piśmiennictwa, opisałem własne doświadczenia terapeutyczne. Powstał maszynopis książki, którą zatytułowałem *Tajemniczy świat snów*. Wydawca okazał spore zainteresowanie tekstem. Pani redaktor zaproponowała, żebym wydał tę książkę pod pseudonimem, bo była przekonana, że jestem tak dalece kojarzony z tematyką seksualną, że każda kolejna książka Lwa-Starowicza będzie traktowana jako propozycja „seksualna” i niewiele osób się nią zainteresuje.

Po namyśle zdecydowałem się i wybrałem sobie pseudonim – Leo Oldwitch. Zaskoczył mnie fakt, że ukrywanie się pod pseudonimem okazało się skuteczne i trwałe. Zostałem zdemaskowany tylko raz – przez pana Wojciecha Cejrowskiego, który w swoich programach często o mnie wspominał. Nigdy tego nie czynił z miłością bliźniego, a użycie pseudonimu potraktował jako wyraz mojego tchórzostwa.

Z Wojciechem Cejrowskim miałem zresztą więcej przygód. Jedna z moich córek oglądała regularnie program

WC kwadrans. Mieszkała wtedy przez jakiś czas w Stanach, jego programy były wtedy zaangażowane, a on był bardzo walecznym dziennikarzem. W jednym z programów Cejrowski bezceremonialnie mnie zaatakował, nie pamiętam nawet za co. Tak się jednak złożyło, że kilka dni wcześniej córka wysłała mu kartkę z życzeniami, wyrazami podziwu i oddania. W następnym tygodniu pokazał tę kartkę na wizji z komentarzem: „Nawet córka Starowicza pisze do mnie i mnie popiera”. Nie było to miłe. Wyglądało na to, że jestem w konflikcie ideowym z własną córką. Nie było to *fair*, ale cóż było robić – taki człowiek. Nie wyzwiałem go na pojedynek. Zawsze wobec agresywnych prezenterów, polityków i innych dyskutantów jestem opiekuńczy i czuję profesjonalną potrzebę poznania przyczyn tej agresji. Jakies kompleksy? Problemy z seksem? W relacjach partnerskich? Rywalizacja z rodzicem?

Był też taki czas, że wydawcy milczeli i nie proponowali mi wydania kolejnych książek. Pisałem do szuflady. Zgromadziło się kilka maszynopisów. Moja żona uznała, że niepotrzebnie się marnują, a w miarę upływu czasu ich tematyka może się zdezaktualizować. Przejęła inicjatywę w swoje ręce i powołała do życia własne wydawnictwo: Leo-

Book.

Dzięki mojej żonie światło dzienne ujrzały: *Aforyzmy i przysłowia erotyczne* (1992), *Egzotyka seksualna* (1992) i *Terapia seksualna* (1993). Okazało się jednak, że dla ciężko pracującego chirurga dziecięcego prowadzenie własnego wydawnictwa zaczęło być zbyt dużym obciążeniem, a do tego dystrybucja książek to naprawdę ciężkie zadanie. Interes został zwinięty, a na pamiątkę zostały nam wydane książki.

Najwięcej czasu zabrało mi napisanie książki *Encyklopedia erotyki*, wydanej przez Muzę w 2001 roku. Kilka lat gromadziłem informacje – była to benedyktyńska i samotna praca. Marzyła mi się bogato ilustrowana encyklopedia, ale koszty wydania zwyciężyły i ilustracji nie ma. Nie wiem, czy zdecydowałbym się na ponowne pisanie tego typu dzieła, chociaż książka była później nominowana do nagrody rektora AWF. Co roku rektor przyznaje nagrody pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia. *Encyklopedia...* została nominowana. Zaprotestował jednak pewien profesor z komisji kwalifikacyjnej do nagród – stwierdził, że nie jest możliwe, abym sam napisał tego typu dzieło. Twierdził, że musiałem

mieć pomocników. Książka nie została nagrodzona.

## TWOJE NAZWISKO NIC NIE MÓWI

Profesor Włodzimierz Fijałkowski z Łodzi był znanym ginekologiem i bardzo zaangażowanym katolikiem. Propagowanie metod naturalnych traktował jako swoją misję i miał bez wątpienia wiele sukcesów w tym zakresie. Od czasu do czasu spotykałem się z nim w jego łódzkim mieszkaniu i dyskutowaliśmy na różne tematy. Pewnego dnia zdradził mi, że zamierza napisać monografię na temat metod naturalnych, i zaproponował współpracę. Wiedział, że jestem mołem książkowym, często przesiaduję w bibliotece lekarskiej i zbieram materiały. Wtedy nie było komputerów i każdy miał swoje własne sposoby gromadzenia informacji naukowych. Mój sposób nie był skomplikowany: teczki tematyczne (seksuologia kliniczna, kulturowa, antykoncepcja, małżeństwo, rodzina...) i katalog ogólny. Po dyskusji doszliśmy do wniosku, że mogę opracować rozdział poświęcony historii metod naturalnych. To był koniec lat sześćdziesiątych, niedługo po moich studiach.

Tekst dostarczyłem, ale kiedy książka się ukazała, ze zdziwieniem zobaczyłem, że nie ma w niej mojego nazwiska. Zrobiło mi się przykro i chciałem poznać

przyczynę. Odpowiedź była brutalnie szczerą: „Nie jesteś znany, twoje nazwisko nic nie mówi”. Od tego czasu moje kontakty z profesorem uległy ochłodzeniu. Na jego usprawiedliwienie powiem, że w tamtych czasach w piśmiennictwie medycznym dość powszechnie spotykanym zwyczajem było umieszczanie nazwiska kierownika kliniki jako pierwszego współautora, nierzadko jako jedyne. Wielu autorów prac nie znajdowało swoich nazwisk w publikacji.

Niewielu z moich czytelników wie, że jestem autorem pierwszego polskiego filmu o sztuce kochania: *Ars amandi. Sztuka miłości*. Film był wielokrotnie wyświetlany, ale ponieważ powstał w czasach, w których do kwestii honorariów podchodzono z wielką nonszalancją, nie przełożył się na sukces finansowy. Interesujące natomiast były kulisy filmowania. Miejsce: willa w Aninie. Potrzebni byli ochotnicy do scen intymnych. Ogłoszono konkurs i pewnego dnia udałem się na casting celem wyłowienia aktorskich talentów. Nie miałem specjalnych wymagań: uroda powszechnie akceptowana, przyjemny wyraz twarzy, przekonywająca mimika oddająca stan podniecenia czy satysfakcji. Podchodziły kolejne osoby,



które prosiłem o wyrażenie mimiką stanu seksualnego podniecenia. To był szok! Większość kandydatek jakby pomyliła treść filmu: ich mimika kwalifikowała się raczej do horrorów, filmów o duchach, wampirach i tym podobnych. Miałem ochotę uciec. W końcu znalazła się prawdziwa perła, dziewczyna, która po tym filmie zrobiła prawdziwą karierę i stała się znaną modelką. I ona, i jej partner grali dobrze.

## MIŁOŚĆ FRANCUSKA I INNE PROBLEMY

Z cenzurą miałem niewiele problemów. Widocznie tematyka seksu nie budziła większych kontrowersji, a może po prostu nie interesowała cenzorów. Pierwszy raz zetknąłem się z interwencją cenzury po napisaniu artykułu o miłości francuskiej do tygodnika „Ltd”. W przeszłości była to popularna nazwa kontaktów oralnych. Sam tekst nie budził zastrzeżeń, ale miał ukazać się w czasie wizyty w Polsce prezydenta Francji. Druk zatem został przełożony na późniejszy termin, ale tekst się ukazał.

Druga interwencja cenzury dotyczyła książki popularnonaukowej, a konkretnie jednego zdania – o homoseksualistach w wojsku. Wyraziłem pogląd, że po pierwsze, są w nim, a po drugie, że niekoniecznie jest im źle z tego powodu. Cenzura dała mi do wyboru: usunięcie tego zdania lub zakaz publikacji książki. Uznałem, że nie ma sensu się upierać.

W czasie współpracy z redakcją tygodnika „Ltd” przeważnie nie spotykałem się ani z ingerencjami w wyborze tematów artykułów, ani z zastrzeżeniami co do ich treści. Doświadczałem jednak swoistej sinusoidy: kiedy władze układały się z Kościołem lub z jakichś przyczyn nie

chciały go rozdrażnić, sugerowano mi, abym pisał na mniej kontrowersyjne tematy. W przypadku zaostżenia kursu wobec Kościoła otrzymywałem sygnał, że mogę pisać, co tylko dusza zapagnie, nawet na najbardziej drażliwe tematy – od zdrady do aborcji. Były to jednak sugestie, a nie wymagania.

Najczęściej miałem do czynienia z cenzurą już w wolnej Polsce. Dotyczyła ona redakcji różnych pism, z którymi współpracowałem, i zawsze wiązała się z potencjalną reakcją Kościoła na tekst. Tematami tabu okazały się: aborcja, antykoncepcja, sztuczne zapłodnienie, wychowanie seksualne w szkołach, seksualność a celibat, homoseksualizm duchownych. Większość moich artykułów na te tematy poszła do archiwum i nie ujrzała nigdy światła dziennego. Dość często zdarzało się również, że proszono mnie, abym w świątecznych numerach pism umieszczał teksty łagodne i niebudzące kontrowersji, a za to poświęcone miłości, rodzinie czy udanym związkom.

Zadziwiająca była też inna sytuacja. W związku z tym, że teraz dużo mówi się o gejach i lesbijkach, ciągle jest na ich temat mnóstwo hałasu i nieporozumień, a w mediach prezentują się jacyś dziwni eksperci i politycy,

postanowiliśmy ukrócić nieprawdziwe informacje. Uznaliśmy w zarządzie Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego, że napiszemy list do mediów, prezentujący nasze naukowe stanowisko. Wyłuszczyliśmy, jak należy traktować homoseksualizm, co o tym mówi Światowa Organizacja Zdrowia oraz światowe organizacje zrzeszające seksuologów. Podpisałem to jako prezes Towarzystwa i wysłaliśmy list do dwudziestu opiniotwórczych redakcji – od „Gazety Wyborczej” po „Politykę” i PAP. Wysłaliśmy też kopię do sejmu, senatu i ministerstw. I co? Cisza. Nasz list opublikował tylko tygodnik „Przegląd”.

Jeszcze kilka innych tekstów nigdy nie zostało opublikowanych z powodu oporów redakcji. Dotyczyły one seksualności polityków. Przedstawiałem w nich konkretne wyniki badań przeprowadzonych wśród parlamentarzystów w kilku krajach – Wielkiej Brytanii, RFN, USA. Te teksty uznano za kontrowersyjne z tego powodu, że seksualność skrajnie prawicowych polityków jawiła się w świetle tych badań jako mroczna, pełna obsesji i skłonności sadomasochistycznych. Sam zresztą wpadłem na pomysł, że warto byłoby zbadać seksualność naszych

parlamentarzystów. Badania miały być anonimowe, z użyciem ankiet identycznych jak w wyżej wymienionych krajach. W tym celu udałem się do marszałka sejmu, którym był w tym czasie Józef Zych z PSL-u. Spotkałem się z miłym przyjęciem, dostałem kawę, zostałem wysłuchany, a cel badań nie został oceniony negatywnie. Wyczuwałem jednak, że chyba nic z tego nie będzie. Marszałek stwierdził, że potrzebna będzie zgoda Konwentu Seniorów i szefów klubów poselskich. Potem zapadła głucha cisza, a badania nie zostały przeprowadzone.

Miałem różne pomysły na badania, na przykład wśród kleryków seminariów duchownych, zakonników i zakonnice. W tym celu rozmawiałem z rektorami seminariów, biskupami i przełożonymi klasztorów. Muszę przyznać, że rozmowy były zawsze sympatyczne, ale na rozmowach się kończyło. Jedno badanie próbowałem przeprowadzić za pośrednictwem mojej magistrantki, silnie związanej rodzinie z Kościołem.

Interesuje mnie życie intymne księży, zakonników i zakonnice. Uważam, że Kościół jest w pewnej pułapce, bo powołuje się na prawo naturalne, jakie stworzyło nas – mężczyzn i kobiety – do reprodukcji, której zaprzeczeniem

jest celibat. Tu jest widoczna sprzeczność. Nie byłem więc zainteresowany tymi, którzy celibatu nie przestrzegają. Księża uprawiający seks z kobietami czy zakonnice lesbijki to tematy, które mnie nie interesują, bo wedle wiedzy naukowej są to zachowania naturalne. Ciekawsze są dla mnie te osoby duchowne, które celibatu przestrzegają. Podejrzywałem, że taka postawa wpływa na kontakty międzyludzkie. Zastanawiałem się, jakie relacje z kobietami nawiązuje ksiądz, który w związku z celibatem powinien tłumić do nich pociąg seksualny. Myślę, że często przejawia się to na jeden z poniższych sposobów. Niektórzy księża mają tendencję do „angelizowania” kobiet – odrealniają je, skupiają się na figurze matki, a nie realnych kobietach i w efekcie o pochwie mówią „świątynia życia”. U innych przeradza się to w lepiej lub gorzej skrywany antyfeminizm. Kobiety przez takich duchownych mogą być traktowane jako zagrożenie.

Ciągle mam przed oczami pewną sytuację z mojego parafialnego kościoła, do którego przyszedł kiedyś zakonnik, żeby spowiadać wiernych. Było lato i upał, więc kobiety miały na sobie letnie sukienki. Zakonnik wyszedł z konfesjonału, podszedł do ołtarza i powiedział głośno, że

kobiety „nieskromnie ubrane” powinny wyjść z kościoła. To było agresywne zachowanie – winił kobiety za swoje myśli i skojarzenia. Jestem przekonany, że był to jego sposób radzenia sobie z niezaspokojonym popędem seksualnym.

Jeśli zaś idzie o zakonnice, to przypuszczam, że mogą sublimować swoje pożądanie w opiekę nad dziećmi czy niepełnosprawnymi. Bardzo jestem ciekaw, czy moje domysły są bliskie prawdy.

Niestety mojej studentce nie udało się zrealizować całego programu badawczego – większość badanych nie wypełniła ankiety, więc wyniki nie były miarodajne. Dziewczyna musiała zmienić temat pracy magisterskiej.

Opory przed badaniami mają również inne grupy zawodowe, a nawet sami seksuolodzy. Namówiłem kiedyś koleżankę na opracowanie programu badawczego poświęconego seksualności seksuologów. Na jednym ze zjazdów wygłosiłem płomienne przemówienie zachęcające do wypełniania ankiet (anonimowych, rzecz jasna) i wrzucenia ich do specjalnej skrzynki. Zrobiło to tylko kilka osób.

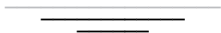
Wiele badań ankietowych jest przeprowadzanych wśród

młodzieży. Wydaje się, że nie ma problemów: młodzież okazuje zrozumienie, otwartość, zainteresowanie, wypełnia kwestionariusze, a wyniki są publikowane i budzą zainteresowanie mediów. Jednak zdaniem wielu ekspertów, szczególnie w przypadku młodzieży szkół podstawowych i średnich, odpowiedzi nie są bynajmniej wiarygodne i bardziej cenione są badania przeprowadzane za pośrednictwem internetu.

W wielu badaniach socjoseksuologicznych przynajmniej jedna trzecia respondentów nie udziela odpowiedzi na pytania w anonimowych ankietach, nawet w przypadku zapewnienia maksymalnej dyskrecji. Odsetek nieudzielających odpowiedzi zwiększa się w przypadku niektórych pytań. Też mam tego typu refleksje, wynikające z własnych doświadczeń. Na przykład na pytanie dotyczące liczby partnerów seksualnych i partnerów pozamałżeńskich prawie połowa badanych kobiet nie udzieliła w ogóle odpowiedzi, a z kolei na pytania dotyczące samooceny w roli kochanki czy atrakcyjności związku praktycznie nie zanotowałem odmowy.



# **SALONY I AMBONY**



PIERWSZE SPOTKANIA Z PUBLICZNOŚCIĄ  
POCHODZĄ JESZCZE Z CZASÓW MOJEJ KARIERY  
WOJSKOWEJ I PRAKTYKI LEKARSKIEJ W  
WARSZAWSKIM SZPITALU NA SZASERÓW.  
ZOSTAŁEM ZAPROSZONY DO PROWADZENIA CYKLU  
SPOTKAŃ Z ŻONAMI OFICERÓW. KIEDY  
DOWIEDZIAŁEM SIĘ, ŻE TO ŻONY WYŻSZYCH  
STOPNIEM, PANIE W ŚREDNIM WIEKU, UZNAŁEM, ŻE  
NIE BĘDĘ MÓWIŁ O PODSTAWACH SEKSUALNOŚCI.  
ZAPROPONOWAŁEM TEMATY ZWIĄZANE Z  
DOSKONALENIEM I UROZMAICANIEM SZTUKI  
MIŁOSNEJ. TEMATY ZOSTAŁY ZAAKCEPTOWANE.  
PANIE SŁUCHAŁY, ZADAWAŁY PYTANIA (RÓWNIEŻ  
BARDZO PRAKTYCZNE!), A NA ZAKOŃCZENIE  
OBDAROWAŁY KWIATKAMI I CZEKOLADKAMI.

BYŁO FAJNIE.

DO CZASU.

---

---

---

Na rozmowę służbową wezwał mnie szef jednego z departamentów MON. Zameldowałem się. Pan generał siedział za biurkiem ponury jak chmura gradowa. Kazał mi stać. Zaczął od stwierdzenia: „Nam się wasza działalność, poruczniku, nie podoba”. Pomyślałem sobie, że znowu chodzi o moje kościelne kontakty. Wkrótce z tą samą marsową miną dodał: „Wy nam buntujecie żony!”.

Wreszcie dotarło do mnie, że chodzi o spotkania z żonami kadry, i uznałem w swojej naiwności, że być może żartuje lub chce uzyskać jakąś specjalistyczną poradę. Uśmiechnąłem się więc od ucha do ucha. I tu szok! Generał wściekł się. Podniósł się, uderzył ręką w biurko i krzyknął do mnie: „Przez was moja nazwała mnie nieukiem! Koniec z waszymi wygłupami i rozkazuję wam milczeć! Odmaszerować!”.

Na tym skończyła się moja dydaktyka dla żon kadry.

Z pracy w szpitalu WAM zapamiętałem jeszcze jedno spotkanie. Pewnego dnia zgłosiła się do mnie żona pewnego pułkownika ze skargą, że ciąży jej obsesyjna zazdrość męża. Pani zajmowała się domem, była finansowo od niego uzależniona i była Rosjanką, co zdarzało się często w tamtych czasach. Mąż po przyjściu do domu zaczynał rytuał

– obwąchiwał ją od głowy do stóp i dokładnie wypytywał, co robiła przez cały dzień. Ta zazdrość zaczęła przekraczać granice jej psychicznej odporności, miała dolegliwości psychosomatyczne i poprosiła o interwencję. Mąż nie zgłaszał się na proponowane przeze mnie spotkanie w poradni. Po kolejnej propozycji wezwał mnie do departamentu MON i zapytał, o co mi chodzi. Ponieważ jego żona upoważniła mnie do ujawnienia problemu, delikatnie dałem znać, iż jego zachowania po powrocie do domu są dla żony nader stresujące i coś należałoby zmienić. Pułkownik zrobił się czerwony na twarzy. Poderwał się z krzesła i głośno powiedział: „Jesteście, poruczniku, jeszcze smarkaczem. Jak będziecie w moim wieku, to sami dojdziecie do przekonania, że żony należy obwąchiwać! Won stąd i więcej mnie nie nękać, bo pożałujecie!”.

## WĘDRUJĄCY EDUKATOR

Kraj przejechałem wzdłuż i wszerz. Odwiedzałem duże miasta i małe miasteczka – od Szczecina po Przemyśl i od Zielonej Góry po Białystok. Byłem wędrującym edukatorem z misją. W jednym tygodniu spotkanie w PGR na końcu świata, w drugim dyskusja z naukowcami PAN w centrum Warszawy.

Często odwiedzałem duszpasterstwa. Pamiętam te spotkania dokładnie: tłum ludzi, morze głów i ja opowiadający o seksie z ambony. Księża uczestniczyli w tych wykładach, co więcej, zapraszali mnie na nie. Cieszyło ich, że przychodzi wielu studentów. Wtedy nie było dostępu do edukacji seksualnej i dlatego spotkania były takie tłumne. Nigdy nie spotkałem się z żadną próbą cenzury, a jeździłem od 1968 do 1980 roku. Niekiedy spotkania odbywały się po mszy i zdarzało się, że proponowano mi wygłoszenie konferencji. Bardzo lubiłem te spotkania z młodzieżą, czułem, że jestem im potrzebny i że nasze rozmowy są dla nich naprawdę istotne. Tylko jeden jedyny raz doszło do zgrzytu. Było to w domu studenckim w Częstochowie – organizatorzy postanowili zrobić spotkanie z seksuologiem w trakcie przerwy w zabawie, a rozochoceni i podchmieleni

studenci nie bardzo nadawali się do dyskusji.

Zestaw pytań był żelazny: orgazm u kobiet, masturbacja, antykoncepcja, kiedy powinno się rozpocząć życie seksualne, jaki sens ma dziewictwo, kto to jest zboczenie, jakie są zaburzenia seksualne u kobiet i mężczyzn, jak kochają mężczyźni i kobiety, kiedy w Polsce będzie dostęp do pornografii, domów publicznych i czy mężczyźni są poligamiczni z natury. Ciągłe opowiadałem o tym samym. W duszpasterstwach studenci często pytali też o seks przedmałżeński, pozamałżeński, dziewictwo, celibat. To była specyfika tej konkretnej grupy.

Organizatorzy spotkań z reguły nie byli specjalnie hojni. Zwracano mi za podróż, ale rzadko otrzymywałem coś więcej do kieszeni. Nie wzbogaciłem się na tej edukacji seksualnej. Jedni ograniczali się do przywitania mnie w miejscu spotkania i pożegnania po wykładzie. Inni zapraszali na kolacje, występy zespołów młodzieżowych, zabawę po spotkaniu.

Bardzo miło wspominałem spotkania w Empikach na terenie kraju. Publiczność była bardzo zróżnicowana, dominowały osoby dorosłe i starsze. Scenariusz typowy: pogadanka trwająca około pół godziny, a po niej dyskusja,

która była najciekawszą częścią spotkania. Jej uczestnicy pytali o różne rzeczy, spierali się ze sobą, mówili o własnych doświadczeniach. Opowiadali: „Moja żona była zupełnie inna, wcale nie pasuje do tego, co pan doktor tutaj opowiada”. Zadawali pytania: „A co pan sądzi o tym, że kobieta robi karierę zawodową, a jej mężowi się to nie podoba?”. Często sięgali do swoich osobistych doświadczeń. To były wspaniałe spotkania. Zdarzało się niekiedy, że na spotkania przychodzili fundamentaliści religijni i wtedy zaczynała się wojna: agresywne pytania, gwizdy i syki w trakcie moich odpowiedzi. Oni zawsze byli i są tacy sami: wężą spiski masońskie, żydowskie, pomstują na zepsucie obyczajów „sterowane odgórnie” i boleją nad upadkiem polskiej rodziny.

Ciekawe były również spotkania w takich specyficznych gronach jak Rotary Club, połączone z kolacją i pogawędką w trakcie i po niej. Zadawane mi pytania najczęściej dotyczyły specyfiki pracy zawodowej seksuologa, aktualnych problemów obyczajowości erotycznej, wyników badań naukowych. Interesujące były (i nadal są) spotkania w środowiskach naukowców, członków PAN. Z reguły jestem proszony o wykład, po którym rozwija się dyskusja,

ale najciekawsze rozmowy zawsze toczą się w kuluarach. Często jestem pytany o sprawy, którymi aktualnie żyją media. Kolejny pedofil, kazirodca, dziewczynka z Austrii, która uciekła po latach przetrzymywania przez oprawcę, seksuolog oskarżony o wykorzystywanie pacjentek – naukowcy pytają mnie o zdanie i są ciekawi mojej opinii. Oczywiście zdarzają się i tacy, którzy próbują załatwić swoje własne sprawy. Najczęściej rozmowę zaczynają tak: „Kolega ma pewien problem, ale jest pruderyjny, mnie się zwierzył, ale nigdy nie zdecydowałby się na wizytę u specjalisty. Co by pan na to poradził...”. No więc radzę „koledze”, co zrobić, gdzie się udać po pomoc albo jaką książkę przeczytać. I tak sobie gramy tę komedię, udając, że nie wiemy, o co chodzi... Najrzadziej spotykam ludzi, którzy przy takich okazjach mówią wprost o swoim problemie.

Często miewałem również spotkania z młodzieżą szkół średnich. Organizowano je w salach gimnastycznych, do których zapraszano uczniów z kilku klas. Klasy dzieliły się na dwa typy i bardzo łatwo można było wyczuć, z kim ma się do czynienia. W niektórych ton nadawali żądni wiedzy intelektualiści, którzy zadawali dziesiątki bardzo



konkretnych pytań. Rzucali jedno za drugim: jaka jest najskuteczniejsza metoda antykoncepcji? W jaki sposób można zarazić się HIV? Jaka jest przyczyna homoseksualizmu? Odpowiadałem na pytania i obie strony były zadowolone. W innych klasach dominował zupełnie inny ton. Młodzież próbowała sztuczek i żartów na niezbyt wysokim poziomie oraz wracała ciągle do tych samych pytań. Jakie są najlepsze pozycje? A techniki seksu oralnego? Miałem na nich prosty sposób: odpowiadałem z uśmiechem, że jeśli ktoś jest inteligentnym człowiekiem z dużą wyobraźnią, to wymyśla na bieżąco najbardziej satysfakcjonujące i wyrafinowane pozycje. Na to zwykle zaczynali się śmiać i mogliśmy przejść do poważnej rozmowy.

Podczas większości spotkań pytania były zapisywane na karteczkach, a te wrzucane do specjalnej skrzynki.

Pytania od młodzieży dzielą się zasadniczo na trzy grupy. Pierwsza, podstawowa grupa, która jest niezmienna i najliczniejsza, obejmuje tematy, które młodych osobiście dotyczą. Najczęściej pytają o to osoby, które już rozpoczęły życie seksualne lub noszą się z takim zamiarem. Chłopcy pytają więc o wielkość członka, satysfakcję seksualną

kobiety, masturbację – czy jest szkodliwa, czy nie, jakie znamy rodzaje zaburzeń seksualnych, jakie są ich przyczyny i sposoby leczenia – chodzi głównie o przedwczesne wytryski, zaburzenia erekcji i zaburzenia orgazmu. Dziewczęta częściej pytają o antykoncepcję, jej skuteczność i wpływ na doznania seksualne. Druga grupa pytań zawsze jest związana z aktualnościami, tym, czym żyją media – tu pojawia się temat prostytutki, pornografii, pedofilii i tak dalej. A trzecia grupa pytań to pytania prywatne, dotyczące mojego życia i mojej pracy, ale tych jest zasadniczo najmniej.

Zebrane pytania układałam w jakąś sensowną kolejność i udzielam odpowiedzi. Za każdym razem – kiedyś i dziś – dochodzę do tego samego smutnego wniosku – młodzież powinna znać odpowiedzi na większość z tych pytań. Potrzebna jest sensowna edukacja seksualna oparta na nauce, a nie ideologii. Biedne te dzieciaki... Informacje zdobywają w internecie (często bzdurne), za pomocą pornografii (która odbiega od świata realnego) i od rówieśników, a rzadko kiedy w szkole i w domu.

Ten wniosek potwierdziłem ostatnio na Przystanku Woodstock. Miałem tam bardzo ciekawe spotkanie

z młodzieżą w ramach Akademii Sztuk Przepięknych. Muszę się przyznać, że gdy dostałem zaproszenie od Jerzego Owsiaaka, trochę się obawiałem, czy muzyczny festiwal to właściwe miejsce na pogadanki z seksuologiem. Moje obawy okazały się niepotrzebne. Byłem bardzo pozytywnie zaskoczony – na Przystanku Woodstock spotkałem normalną, ciekawą świata i inteligentną młodzież. Było ich bardzo dużo, wypełnili cały namiot i stali jeszcze na zewnątrz. Reagowali z humorem, zadawali bardzo sensowne pytania. Widać było, że są chłonni, że potrzebują informacji, chcą się czegoś dowiedzieć. Na koniec zaśpiewali mi *Sto lat*. To było bardzo sympatyczne.

Młodzi dorośli, tacy jak na Przystanku Woodstock, a zwłaszcza studenci, to grupa wiekowa, z którą najlepiej się czuję. Takie spotkania traktuję w pewnym sensie jako misję i chętnie na nie jeżdżę.

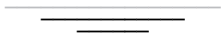
Spotkania na temat edukacji seksualnej miewałem również w PGR-ach. Organizowane były przez tygodnik „ItD” oraz różne młodzieżowe organizacje. Starłem się być zrozumiały i mówić przystępnie. Zainteresowane były bardziej kobiety i młodzież, a wielu mężczyzn drzemało na krzesłach ustawionych w sali. Ludzie nie mieli odwagi

zadawać pytań, atmosfera była napięta. Czasami ktoś wyskoczył: „A homo to zboczenie?”, ale największym zainteresowaniem cieszyły się antykoncepcja i leczenie zaburzeń seksualnych. To były trudne spotkania, bo ludzie nie przychodzili na nie dlatego, że byli zainteresowani, tylko dlatego, że mogli mieć przerwę w pracy, bo przyjechał seksuolog.

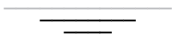
Najdziwniejsze i dotąd niezrozumiałe dla mnie spotkanie miało miejsce jesienią 1970 roku. Przyjechał do mnie do Poradni TRR w Warszawie pan w eleganckim garniturze, proponując spotkanie dla „specjalnego grona słuchaczy”. Nie chciał nic więcej powiedzieć, ale budził zaufanie i był serdeczny. Ustalono termin spotkania, które miało trwać – z dowiezieniem mnie na miejsce i odwiezieniem z powrotem – łącznie cztery godziny. Zostałem zaprowadzony do luksusowego samochodu z zaciemnionymi szybami. Poproszono, żebym się zgodził na założenie mi opaski na oczy. Bardzo mnie to zaskoczyło i chciałem wysiąść, ale w końcu dałem się przekonać. Do dziś nie wiem, dokąd mnie zawieźli. W sali jakiejś willi siedziało dziewięciu mężczyzn – elegancko ubranych, w średnim i starszym wieku. Zadawali pytania wyłącznie

na tematy seksu, zaburzeń, metod leczenia, kierunków badań naukowych w seksuologii, rewolucji seksualnej. Inne tematy się nie pojawiły. Pytania były wnikliwe, a atmosfera spotkania dosyć sympatyczna, z niewielkim poczęstunkiem bez alkoholu. Po spotkaniu odwieziono mnie z opaską na oczach na dworzec PKP i pojechałem ostatnim pociągiem do Siedlec. Dotąd nie wiem, z kim miałem zaszczyt się spotkać i czemu miało służyć to wszystko.

# LUDZIE LISTY PISZA



LISTÓW DOSTAWAŁEM TYSIĄCE. NAJWIĘCEJ PRZYCHODZIŁO DO MNIE NA ADRES TYGODNIKA „ITD”, A POZOSTAŁE DO REDAKCJI INNYCH PISM, Z KTÓRYMI WSPÓŁPRACOWAŁEM – „ZWIERCIA DŁA”, „KOBIECY I ŹYCIA”, „MAGAZYNU RODZINNEGO”, „TWOJEGO WEEKENDU”. KIEDY W 1989 ROKU WYDAŁEM KSIĄŻKĘ *LISTY DO SEKSUOLOGA*, OPARŁEM SIĘ W NIEJ NA ANALIZIE 13 280 LISTÓW!



Problemy z erekcją od zawsze były tematem listów do seksuologa oraz wątkiem, który pojawiał się na spotkaniach z publicznością. Dziś ich leczenie stało się łatwiejsze niż kiedykolwiek – viagra odesłała do lamusa zastrzyki w członek oraz inne mechaniczne sposoby. Wśród nich wynalazek nazwany erektonem.

Pewnego dnia, pod koniec lat siedemdziesiątych, przyszedł do mnie dżentelmen, który przedstawił się jako polski przedsiębiorca. Powiedział, że Rosjanie mają patent na leczenie zaburzeń erekcji w postaci aparatu o nazwie erekton. Ów dżentelmen nawiązał kontakt z radziecką firmą i zaprosił mnie do Moskwy, żebym mógł sprawdzić, czy to działa. Pojechaliśmy. W dwudziestostopniowym mrozie przed kliniką przy ulicy Smoleńskiej kłębił się tłum mężczyzn w kufajkach.

Wszyscy po erekton!

Wchodzę do środka, pokazują mi pokój zawalony workami z korespondencją (ponieważ dali informację o erektonie do mediów, ludzie zaczęli pisać). Było dwanaście typów erektonów, dostosowanych do dwunastu rozmiarów członka. Pacjent wchodził do pokoju, wyjmował członek, lekarz patrzył, przykładał centymetr i mówił: „Rozmiar 9!”.



Pomocnik szedł do magazynku i wyjmował erekton w rozmiarze numer 9, a pacjent udawał się do kasy, płacił i szczęśliwy wracał do domu. W pewnym momencie do pokoju wszedł starszy mężczyzna – w zwykłej marynarce, ale z rzędem orderów po obu stronach. Powiedział, że jest bohaterem wojny ojczyźnianej i jako taki powinien dostać erekton za darmo. Lekarz starał się spokojnie mu wytłumaczyć, że zniżek tego rodzaju nie przewidują, że za wszystko trzeba płacić. Bohater się postawił, że napisze skargę, i pożegnał lekarza słowami „*Paszoł won!*”.

Trochę tych erektonów sprowadziliśmy do Polski i polecałem je tym mężczyznom, na których nic innego nie działało. To było ostateczne wyjście. Niestety stosowanie erektonu wiązało się z bardzo nieprzyjemnymi doznaniem dla kobiet. Erekton tworzyła plastikowa rura wzdłuż członka, która z przodu i z tyłu miała małe skrzydełka. Była jeszcze plastikowa plecionka, którą owijało się wokół moszny, żeby cały mechanizm nie spadł. Tak uzbrojony mężczyzna był w stanie wprowadzić członek do pochwy. Gdy członek zaczął się powiększać, to skrzydełka się rozszerzały i dzięki temu nie było ucisku. Dla kobiet trudna

do zniesienia była strona grzbietowa z plastikową rurką, bo ocierała pochwę. Mimo to sprzedaliśmy w Polsce jakieś dwa czy trzy tysiące erektonów.

## ZAPYTAJ SEKSUOLOGA

W każdym tygodniu w redakcji czekał na mnie stos kopert, od dziesięciu do piętnastu listów i na szczęście nie wszystkie dotyczyły problemów z erekcją. Na ogół były adresowane na moje nazwisko albo miały dopisek „porady intymne” (tak nazywała się rubryka, którą prowadziłem w „ItD”). W domu otwierałem koperty, czytałem listy i segregowałem w teczkach, wybierając te, które mogłem wykorzystać do napisania artykułu. Ciągłe zastanawiała mnie pewna prawidłowość: dokładnie w tygodniu, w którym w numerze „ItD” ukazywał się opis jakiegoś problemu i dotycząca go porada, dostawałem kilka listów na ten sam temat. Pisałem artykuł o przedwczesnym wytrysku (cytowałem fragment listu, omawiałem problem, proponowałem leczenie) i mogłem być pewien, że natychmiast dostanę piętnaście listów o przedwczesnym wytrysku, zaczynających się od słów: „Dzień dobry, mam dokładnie taki problem, jaki opisał pan w magazynie...”.

Zgodnie z przyzwyczajeniami z wojska wszystkie listy segregowałem. Teczki były podzielone tematycznie na: obyczajowe, światopoglądowe, zaburzenia, problemy. Gdy tylko miałem tekst do napisania, to szybko liczyłem, ile

przyszło listów o jakiej tematyce, jaka jest grupa wiekowa, z jak dużej miejscowości, i statystyka była gotowa.

Kilka lat temu przygotowałem na jedną z naukowych konferencji analizę porównującą problemy, z którymi zgłaszali się ludzie – w listach, na spotkaniach, w gabinecie i telefonie zaufania, bo też przez jakiś czas w nim pracowałem. Pytania zadawane pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku XXI wieku wyraźnie się od siebie różniły.

**Treść pytań**  
**lata 1967–1970**  
**2000–2010**

Pytania o ABC seksu

55

15

Zaburzenia i problemy seksualne

29

71

Techniki współżycia seksualnego

2

3

Masturbacja

7

4

Problemy związane z płodnością

2

1

Zagadnienia obyczajowe i etyczne

5

6

W latach 1967–1970 wyraźnie dominowało ABC seksu, pytania dotyczące anatomii i fizjologii, aktywności seksualnej oraz chemii seksu i miłości. Czasopisma w tamtym czasie przede wszystkim uświadamiały seksualnie. Pytania z tego zakresu po 2000 roku najczęściej dotyczą norm wielkości członka, czasu trwania stosunku i częstotliwości współżycia.

Zmieniła się też treść pytań o zaburzenia seksualne.

**Treść pytań**

**lata 1967–1970**

**po 2000 roku**

Anorgazmia pierwotna

22,7

2,6

Dyspareunia  
[ból we współżyciu]

9,4

2,7

Pochwica

15,6

2,0

Zmniejszenie popędu

16,3

57,6

Wytryski przedwczesne

36,2

11,9

Zaburzenia erekcji

40,9

87,9

Dzięki zmianom obyczajowym i dostępowi do informacji coraz mniej kobiet ma problemy z orgazmem.

Problemy ze zmniejszeniem popędu najczęściej wynikają ze stresów, zmęczenia i konfliktów między partnerami lub są następstwem chorób i przyjmowania leków. Wytryski przedwczesne w Polsce dotyczą co trzeciego mężczyzny i zakres tego zaburzenia nie uległ zmianie, ale za to informacji na ten temat jest dużo więcej, szczególnie w internecie. Zaburzenia erekcji, dawniej zwane impotencją, zawsze przyciągały uwagę i dotyczą średnio co dziesiątego mężczyzny. Zrozumiałe, że częściej pojawiają się one u mężczyzn w wieku średnim i późnym, a ich przyczyną jest niewłaściwy styl życia (brak ruchu, uzależnienia, otyłość), choroby, leki, lęki, zaburzone relacje w związku, zmęczenie i stres. Przyczyną większego zainteresowania tym problemem stało się wprowadzenie nowych skutecznych leków leczących to zaburzenie, nagłaśnianie w mediach, a także starzenie się populacji i zainteresowanie jakością życia seksualnego w każdym wieku, wzrost oczekiwań i wymagań partnerek.

Jeśli chodzi o kwestie obyczajowe, to w przeszłości najwięcej pytań dotyczyło dziewictwa, seksu przedmałżeńskiego, seksu oralnego i analnego. Dzisiaj ludzie chcą rozmawiać o zdradzie, pornografii, celibacie,

pedofilii i cyberseksie. Dawniej seks oralny był postrzegany jako wyrefinowanie, patologia, a nawet dewiacja. Pamiętam sprawy rozwodowe, w których powódki domagały się orzeczenia rozwodu z winy męża za proponowanie im „zбочonego seksu”. Obecnie seks oralny jest traktowany jako rodzaj pieszczot, normalna forma kontaktu seksualnego i stał się niemal powszechnie akceptowany.

Nie wyciągajmy zbyt optymistycznych wniosków z tego, że młodzież więcej czyta i ma dostęp do większej ilości informacji na temat seksu. Duża grupa na początku XXI wieku nadal nie wie, kiedy można zajść w ciążę, ma błędne poglądy co do cyklu płodności, masturbacji i orgazmu, a mity i stereotypy wciąż są drogowskazami w życiu seksualnym. Pornografia jest traktowana jako źródło wiedzy o seksualności i wzorcowy styl współżycia.

Nie przeceniajmy również roli internetu w upowszechnianiu wiedzy o seksualności. Informacji jest w nim wprawdzie wiele, ale często bałamutnych i sprzecznych. W przeszłości prawie połowa mężczyzn miała kompleks wielkości członka. Otrzymałem na ten temat wiele listów i nie było tygodnia, aby nie zgłosił się jakiś pan niezadowolony ze swej budowy, unikający z tego powodu



kontaktów seksualnych, lękający się ośmieszenia ze strony kobiety i porównań z innymi partnerami. Czterdzieści, trzydzieści czy dwadzieścia lat temu odpowiadałem, że wielkość członka nie jest najważniejsza, bo zdecydowana większość partnerów, ponad 90%, w ogóle nie ma problemów z subiektywnym poczuciem, że są anatomicznie niedopasowani. Poza tym istnieją różne pozycje seksualne, które można dobierać w zależności od budowy ciała kochanków. Już w *Kamasutrze* możemy o tym przeczytać. Dzisiaj dodatkowo, na poparcie tych słów, mogę przedstawić wyniki niedawno przeprowadzonych międzynarodowych badań (na bardzo dużej populacji).

Okazało się, że w krajach Unii Europejskiej jako normę długości członka w stanie erekcji przyjmuje się 12–16 cm, natomiast u Azjatów 8–11 cm. Autorzy badań podkreślają także, że dla satysfakcji seksualnej partnerki ważniejszy jest obwód, a nie długość członka. Co ciekawe, te badania zostały przeprowadzone z zupełnie innych powodów, niż można by było przypuszczać. Otóż w związku z tym, że ostatnio coraz więcej mężczyzn zgłasza się do chirurgów plastycznych z prośbą o poprawienie parametrów członka,

a potem domaga się refundacji zabiegu, problem stał się palący dla firm ubezpieczeniowych. Badania zlecono więc przede wszystkim po to, by raz na zawsze ustalić, co jest normą, a gdzie zaczyna się patologia. Dzięki temu firmy ubezpieczeniowe mają teraz naukową podstawę do tego, by odszkodowania wypłacać tylko w przypadkach rzeczywiście odbiegających od normy.

Co ciekawe, mimo że dane z tych badań są powszechnie dostępne w internecie, około połowy mężczyzn nadal nie jest zadowolona z wielkości swojego członka! Boją się doświadczonych seksualnie partnerek, a mit o tym, że wielkość ma decydujące znaczenie dla kobiety, jest trwały. Wszystkie rozczarowania lub zaburzenia seksualne tłumaczą sobie rozmiarem penisa, a jeśli do tego porównają się z mężczyznami z filmów i zdjęć pornograficznych – kompleks gotowy. Nic zatem dziwnego, że wielu mężczyzn chętnie kupuje proponowane im w internecie różne „leki” i urządzenia mające powiększyć członek. Można na tym zbić majątek. Mam coraz więcej pacjentów z uszkodzeniami członka po stosowaniu różnych ciężarków, „naciągaczy” i innych narzędzi (nie mówiąc już o „lekach”).

Coraz częściej spotykanym problemem staje się

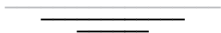
zaburzone poczucie atrakcyjności budowy genitalnej u kobiet. W przeszłości niewiele kobiet zgłaszało się z powodu niezadowolenia z wyglądu warg sromowych, a listy na ten temat można było policzyć na palcach. Obecnie jest ich coraz więcej. Kobiety coraz częściej mówią o chirurgicznej korekcie intymnych miejsc. Można już mówić o rosnącej modzie na usługi w tym zakresie. Panie bardziej zaczęły akceptować swoje ciało i chcą być atrakcyjne „wszędzie”. Zależy im na usatysfakcjonowaniu partnera w zakresie bodźców wizualnych i dociera do nich z mediów coraz więcej informacji na tego typu tematy, a chirurgia plastyczna poszerza zakres usług. Dawniej pacjentki na fotelu ginekologicznym pytały, czy są normalnie zbudowane i czy nie mają jakichś wad, a obecnie pytają, czy wyglądają atrakcyjnie i czy czegoś nie należy poprawić.

Są też nowe obszary pytań: problemy wiążące się z wyjazdem i pracą partnerów poza krajem, uzależnieniem od kontaktu z prostytutkami i z pornografią... Co zrobić, gdy odkryję w laptopie film o treści seksualnej z udziałem partnera? Jak reagować na romansowanie partnerów w internecie?

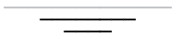
Swoim pacjentom – tym w gabinecie, na spotkaniach i

autorom listów – bardzo dużo zawdzięczam. To oni mi pokazali, że w ludzkich zachowaniach seksualnych nie ma granic.

# OD LEWA DO PRAWA



REGUŁA JEST PROSTA: UDZIELAM WYWIADU „UWAŻAM RZE” I ZGŁASZA SIĘ DO MNIE KILKUNASTU PACJENTÓW Z OPCJI PRAWICOWEJ. JAK WYPOWIADAM SIĘ DLA „PRZEGLĄDU”, TO SPOTYKAM W GABINECIE LEWICOWCÓW. KIEDY ZAŚ PISAŁEM DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”, TO NAGLE ZACZĘLI SIĘ POJAWIAĆ W MOJEJ PRZYCHODNI KSIĘŻA I ZAKONNICY.



Zrozumiałe, że wielu polityków miewa problemy seksualne wynikające z zaawansowanego wieku, pracoholizmu czy przeżywanych stresów. U innych potwierdzenie znajduje znane powiedzenie Henry'ego Kissingera, że władza jest najsilniejszym afrodyzjakiem. Typowych wariantów możliwych zachowań jest kilka. Na przykład polityk gwałtownie awansował i pod wpływem życiowego sukcesu ma zwiększone potrzeby. Przez ostatnich jedenaście lat uprawiał seks z częstotliwością zgodną z jego naturą, a teraz ma ochotę na więcej. W związku z nową rolą ma też więcej możliwości, ale z kolei organizm może odmówić posłuszeństwa.

Inny scenariusz: człowiek ma konserwatywne zasady, dzięki którym został politykiem. Tymczasem działa afrodyzjak władzy i pojawiają się coraz silniejsze pokusy. Nie potrafi podjąć decyzji, przerzuca ją na terapeutę. Mówiąc krótko, czeka, żebym dał mu zgodę na romans. Trzeci znowu przychodzi dlatego, że poczuł się tak pewnie, iż jest przekonany o swojej wyjątkowości, więc każda kobieta powinna być na jego skinienie. A nie jest! Nie rozumie, co się dzieje i dlaczego kobiety nie reagują na niego pozytywnie. Istnieje niestety taka grupa polityków,

którym woda sodowa uderzyła do głowy i uważają, że cały świat powinien leżeć u ich stóp.

Kiedy słyszę, że w sejmie ktoś krzyczy coś o seksie, chce czegoś zakazywać, karać i wsadzać do więzień, to nie mam wątpliwości. Moja wieloletnia praktyka wskazuje, że taki człowiek ma jakiś problem z seksem. Można mieć swoje poglądy i wyrazić je spokojnie – gdy jednak ktoś krzyczy, tupie nogą i chce zmusić resztę świata, żeby te poglądy podzielała, to taka postawa musi wynikać z problemu osobistego.

W moim gabinecie równie często rozmawiam z przedstawicielami partii lewicowych, jak i tych bardziej na prawo. Politycy z opcji lewicowych są bardziej tolerancyjni i otwarci oraz liberalnie nastawieni do spraw seksu. Jeżeli ktoś wywodzi się z opcji lewicowej, to opinii publicznej nie zaskakuje, że zmienił żonę lub znalazł kochankę. Zdarza się. Jeśli jednak ktoś deklaruje konserwatywne poglądy, powtarza bez końca, że rodzina jest największą wartością, a potem się rozwiedzie i znajdzie sobie kochankę młodszą o połowę, to media będą wałkowały ten temat miesiącami. Najlepszym na to przykładem może być historia premiera Kazimierza



Marcinkiewicza. Ludzie nie mieli mu za złe tego, że się rozwiódł – bardziej przeszkadzało im to, że jego zachowanie było niezgodne z wartościami, które głosił. Różnice te widzę wyraźnie, kiedy politycy występują w roli pacjentów. Ci z lewej strony mają typowe kłopoty (problemy z erekcją czy wytryskiem), a jeśli przydarza im się trójkąt, to są po ludzku rozdarci i uwikłani, ale nie mają problemów światopoglądowych. Nie głoszą przecież w telewizji i na mównicy sejmowej, że zdrada czy rozwód to grzech i koniec świata, więc nie muszą żyć w poczuciu schizofrenii.

Natomiast prawicowcy zdecydowanie częściej mają obsesje. Głoszone poglądy wprost przekładają się na ich stosunek do seksu oraz problemy z tą sferą życia. Ktoś na przykład ma wielką pokusę zdrady i jednocześnie bardzo silne hamulce, więc w efekcie zaczyna wpadać w obsesję, bo w jego głowie roi się od sprzecznych myśli. Często zdarza się też, że mają tendencje sadomasochistyczne.

Wśród prawicowców jest więcej kryptogejów, bo homoseksualizm często jest niezgodny z linią ich partii oraz indywidualnymi wyborami, więc nie mogą otwarcie powiedzieć o swojej orientacji seksualnej. Potwierdza to stworzony w Stanach Zjednoczonych raport Cynthii

i Samuela Janusów, w którym między innymi zostały wykorzystane badania na temat orientacji parlamentarzystów skrajnie prawej i skrajnie lewej strony. Lewicowcy często nie muszą się ukrywać, bo to, że niektórzy z nich są gejami, nie szkodzi ich wizerunkowi. Kryptogeje często publicznie są homofobami albo są wrogo nastawieni do seksu w ogóle. Działa tu prosty mechanizm – ktoś jest jednocześnie gejem i konserwatystą, więc cały czas pozostaje w konflikcie ze swoim systemem normatywnym. Jest w nim coś, czego nie akceptuje, więc żyje w ogromnym napięciu. Myśli: „Jeśli seks jest moim problemem, to będę z nim walczyć, to będzie moja ekspiacja”. Być może prawicowi kryptogeje uważają, że muszą się dobrze ukrywać oraz stworzyć zasłonę dymną. Dlatego, żeby odwrócić uwagę od swojego problemu, przekierowują uwagę na problemy innych.

Awans na polityczny Olimp działa zaś jak narkotyk i daje mężczyźnie poczucie własnej atrakcyjności, napędza seks. Mężczyźni na świeczniku to samce alfa, którzy przyciągają do siebie kobiety. Upadek może być jednak bolesny. Poważne problemy mają ludzie, których kariera gwałtownie się załamuje.

Jeśli ktoś jest w partii politycznej, która przegrała, ale

wcześniej przepowiadały to sondaże, to jakoś da sobie ze sobą radę. Gorzej, gdy ktoś jest pewniakiem i ponosi niespodziewaną klęskę – wtedy mamy prawdziwą katastrofę. Człowiek przeżywa ogromny stres, a ten prowadzi do wrzodów żołądka, dwunastnicy i jelita grubego, nadciśnienia, dolegliwości krążeniowych czy nawet zmian skórnych. Stres oczywiście powoduje także zaburzenia seksualne. Podobny los spotkał osoby, które po wyjściu z internowania w stanie wojennym zaczęły mieć problemy w związkach. Partnerki oczekiwały od nich odnalezienia się w nowej rzeczywistości i znalezienia konkretnej pracy. Nie chciały mieć w domu męczennika w aureoli bohatera. Tymczasem panowie uważali, że skoro ponieśli tyle trudów dla kraju, to powinni żyć na specjalnych warunkach również w domu.

Co ciekawe, wszystkie te mechanizmy zachowań zupełnie nie dotyczą kobiet polityków! To chyba jednak temat na zupełnie osobną książkę.

## PRZYCHODZI POLITYK DO SEKSUOLOGA

Kiedy zacząłem pracować jako seksuolog, nie spodziewałem się, że znajdę się w świecie polityki i polityków. Pewnego razu nieopatrznie przyznałem podczas wywiadu, że wielu parlamentarzystów korzysta z mojej pomocy i nawet w nocy miewam telefony z prośbą o udostępnienie „niebieskiej tabletki”, czyli viagry. Dziennikarze ciągle potem wracali do tej sprawy i chcieli wiedzieć więcej. Ze zrozumiałych względów politycy oczekują maksymalnej dyskrecji, więc milczę. Rozumiem również to, że w miejscach publicznych większość z nich woli nie pokazywać, że się znamy, więc zachowujemy się wobec siebie jak obcy ludzie. Od dawna nie zaskakuje mnie też to, że życie intymne danego polityka znacznie odbiega od publicznie deklarowanych poglądów.

Politycy cenią sobie moją apolityczność, którą podkreślam – publicznie i prywatnie. Oczekują maksymalnej dyskrecji i najbardziej odpowiada im wizyta bez świadków. Wolą przyjść do prywatnego mieszkania, a nie do gabinetu z rejestracją. Przychodzą do mnie, bo wiedzą przede wszystkim, że zapewniam im anonimowość – znana osoba nie musi siedzieć u mnie w

poczekalni, krzesło w krzesło z innymi pacjentami. Niestety od czasu afery z zatrzymaniem kardiochirurga w warszawskim szpitalu politycy mają znacznie więcej obaw. Wtedy ze szpitala MSW ściągnięto dokumentację i przedstawiciele służb specjalnych dokładnie ją przestudiowali. Moi pacjenci, kiedy widzą, że robię notatki, pytają przestraszeni: „Panie doktorze, pan to będzie wszystko spisywał?”. Tłumaczę im, że moje notatki są nie do odszyfrowania przez postronne osoby. Używam specjalnego kodu i tylko ja rozumiem, co zapisałem w swoich notatkach na temat pacjenta. W czasach PRL-u też miałem wizyty polityków. Zaczęło się już od ekipy Gomułki. Sam Gomułka był bardzo pruderyjny, więc jego podwładni ukrywali przed nim wszystkie swoje romanse, bo się nimi denerwował. Wtedy nie do pomyslenia było, żeby działacz partyjny się rozwodził – chociaż prawo było świeckie i to umożliwiał, to przecież politycy mieli świecić przykładem! Zdarzało się więc, że zdradzana żona szła ze skargą do pierwszego sekretarza POP w zakładzie pracy, a ten wzywał niewiernego męża na dywanik, aby odbyć rozmowę umoralniającą.

Z kolei ekipa Rakowskiego była bardziej wesoła i

otwarta. Wtedy krańcowe i skrajnie purytańskie zachowania nie miały miejsca – już się tak bardzo nie wstydzili, choć często nadal zdarzało się, że rząd dyktował politykom, jak mają żyć i jak powinno wyglądać ich pożycie oraz małżeństwo. Do mnie docierało to głównie pod postacią cenzury, jaką nakładały na mnie redakcje, z którymi współpracowałem. Redaktorzy powoływali się zawsze na wytyczne z góry, że nie mogą się narażać na zarzuty o świadome demoralizowanie społeczeństwa.

## **PRZYCHODZI SEKSUOLOG DO POLITYKA**

Do świata polityki bywałem wciągany nie tylko jako lekarz, czasem trafiałem tam z konieczności. Typowy przykład: zawsze przed kolejnymi wyborami do sejmu i senatu przedstawiciele partii politycznych wypowiadają się na różne tematy związane z seksem: mówią o wychowaniu seksualnym, obyczajowości erotycznej, propozycji nowelizacji prawa, pornografii, prostytucji, przestępstwach seksualnych czy homoseksualizmie. Bywam proszony przez media o zajęcie stanowiska w tej sprawie. Wtedy okazuje się najczęściej, że wypowiedziane przeze mnie sądy, zgodne z dyrektywami ONZ, WHO czy światowych towarzystw seksuologicznych, są przez niektórych odbierane jako poglądy lewicowe, liberalne i demoralizujące.

Pamiętam, jak kiedyś w sejmie uczestniczyłem w dyskusji na temat wychowania seksualnego i w trakcie przerwy podszedł do mnie przywódca jednej z partii prawicowych, i powiedział: „Znam pana rodzinę, piękną kartę z czasów studiów w WAM, a teraz ze smutkiem widzę, jak pan kuma się z tymi komuchami i działa z nimi na rzecz rozbicia polskiej rodziny”. Inny prawicowy polityk w czasie spotkania stwierdził, że otrzymałem mieszkanie

dzięki poparciu ministra Wiatra: „Odwdzięczył się panu doktorowi za walkę z Kościołem”, powiedział. Zdębiałem. Moje wyjaśnienia, że na mieszkanie zarobiłem wieloletnią ciężką pracą i nie wojuję z Kościołem, zbył machnięciem ręki. Innym razem podszedł do mnie w kościele znany z dewocji polityk i powiedział, że jest zaskoczony, widząc mnie w tym miejscu.

Na szczęście prawicowi politycy nie zawsze postrzegają mnie tylko jako wroga. Kiedy media informowały, że opracowałem opinię sądowo-seksuologiczną w sprawie księdza Henryka Jankowskiego (kamery towarzyszyły mi nawet w momencie wysyłania jej pocztą do prokuratury!) i ujawniły treść tej opinii, jeden ze znanych prawicowych polityków podszedł do mnie i podziękował za to, że „nie ugiąłem się pod naciskami lewackich mediów i zachowałem obiektywizm”. Wielu polityków różnych opcji wyraziło także współczucie, gdy w prasie pojawiła się informacja, że w czasie prezydentury Lecha Wałęsy Biuro Bezpieczeństwa Narodowego poddało ocenie moją książkę o wychowaniu seksualnym. (Do dziś nie mam pojęcia, czego tam szukali, ale zainteresowali się nią po proteście Episkopatu). Podobne życzliwe reakcje polityków miały



miejsce po tym, jak były prawicowy wicepremier publicznie krytykował w sejmie tę samą książkę.

Nie byłem i nie jestem pieszczoszkiem prawicowych polityków, więc można odnieść wrażenie, że lewicowi mnie promowali. To tylko pozory. W rozmowach prywatnych i owszem, jednak (z nielicznymi wyjątkami) niczego nie mogłem u nich załatwić dla polskiej seksuologii i wychowania seksualnego. Kiedy startowali w wyborach, obiecywali pomoc dla promowania edukacji seksualnej w szkolnictwie, ale po wygranej nabierali wody w usta. Wyjątkiem był minister Wiatr, który zgodził się na powołanie zespołu ekspertów w sprawie opracowania nowoczesnego programu edukacji seksualnej i uczynił mnie swoim doradcą w tej dziedzinie. Program został opracowany przez zespół, do którego zaprosiłem osoby o różnych poglądach, jednak nigdy go nie wykorzystano.

Jedyny resort, z którym moja współpraca układała się dobrze, to Ministerstwo Zdrowia. Odczułem, że ceni się w nim fachowość i dostrzega potrzebę promocji zdrowia seksualnego, kształcenia lekarzy z zakresu seksuologii oraz organizacji nadzoru specjalistycznego w dziedzinie seksuologii. Z kolejnymi ministrami zdrowia miałem dobre

kontakty, niezależnie od ich opcji politycznej. Kilku z nich winien jestem wyrazi wdzięczności. Minister Jacek Żochowski powołał nadzór specjalistyczny w zakresie seksuologii i krajowego konsultanta w dziedzinie seksuologii. Wszystkie lekarskie specjalizacje miały już wtedy konsultantów krajowych, a seksuologia nie. Dopiero za jego rządów seksuologia została sformalizowana jako dziedzina medycyny, co bardzo ułatwiło proces zdobywania uprawnień kolejnym pokoleniom seksuologów. Minister Marek Balicki starał się o stworzenie naukowego ośrodka w zakresie seksuologii sądowej i klinicznej – dzięki niemu powstało Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego w Warszawie. Minister Zbigniew Religa powołał zespół ekspertów w celu opracowania programu leczenia sprawców przestępstw seksualnych, a w szczególności pedofilów. Minister Ewa Kopacz poświęciła zaś wiele czasu organizacji leczenia sprawców przestępstw przeciwko wolności seksualnej i powołaniu ośrodków leczenia zamkniętego. Muszę przyznać, że do każdego ministra zdrowia zawsze miałem dostęp i w razie potrzeby okazywano mi zrozumienie i gotowość do udzielenia pomocy.

Gorzej było z ministrami edukacji narodowej. Minister Jerzy Wiatr był wyjątkiem, reszta albo nie chciała się ze mną widzieć, albo okazywała dystans. Miło rozmawiało się z wiceministrem Kazimierzem Marcinkiewiczem, późniejszym premierem, który przypomniał sobie, że kiedyś był na moim wykładzie w duszpasterstwie akademickim i słuchał tego, co miałem do powiedzenia, z zainteresowaniem. Jednak kiedy w rozmowie przeszliśmy do innych tematów i wspomniałem o potrzebie wprowadzenia edukacji seksualnej w szkołach, nabrał dystansu i było widać, że nie jest zainteresowany sprawą. Pamiętam też sytuację, gdy ostatnia minister z opcji lewicowej zobaczyła mnie wchodzącego po schodach, mile przywitała i zaproponowała napisanie podręcznika dla szkół z wychowania seksualnego, jednak już wtedy wiadomo było, że nic z tego nie wyjdzie, bo jej dni w resorcie były policzone.

Miałem też kilka spotkań z kolejnymi ministrami sprawiedliwości. Dotyczyły one nowelizacji kodeksu karnego, pracy nad projektami ustaw i organizacji leczenia pedofilów w zakładach karnych. Muszę przyznać, że rozmowy zawsze miały rzeczowy charakter i okazywano

mi zrozumienie. Najwięcej spotkań odbyło się w okresie nowelizacji ustawy dotyczącej między innymi karaniami za pedofilię. Jeden z wiceministrów rozumiał potrzebę stworzenia naukowego zakładu seksuologii sądowej. Zaangażował się w tę sprawę i załatwił nawet potrzebne etaty. Pozostawało tylko pytanie, gdzie taki zakład mógłby się mieścić. Zainteresowanie wyraził Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie, jednak trudno by mi było dojeżdżać tam do pracy z Warszawy i łączyć to z praktyką lekarską w stolicy. Kiedy w końcu znalazło się w Warszawie odpowiednie miejsce, kierownik placówki, w ramach której miał funkcjonować zakład, wpadł w taki popłoch, że skutecznie storpedował całą inicjatywę.

Zdarzali się politycy, którzy naprawdę byli przychylni edukacji seksualnej. Twierdzili, że powinna być wprowadzona, i jeśli mieli możliwości, to próbowali coś w tej sprawie robić – najlepszym przykładem ministrowie Balicki i Wiatr. Są też politycy, którzy deklarują, że rozumieją wagę sprawy, i powtarzają, że edukacja seksualna jest potrzebna, ale kiedy konieczna jest ich pomoc, uciekają się do wymówek. Trzecia grupa polityków zamyka się w kręgu własnej partii – identyfikują się ze swoją linią partyjną

i nie wychodzą przed szereg.

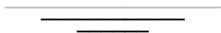
Za komuny zdarzali się politycy, którzy lobbowali za wprowadzeniem edukacji seksualnej do szkół. Przez pewien czas nawet funkcjonowało „przysposobienie do życia w rodzinie socjalistycznej”. Nazwa „socjalistyczna” była narzucona przez ideologów, choć nic tam o socjalizmie nie było; programowo był to zupełnie przyzwoity przedmiot. Niestety ten eksperyment został przegrany, bo nawet władza ludowa nigdy nie chciała iść na udry z Kościołem. Pojawiały się okresowe spięcia, ale wojny nikt nie chciał, a Kościół konsekwentnie oprotestowywał pomysł uczenia o seksie w szkole.

Dzisiaj sytuacja jest jeszcze trudniejsza, bo protestuje nie tylko Kościół. Wiadomo przecież, że wyborcy PiS-u nie będą raczej zwolennikami edukacji seksualnej. Poseł PiS-u nie będzie za tym, żeby edukację seksualną wprowadzić do szkół, bo szkoła musi być bardziej „prorodzinna”. Poza tym są dzisiaj dziesiątki organizacji katolickich, lekarze katolicy i dziennikarze katolicy – wielu z nich, mając głos, wykorzystuje go, aby oprotestować edukację seksualną. Wystarczy, że trochę się zmobilizują, i już będzie milion podpisów przeciw, a władza tego miliona podpisów się boi i

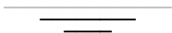
bardzo się z nim liczy. Nikt nie pójdzie na ideologiczną wojnę o seks i nieprędko się to zmieni, a młodzież wciąż będzie uczyć się o seksie z internetu i pornografii, a z tego niestety nic dobrego nie wyniknie. Życie rodzinne – którego bronią katolicy – tylko na tym traci.

Marzy mi się, że kiedyś – tak jak to ma miejsce w innych krajach – myśląc o edukacji seksualnej, skupimy się wreszcie wszyscy na tym, co nas łączy, zamiast wciąż akcentować różnice. Bo przecież intencje mamy podobne – zarówno Kościół, jak i lekarze, rodzice czy nauczyciele chcą przede wszystkim pomóc młodzieży, uchronić ją przed zagrożeniami, przed patologiami, przed chorobami przenoszonymi drogą płciową, przedwczesnymi ciążami i tak dalej. To nas wszystkich łączy i na tym powinniśmy się skupić. Jeżeli zaś chodzi o różnice, a te są przeważnie ideologiczne, związane z moralnością i sferą wiary: niech dodatkowo zajmą się nimi katecheci, rodzice, nauczyciele, niech rozmawiają z młodymi, dają przykład, tłumaczą. Mam nadzieję, że kiedyś takiej racjonalnej edukacji doczekam.

# SEKSUOLOG SUPERSTAR



ZAGRAŁEM SIEBIE W SERIALU *NIANIA*. PODOBNO DO DZISIAJ MOŻNA TO OBEJRZEĆ W SIECI, GDZIEŚ TO WYSZPERALI MOI STUDENCI. MIAŁEM KILKA TAKICH TELEWIZYJNYCH PRZYGÓD, NA PRZYKŁAD W REŻYSEROWANEJ PRZEZ ADAMA HANUSZKIEWICZA SZTUCE *WIECZÓR KARNAWAŁOWY*. ZAWSZE SZYBKO MĘCZYŁA MNIE KONIECZNOŚĆ POWTÓRZEŃ. W KOŃCU MÓWIŁEM: „DOBRCZE, PANOWIE, TERAZ OSTATNI DUBEL, BO MUSZĘ BIEC DO PRZYCHODNI”. KARIERA AKTORSKA JEST ZUPEŁNIE NIE DLA MNIE.





Mój świat i świat celebrytów, gwiazd oraz bywalców czerwonego dywanu często się ze sobą przeplatają. Gdyby ktoś podsłuchał rozmowy w kulisach telewizyjnego studia, na bankietach czy premierach, mógłby się zdziwić, że z tak wieloma znanymi osobami jestem na „ty”. To są aktorzy, piosenkarze, artyści – z jednymi jestem zaprzyjaźniony, innych ledwie znam.

Wielu spośród aktorów poznałem przez Adama Hanuszkiewicza. Był przyjacielem moich sąsiadów, łączyła nas bliska zażyłość. Spotykaliśmy się na przyjęciach, wspólnie świętowaliśmy kolejne imieniny i urodziny. Pewnego razu Adam zaprosił mnie nawet do wzięcia udziału w spektaklu, który reżyserował. Grałem gościa wieczoru na deskach teatru w Gdańsku. Mam nawet elegancko oprawiony plakat z tego przedstawienia, wisi teraz w moim gabinecie. Mój występ w teatrze został oceniony chyba dobrze, skoro zostałem zaproszony jeszcze do udziału w przedstawieniu na scenie Teatru Narodowego. To było dla mnie wielkie wyróżnienie.

Ciągle występuję w różnych programach telewizyjnych – tu mnie zaprosi TV2, Polsat, tam Jedyńka czy TVN. Potem są jakieś przyjęcia, spotkania, gale i przy stoliku

towarzystwo się brata, więc miałem okazję poznać wiele osób znanych z telewizji czy z teatru. To nie jest jednak moje normalne życie, bo większą część dnia pracuję. Dzisiaj kończę pracę o 20.30, w domu będę o 21.20, siadam do komputera, odbieram maile, koniec dnia. Weekendy wcale nie są luźniejsze. W najbliższą sobotę od 10.00 do 18.00 będę pisał opinie sądowe, a gdy skończę, prawdopodobnie obejrzę z przyjaciółmi film przy winie i pogawędzimy. Pójdę spać około północy, a w niedzielę jadę po teściową, która jest w sanatorium w Busku-Zdroju. W moim życiu nie ma zbyt wiele miejsca na rauty, bale i czerwone dywany. Artyści i celebryci mają więcej wolnego czasu, bo ich praca jest inna.

Wyjątkiem były spotkania u Hanuszkiewicza, który rozumiał specyfikę mojego zawodu i znał poziom mojego zaangażowania. Kiedy Adam chciał robić przyjęcie, to Wiesia Hryniewska, nasza przyjaciółka i sąsiadka, mówiła: „Słuchaj, Adam planuje przyjęcie, zobacz w kalendarzu, czy masz czas”. Ja odpowiadałem: „Wiesiu, w piątek jestem zajęty, ale w sobotę OK”, a ona przekonywała Adama, żeby urządził imprezę akurat w sobotę.

## SEKSUOLOG DJ

Wolne chwile spędzam z przyjaciółmi. Mam sprawdzoną grupę, znamy się od wielu lat. Mieszkam pod Warszawą – wokół osiem działek, wszystkie należą do przyjaciół. Często razem wyjeżdżamy na wakacje, a te są obowiązkowe – dwa razy do roku. Niedawno wróciliśmy ze Sri Lanki, gdzie również byliśmy większą grupą. Na przyjęciach zawsze pełnię funkcję DJ-a. Na imprezy z przyjaciółmi starannie przygotowuję składanki, które muszą godzić różne upodobania. Zadanie nie jest łatwe. Jedni są już retro – chcą, żeby im puszczać Presleya i Czerwone Gitary. Inni chcą po prostu potańczyć i specjalnie nie mają gustu. Jeszcze inni pamiętają najlepiej lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte, więc są zainteresowani hitami z tych czasów. Są też fani muzyki polskiej – Maryli Rodowicz, Oddziału Zamkniętego... Są w końcu i tacy, którzy chcą się poczuć młodziej i tańczyć do utworów Madonny czy Lady Gagi. I ja te wszystkie zamówienia muszę zrealizować!

Kiedyś miałem sprawdzony sposób. Raz w tygodniu obchodziłem sklepy z płytami analogowymi i szukałem nowości, którymi mógłbym się delektować w domu. Był w Warszawie sklep z kubańską muzyką, który często

odwiedzałem. Był też sklep z płytami z NRD na Świętokrzyskiej, a Niemcy wydawali świetną muzykę, głównie blues i jazz. Czesi też byli fantastyczni pod tym względem – na Marszałkowskiej był czeski ośrodek kultury, gdzie również kupowałem płyty. Potem zmieniły się czasy i raz w tygodniu odwiedzałem Traffic i Empik, z których wychodziłem z torbami pełnymi płyt CD. Dzisiaj ich już także nie odwiedzam. Mam tablet i zupełnie oszalałem, kiedy odkryłem jego możliwości. Mam dostęp do wszystkich nowości, które ukazują się na świecie, a nawet do zapowiedzi nowości. Mogę sobie to wszystko zamówić i ściągnąć do komputera (jedyne minus to koszty...).

Zajmowałem się również muzykoterapią i wiem, że muzyka może mieć ogromny wpływ na nasz nastrój i samopoczucie. Uwielbiam muzykę latynoską i znam się na niej całkiem dobrze. Odróżniam salsę dominikańską od tej z innych krajów. Bardzo lubię muzykę kubańską z różnych czasów – tej muzyki słucham głównie na dalekich trasach i codziennie rano w drodze do pracy w samochodzie. To mnie dobudza i ładuje moje baterie. Nigdy nie włączam w aucie radia.

Czasami miewam trudne sesje terapeutyczne, co jest bardzo obciążające. W samochodzie trzymam specjalne płyty przygotowane na takie okazje. Wracając do domu po ciężkim dniu, od razu wybieram muzykę, która ma mnie zrelaksować i wyciszyć. Wtedy dobrze działają na mnie B.B. King, Solomon Burke czy Frank Sinatra.

Bardzo lubię też jazz tradycyjny, ale raczej w sytuacjach rozrywkowych – pod palmą na wakacjach czy w samolocie w drodze na wakacje. Czasami też włączam jazz w aucie, kiedy wracam do domu wieczorem, gdy jest już ciemno. Wczoraj wyjechałem z uczelni o 20.15, było już ciemno, mokro, ponuro. To był czas na jazz właśnie. Słucham też bluesa oraz muzyki sakralnej z różnych stron świata. Zaczęło się od tego, że jeden z zaprzyjaźnionych księży podarował mi osiem płyt – z muzyką liturgiczną różnych krajów. To była muzyka sakralna z katedr w Buenos Aires i Santiago de Chile oraz liturgia mozarabska. Bardzo mnie to zaintrygowało i ciągle znajduję coś nowego do przesłuchania. Msza andyjska w katedrze w Peru, liturgia prawosławna lub z krajów afrykańskich czy w Brazylii... Niestety, niektóre rzeczy z tego nurtu są zupełnie niedostępne. Nie da się na przykład zdobyć mszy

meksykańskiej – bardzo lubię tę liturgię, jest taka radosna!  
Niestety w tym przypadku nawet internet nie daje rady.

Nie mam wielkiego zbioru muzyki klasycznej. Mam uraz z dzieciństwa. Taka muzyka kojarzy mi się przede wszystkim z czasem, gdy chory leżałem w łóżku w domu i skazany byłem na słuchanie kołchoźnika emitującego muzykę klasyczną i ludową. Bańki stawiane na plecach, a w tle Vivaldi z głośnika.

## DEPRESJA GANGSTERA

Bardzo lubię też książki i filmy. Oglądam wszystko, bardzo chętnie również dobre filmy gangsterskie – *Ojca chrzestnego* lub serial *Rodzina Soprano*.

Co ciekawe, w życiu również miałem do czynienia z mafią. Miewałem pacjentów z mafii. Mafioso u terapeuty – historia rzeczywiście jak z kina. Pacjent jak to pacjent – miał swoje zaburzenia, problemy, dylematy. Trudniejsze sytuacje miały miejsce, kiedy mafioso pojawiał się u mnie w gabinecie ze swoją żoną czy partnerką. Dramatyczne rozmowy. Panie zawsze się bały. Uznawały, że osiągnęły już dość i mają dobry standard materialny, a doskonale wiedziały, że żołnierze mafii nie żyją długo. To były czasy wiecznych porachunków i strzelanin. Media cały czas informowały o Wołominie, Pruszkowie i jatkach w centrum Warszawy. Trudno się więc dziwić, że panie były przerażone. Miały udany związek, dziecko i niezły standard życia, a mąż w każdej chwili może zostać zastrzelony albo aresztowany. Prosiły mnie, żebym przekonał panów, że czas zmienić branżę. Tymczasem oni niekoniecznie chcieli. Odpowiadało im takie życie na krawędzi, poczuli już smak adrenaliny, byli zaangażowani. Poza tym – wiadomo – nie

tak łatwo przestać być żołnierzem mafii.

Pewnego razu byłem na szkoleniu lekarzy w Zakopanem. Wykłady się skończyły, wieczorem poszliśmy do nocnego lokalu w naszym hotelu. Siedzieliśmy przy stole, rozmawialiśmy, grała orkiestra. Co dwie czy trzy piosenki orkiestra dedykowała utwór dla mnie. I co jakiś czas na naszym stole lądowała butelka szampana. Pytałem kelnera kilka razy, kto zaszczyca mnie takimi prezentami, ale nie chciał powiedzieć. Dopiero gdy sala opustoszała i ostatni goście opuszczali lokal, powiedział, że hojnym darczyńcą był znany gangster z Pruszkowa „Pershing”. Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na takie wyróżnienie. Może akurat czytał moje teksty, może czuł do mnie sympatię, może komuś z jego otoczenia pomogłem? Trudno powiedzieć. A może po prostu chciał pokazać kolegom, że jest zainteresowany seksem, a ja mu się z tym kojarzyłem?

Niestety nie wszystkie wspomnienia związane z przestępcami są takie sympatyczne. Kiedy jeszcze pracowałem na placu Trzech Krzyży, przyjeżdżałem do przychodni maluchem. Samochód parkowałem na wewnętrznym podwórku przychodni. Moje rejestratorki doniosły mi, że dostawały telefony z pogróżkami, że ktoś



planuje mnie „zlikwidować”. Początkowo traktowały to jako głupi kawał, ale kiedy telefony zaczęły się powtarzać – powiedziały mi o nich. Pewnego dnia, gdy szedłem do samochodu, ktoś do mnie zaczął strzelać z pistoletu. Nie widziałem sprawcy, ale to były strzały nieprzypadkowe. Byłem przerażony. Ukryłem się za samochodem. Zrobiło się zamieszanie, bo te strzały były głośne i było je słychać wokół. Sprawca zobaczył, że jest jakiś ruch w przychodni, i uciekł. Potem przyjechała milicja i wszczęła śledztwo. Okazało się, że to były prawdziwe pociski, a nie ślepaki. Milicjanci przez dwa tygodnie eskortowali mnie cywilnym samochodem, kiedy wychodziłem z pracy.

Innym razem z mostu Śląsko-Dąbrowskiego ktoś strzelił w kierunku mojego samochodu. Nie trafił. Nie wiem, czy te dwa zdarzenia mają wspólny mianownik, ale więcej takie historie się nie powtórzyły. Do dzisiaj nie wiem, o co chodziło.

## TEN W LUSTRZE TO JA?

Wystąpiłem kiedyś w teledysku grupy Kombi do piosenki *Black and White*. Gram w nim urzędnika stanu cywilnego, który udziela ślubu. Do ślubu zresztą ostatecznie nie dochodzi, bo panna młoda ucieka sprzed ołtarza. Ostatnio menedżer jednej z uczelni, z którą współpracuję, powiedział mi, że widział mnie w tym teledysku. Kilka dni wcześniej miał też okazję obejrzeć jakiś archiwalny materiał poświęcony seryjnemu zabójcy, w którym się wypowiadałem. Patrzy tak na mnie, patrzy, aż wreszcie zebrało mu się na szczerość: „Ale pan się zestarzał, jak pan to przyjmuje?”. Ja mu odpowiadam: „Panie szanowny, ja nie jestem kobietą, żeby aż tak przeżywać to, co widzę w lustrze. Tym akurat specjalnie się nie przejmuję”. W domu odgrzebałem ten teledysk i obejrzałem. No rzeczywiście, jest spora różnica między tym, jak wyglądam teraz, a jak wyglądałem kiedyś... W telewizji występuję bardzo często, ale to już nie jest rozrywka, tylko część mojej pracy. Nadal mam w sobie żyłkę edukatora seksualnego. Jadę do *Pytania na śniadanie* czy *Dzień dobry TVN* i wypowiadam się na tematy wymyślone przez redaktorów. Jestem powoływany jako ekspert, nie mam

udziału w powstawaniu audycji.

Inaczej było w radiu. Przez ponad rok miałem autorską audycję w Radiu Zet. Przychodziłem raz w tygodniu i nagrywaliśmy za jednym zamachem parę kilkuminutowych odcinków, które były potem emitowane. Współpracowałem też z Polskim Radiem – z Jedyńką, Trójką, ileż tego było! Zaczynałem jeszcze w latach siedemdziesiątych. Zawsze bardzo lubiłem radio, to medium ma klasę. W studiu, między prowadzącym a słuchaczami, wytwarza się niezwykła intymność.

Dziennikarze często zadają te same pytania. Zdrada, miłość, romanse wczasowe, zagrożenia związane z seksem, zaburzenia seksualne – czyli uniwersalne tematy. Natomiast jest pewna pula pytań, która oddaje ducha czasów. Dzisiaj zdecydowanie częściej jestem pytany o kwestie związane z homoseksualizmem. Dzieci robią *coming-out* przed rodzicami, ciągle dyskutowane są kwestie małżeństw jednopłciowych, czeka nas jeszcze debata na temat dopuszczalności adopcji. Ciągle jest o czym rozmawiać!

Moje wystąpienia w mediach różnie nastawiają do mnie ludzi i odnoszą trojaki skutek. Pierwsza moja konstatacja związana z mediami jest dosyć smutna: niektóre osoby

słuchają mnie i odwiedzają później w gabinecie tylko dlatego, że jestem im znany z telewizji. Zakładają, że jak ktoś występuje w mediach, to jest godny zaufania, w ich oczach samo pojawienie się w telewizji nobilituje. Drugi skutek mojej medialnej działalności to pojawianie się w gabinecie pacjentów z takim właśnie problemem, o którym danego dnia mówiłem w radiu lub telewizji. Prawdopodobnie moje słowa zainspirowały ich do wizyty. Bywa i tak, że moje wystąpienie medialne jest źródłem konfliktu pary. Załóżmy, że w jakimś programie powiedziałem, że człowiek jest z natury poligamiczny, ale wybór może być monogamiczny. I wtedy na przykład mężczyzna mówi do partnerki: „Widzisz, miałaś pretensje, że nie jestem ci wierny, a tymczasem sam Starowicz mówi, że poligamia jest naturalna – ja zwyczajnie jestem poligamistą”. W ten sposób, manipulując moimi wypowiedziami, rozgrzesza siebie ze zdrady.

Ale mam też bardzo satysfakcjonujące doświadczenia od czasu, kiedy ukazały się moje książki *Lew-Starowicz o kobiecie* i *Lew-Starowicz o mężczyźnie*. Przychodzi sporo par zainspirowanych tą lekturą, które mówią, że coś zrozumiały, coś odkryły, że to im otworzyło oczy na wiele

spraw w ich życiu, w ich związku i że chcą nad tym związkiem popracować. Ostatnio dostałem bardzo miły mail od pana, który napisał, że ma grupę towarzyską trzydziestolatków, w której sobie wzajemnie te książki przekazywali, i doszli do wniosku, że to powinna być lektura obowiązkowa, dla kobiet i mężczyzn, bo to im bardzo pomogło. Trochę byłem nawet zaskoczony, bo wydawało mi się, że tam piszę o sprawach dosyć oczywistych. Okazuje się jednak, że dla wielu moich czytelników oczywiste nie są.

## SEKSUOLOG W DOMU

Dla rodziny, dzieci i wnuków mam wciąż za mało czasu. To jest mój największy problem. Dzisiaj nawet mam go mniej niż kiedyś. Jest odwrotnie, niż powinno – zazwyczaj przecież mężczyzna ma z wiekiem coraz więcej wolnego czasu.

Dla mojej rodziny to jest naturalne, że jestem zapracowany, przez lata przyzwyczaili się do tego. Pamiętają, że przez cały rok przyjmowałem pacjentów i prowadziłem zajęcia dydaktyczne, więc czas na pisanie książek miałem tylko w wakacje. Wyjeżdżaliśmy nad morze na dwa tygodnie. Rodzina na plaży, a ja od śniadania do obiadu stukałem w klawisze maszyny do pisania i dopiero potem byłem do ich dyspozycji. Dzieci często wspominają ten stukot maszyny do pisania... Nie pamiętają natomiast tego okresu, kiedy nie pracowałem tak intensywnie, bo były za małe. Na początku lat osiemdziesiątych nie miałem tylu dodatkowych prac, była też przerwa w wydawaniu książek. Wtedy to namiętnie chodziłem z nimi do kina na poranki z bajkami, do dziecięcych teatrzyków i na plac zabaw.

Teraz jestem bardzo zajęty.

Nie bardzo mogę pozwolić sobie na długie przerwy w pracy. Muszę pracować, trzeba spłacać kredyty. Wbrew pozorom i plotkom wcale nie jestem najbogatszym lekarzem w Polsce, chociaż wiele osób tak mnie postrzega. Kiedy ludzie słyszą, że mam kredyty do spłacenia, nie mogą uwierzyć. Myślą, że każdy, kto często pokazuje twarz w telewizji, zarabia krocie. Długo jeździłem polskimi samochodami i często to był temat do komentarzy: „Pan żartuje, panie doktorze, co pan tam ukrywa w garażu?”. Na ogół bawi mnie to. Zdarza się, że dla zabawy gram rolę bogacza.

Przyszedł kiedyś do mojego gabinetu człowiek, który reprezentuje bardzo bogatych VIP-ów i zajmuje się ich finansami. Opowiada mi o funduszach inwestycyjnych, ziemi, winnicach i złocie. Ja tak sobie siedzę, udaję bogatego, i mówię mu: „Wie pan, najpierw chciałbym sprawdzić pana referencje. Jak nazywa się pana firma?”. Biorę telefon i dzwonię do mojego przyjaciela, który jest biznesmenem, i mówię mu, kto mnie przyszedł odwiedzić. On odpowiada: „Można mieć do nich zaufanie, ale co ty masz z tą firmą wspólnego?”. Odpowiadam, że gość chce mi sprzedać sztabki złota i ziemię. Przyjaciel zamilkł

zdziwiony, jednak podczas najbliższego spotkania nie omieszkał mi podokuczać.

Wiara ma dla mnie bardzo duże znaczenie. Jestem człowiekiem wierzącym. Pociąga mnie liturgia prawosławna – podniosła, patetyczna, teatralna. Patrząc na to z intelektualnej perspektywy, to bliskie jest mi podejście Kościoła prawosławnego, ale też – w niektórych sprawach – katolickiego. Biblię studiuję każdego dnia. Może kiedyś opiszę jakieś własne rozważania religijne? O swojej wierze mówię z niechęcią, bo nie chciałbym, żeby moi pacjenci czuli się tym przytłoczeni i nabrali przekonania, że to ma wpływ na ich terapię.

Od Kościoła hierarchicznego jestem mocno zdystansowany. W czasie mojego życia ucierpiał jego autorytet i stracił intelektualne zaplecze. Chciałbym, żeby polski Kościół miał twarz księdza Tischnera.

Wojsko mam w genach. Tradycje mojej rodziny mocno są z nim związane. Mój brat był w wojsku, wszyscy moi stryjkowo również, jeden z nich był nawet lekarzem wojskowym; brat mamy był podpułkownikiem. Mój teść, który zmarł w 2011 roku, był pułkownikiem dyplomowanym Wojska Polskiego. Został pochowany w



mundurze. Poznałem dzięki niemu wielu wojskowych. Teściowa w czasie wojny była w AK. Natomiast teść mojego syna był z kolei zawodowym policjantem i też doszedł do stopnia podpułkownika.

Mój mundur z akselbantami wisi w szafie. Mam mnóstwo zdjęć w mundurze. W domu, w mojej bibliotece mam w widocznych miejscach postawione dwie takie fotografie i zdjęcie ojca w mundurze. Mam też cały mój WAM-owski rocznik na fotografii – wszyscy w mundurach.

Ciągle tęsknię za wojskiem.

## **RAPORT NIEMOŻLIWY: SEKS PO POLSKU**

Dyskusja na temat specyfiki polskiego seksu jest trudna, bo opinie bywają skrajne i rozbieżne. Zdaniem jednych jesteśmy wstydliwi, pruderyjni, zahamowani, tradycyjni i katoliccy w łóżku, a według innych, pod wpływem rewolucji obyczajowej na Zachodzie, staliśmy się nadmiernie liberalni, swobodni, rozpasani, pozbawieni norm i zasad. Zakompleksieni wobec Zachodu twierdzą, że jesteśmy daleko za Niemcami, Francuzami czy Anglikami. Coraz częściej słyszę

jednak opinie, że w porównaniu z innymi nacjami jesteśmy lepsi z powodu Jana Pawła II, zapełnionych kościołów, bohaterskiej historii, pięknych kobiet i mężczyzn w roli wspaniałych kochanków. Jak to wszystko pogodzić?

Obraz „seksu po polsku” kreują głównie media. Seksualność celebrytów staje się wzorem do naśladowania. Każdy z nas przechodził etap fascynacji idolem piłkarzem, gwiazdą filmową czy piosenkarzem, w którym się podkochiwał i którego naśladował. Chcieliśmy się ubierać tak samo jak Elvis Presley, ale niezbyt wiele wiedzieliśmy o jego życiu prywatnym. Dziś celebryci mówią o sobie bardzo dużo, piszą wspomnienia i wypowiadają się wszędzie i na każdy temat. W telewizji śniadaniowej chętnie opowiadają na przykład o tym, jak to zdrada naprawiła ich małżeństwo, scementowała związek. Słyszysz to ktoś, kto ma pokusę zdrady, ale waha się, bo ceni swoje małżeństwo. Celebryta dostarcza mu motyw.

Bezustannie w mediach omawia się wyniki

pseudobadań poświęconych zachowaniom seksualnym. Nagłaśniane są sensacje i szybko zmieniające się mody – filmowanie nocy poślubnej, seksualna aktywność młodych biznesmenów w porze lunchu, sponsoring. Jeden z badaczy obyczajowości twierdzi, że co trzecia studentka korzysta ze sponsoringu. Z kolei inny mówi, że coraz więcej młodych kobiet zaczyna cenić dziewictwo i uroczyście ślubuje zachować je do momentu zawarcia małżeństwa. Jedni autorzy podkreślają, że zwiększa się swoboda seksualna, a inni, że młodzież zaczyna cenić tradycyjne wartości. Cytowane są badania, z których wynika, że stajemy się mniej aktywni seksualnie i znajdujemy się na szarym końcu Unii Europejskiej w zakresie częstotliwości współżycia. Z innych badań wynika, że znaleźliśmy się w czołówce. Do tego dochodzą teorie spiskowe, że są takie środowiska na Zachodzie, które dążą do rozbicia polskiej rodziny i upowszechnienia swobody seksualnej w Polsce.

Kompletny chaos.

Moim zdaniem w kręgu kultury Zachodu cały czas mamy do czynienia z czymś, co można by było nazwać obyczajową sinusoidą. Po liberalizacji życia społecznego i czasach większej swobody obyczajowej zazwyczaj następuje zaostrzenie kursu i bardziej doceniane stają się wartości konserwatywne. Różnica między współczesnością i przeszłością polega jednak na tym, że kiedyś to były długie okresy (liberalizacja – zaostrzenie), a teraz są krótkie i na siebie nachodzą. Dlatego z jednej strony mamy olbrzymią liberalizację obyczajów, czyli pornografię w internecie, rozbierane wideoczaty, cyberseks, legalne agencje towarzyskie i modę na lolitki. Z drugiej strony mamy osiedla katolickie, szkoły katolickie, tradycyjny system wartości, modę na skromny strój i czystość przedmażeńską, a nawet popularność islamu, gdzie są jasno określone granice obyczajowe. W liberalnej Wielkiej Brytanii premier chce ograniczyć dostęp do pornografii.

A co będzie w przyszłości? Jeśli chodzi o związki,

będzie zróżnicowanie. Jedni w związkach otwartych, drudzy w tradycyjnych, trzeci w grupowych, czwarcy znowu w seryjnej monogamii. Będą związki poligamiczne i poliamoryczne. Wszystko wskazuje na to, że jeśli chodzi o katolików, nastąpi to, co przewidział Benedykt XVI, że będą działać w małych społecznościach, To będą grupki –

bardzo aktywne, ale mniejszościowe. Obawiam się też, że gdy dorośnie pokolenie lolitek, o którym wspominałem wcześniej, wzrośnie przyzwolenie dla uprawiania seksu dla samego seksu. Bo to zjawisko wyraźnie rośnie. Gdy robiłem pierwsze badania, jeszcze w latach siedemdziesiątych, to akceptację dla uprawiania seksu dla samego seksu wyrażało tylko 3% populacji. A teraz już wyraża ją prawie 20%! W ciągu czterdziestu lat wzrosła ona sześciokrotnie. To też nam mówi, jaki jest kierunek zmian. Niekoniecznie wszyscy będą tak się zachowywać, ale akceptacja dla tego typu zachowań wzrośnie.

Od wielu lat przeprowadzane są w Polsce badania

seksualności na reprezentatywnych statystycznie populacjach. Najwięcej tego typu badań przeprowadził profesor Zbigniew Izdebski. Ich wyniki były opublikowane w książce *Seks po polsku. Zachowania seksualne jako element stylu życia Polaków*. W listopadzie 2011 roku Profesor przedstawił wyniki kolejnego badania poświęconego zdrowiu seksualnemu w Polsce, obejmujące różne zachowania seksualne, problemy i zaburzenia. Wnioski nie są zaskakujące. Polacy są zadowoleni z seksu. Większość badanych ocenia pozytywnie swoje życie seksualne. Oczekiwania w tej sferze życia nie są szczególnie wygórowane. Jeżeli mniej się oczekuje, to większe szanse na sukces. To dobra informacja, szczególnie w czasach kryzysu ekonomicznego, męczącego życia politycznego i codziennych stresów. Zadowolenie z seksu ma wpływ na pozytywną ocenę relacji w związku, samopoczucie i stan zdrowia psychicznego.

Dla mężczyzn seks jest w życiu bardzo ważny, a

dla kobiet mniej. To żadna nowość. Prawie dwie trzecie aktywnych seksualnie Polaków współżyje przynajmniej raz w tygodniu. Nie jest to zły wynik. Obniża się natomiast wiek inicjacji seksualnej Polaków. Nie trzeba jednak rozdzierać szat z tego powodu. Po pierwsze, jest to proces powolny, a po drugie – wynika z wcześniejszego wieku dojrzewania populacji.

Niektóre formy kontaktów seksualnych zyskują na popularności. Zwiększa się aktywność seksualna w formie kontaktów oralnych i miłość francuska przestała być traktowana jako patologia. Systematycznie zwiększa się też aktywność seksualna w formie kontaktów analnych. Statystycznie różni się ona znacznie w porównaniu z kontaktami oralnymi, zmiana jednak jest widoczna. Różne są tego przyczyny: eksperymentowanie w seksie, unikanie ciąży, zachowanie hymenu i pozytywnie oceniane wrażenia zmysłowe.

Coraz popularniejszy jest seks w internecie i trudno

to bagatelizować. Internet stał się źródłem edukacji seksualnej, formą nawiązywania znajomości, przełamywania nieśmiałości, źródłem bodźców seksualnych oraz rozwiązania swoich problemów w życiu intymnym. Są jednak też negatywne następstwa popularności sieci – uzależnianie od pornografii, aktywności masturbacyjnej, traktowanie treści pornograficznych jako modelowego seksu czy rozpowszechnianie treści pedofilskich. Osobiście niepokoi mnie też perspektywa pojawienia się w niedalekiej przyszłości seksu wirtualnego albo z robotem zamiast drugiego człowieka.

Seksualność Polaków jest bardzo zróżnicowana i nie da się opracować jednego modelu polskiego seksu. Mamy do czynienia z różnicami regionalnymi. W Polsce południowo-wschodniej dominują tradycyjne postawy wobec seksu, a w Polsce zachodniej i w dużych aglomeracjach bardziej liberalne. Są też różnice wiekowe – młodzież jest bardziej liberalna w porównaniu ze starszymi pokoleniami. Duże znaczenie



ma również dostęp do internetu – internauci są bardziej otwarci na seks.

Powoli akceptujemy również masturbację, seks przedmałżeński i antykoncepcję. Ta akceptacja systematycznie narasta i zauważalna jest tu rozbieżność z nauką Kościoła. Podobną ewolucję obserwuje się również w innych krajach katolickich. Nic nowego.

Mniej wiarygodne są dane dotyczące liczby partnerów seksualnych. Mężczyźni są skłonni do zawyżania danych, a kobiety do ich obniżania. Kobiety są w sytuacji pewnej sprzeczności: z jednej strony są wyemancypowane, asertywne i postępowe, czyli – wydawałoby się – mają zielone światło na mówienie prawdy. Jeśli dwudziestopięciolatka miała dwunastu partnerów, to przecież nie jest dzisiaj żaden szok. Nie znaczy to oczywiście, że wszystkie dwudziestopięciolatki muszą mieć takie doświadczenia, ale to nie jest nic zaskakującego. Można o tym powiedzieć wprost i szczerze, ale w głowie takiej dziewczyny siedzi archetyp: „Co o mnie pomyślą,

przecież kobieta porządna to jest taka, która się nie szlaja i nie chodzi do łóżka z każdym”. Nie chce powiedzieć, że miała dwunastu partnerów, bo boi się oceny. Nie tylko w pracy, gdzie ją od razu osądzą od puszczalskich i łatwych, ale również w badaniach ankietowych. Nawet jeśli są anonimowe. Więc nie odpowiada.

Z drugiej strony – mieć jednego partnera to też dyskomfort. Zadaję pytanie: „Ilu pani miała partnerów?”, a dziewczyna uważa, że nie może u mnie kłamać, bo ja mam jej pomóc, więc wierci się, robi się czerwona. Odpowiada: „Jednego... ale to dlatego, że byłam bardzo zajęta, a poza tym mieszkam w małym mieście”. Od razu jest usprawiedliwienie. Tłumaczę, że przecież można mieć jednego, to żaden dyshonor.

Dlatego biorąc pod uwagę raporty seksuologiczne, trzeba zawsze mieć na uwadze fakt, że mniej więcej jedna czwarta czy nawet jedna trzecia badanych nie udziela żadnych odpowiedzi i nie wiadomo, dlaczego tak jest.

Zmieniają się wyraźnie kryteria zdrady i reakcje na nią. Okazuje się, że kryteria te są zróżnicowane – dla jednych badanych jest nią wyłącznie stosunek pochwowy, a dla innych także oglądanie pornografii czy flirtowanie w sieci. Zmieniły się typy reakcji na ujawnienie romansu partnera. W przeszłości prowadziło to częściej do rozpadu związku, separacji i zaniku więzi seksualnej. Dzisiaj coraz częściej badani deklarują, że nic się nie zmieniło, problem został przedyskutowany i doszło do porozumienia. Zdrada przestaje być automatycznie podstawą do zerwania związku. Reakcje są mniej emocjonalne, a bardziej racjonalne.

Prawie co piąta badana osoba żyje w konkubinacie, czyli znacząco rzadziej w porównaniu z krajami Europy Zachodniej i Północnej. Zwiększa się populacja singli (31% badanych), ale z badań wynika, że dla większości z nich to nie jest filozofia życia, lecz brak odpowiedniego partnera. Skracą się okres między zawarciem znajomości a rozpoczęciem relacji

seksualnej. O ile w nieodległej przeszłości były to miesiące lub rzadziej tygodnie, o tyle obecnie są to tygodnie, dni, a nawet jeden dzień. Nowym zjawiskiem jest rosnący odsetek kobiet inicjujących zawarcie znajomości, współżycie seksualne w nowym i w stałym związku. Mężczyźni różnie na to reagują: lękiem, zadowoleniem i przyjęciem biernej roli w sypialni albo wycofywaniem się z relacji seksualnej z powodu utraty roli „zdobywcy”.

Jesteśmy świadkami zmian w rolach płciowych w bardzo dużej skali. Tradycyjne modele męskości i kobiecości stają się coraz radsze, a najczęściej spotykanym modelem staje się androginia – współwystępowanie cech męskich i kobiecych. Zwiększa się również stopniowo model odwrócony – kobiecy mężczyźni i męskie kobiety. Dzięki temu modele relacji między partnerami uległy znacznemu rozszerzeniu i obejmują wiele możliwych kombinacji. Ma to swoje plusy i minusy. Dobre strony takiego układu – każdy może się realizować w swojej roli, nikt

nie musi żyć w gorsecie konwenansów; złe – pojawieniu się nowych ról nadal towarzyszą stereotypy i archetypiczne oczekiwania.

Niejednen związek doświadcza kryzysu z tego powodu, że męska lub androginiczna kobieta wiąże się z kobiecym mężczyzną. Kobieta dominuje w relacji, ale oczekuje od partnera męskich zachowań, chociażby w sypialni. Partner otrzymuje sprzeczne sygnały, a jego zachowania zaczynają drażnić partnerkę. Wiele tego typu związków szuka pomocy u terapeutów. Typowy przykład: inicjatorką wizyty była męska partnerka, dominująca w związku, skarżąca się na „brak męskości” u partnera: „W łóżku chcę czuć się jak kobieta, a on oczekuje ode mnie inicjatywy”. Problem w tym, że wysyłała „męskie” sygnały i przyciągnęła do siebie mężczyznę biernego, oczekującego aktywności seksualnej ze strony partnerki, matkowania. Innym przykładem przyczyn rozczarowania w związkach jest rozbieżność między sygnałami wysyłanymi w okresie tańca godowego a

odmiennymi po jego zakończeniu i przejściu w fazę stałego związku. Do konfliktów w związkach prowadzi również wydłużony okres dojrzewania psychicznego wielu mężczyzn. Zdaniem niektórych badaczy współczesny mężczyzna w Polsce osiąga dojrzałość psychiczną około czterdziestego roku życia. Chłopięcy mężczyzna jest pełen uroku, ale w stałym związku partnerka zaczyna oczekiwać od niego dojrzałości i partnerstwa, szczególnie kiedy pojawiają się dzieci. Zmiany w rolach płciowych i opóźnione dojrzewanie psychiczne mężczyzn są znakami czasu.

Pan Tadeusz – każdy z nas to pamięta – ukończył nauki w Wilnie, później Telimena nauczyła go miłości. Chłopak po szkole średniej wrócił do gospodarstwa i mógł już wdrożyć się w życie dorosłego mężczyzny. Tak to bywało i kilkanaście lat temu – chłopak skończył szkołę zawodową, został ślusarzem, szedł do pracy i już miał pensję co miesiąc. Pomagał rodzicom, kupował mieszkanie, był dorosły. Dzisiaj popularny jest zupełnie inny scenariusz. Młodzi ludzie

długo studiują, a po studiach szukają jeszcze innych możliwości rozwoju. Nie zakładają rodzin, po pracy chodzą do klubów – dziewczyny, zabawa, życie singla. To z jedną dziewczyną pomieszkają, to z drugą, bawią się, są nastawieni na używanie życia, na rozrywkę. Do tego, jeśli ich stać – podróże, wycieczki. A w ciężkich czasach – wiadomo – mama pomoże. Doradzi, nakarmi, opierze. Jak mamusia mieszka blisko, to zawsze można jej podrzucić stertę brudnej bielizny. Piękne życie. Co ciekawe, gdy pojawia się związek i dziecko, to oni nadal się bawią – tym razem swoim ojcostwem. Jak to fajnie być tatą. Dlatego tak dużo jest rozczarowanych kobiet – mają do czynienia z chłopcami i muszą się nimi zajmować.

Zdrowie seksualne, zgodnie z definicją WHO, obejmuje kilka czynników: brak zaburzeń, satysfakcję i zadowolenie, udane relacje w związkach, pozytywną postawę wobec seksu i optymalny rozwój seksualny w ciągu życia. Jak zatem wygląda zdrowie seksualne Polaków zgodnie z wyżej wymienionymi kryteriami?

Trzy z nich są optymistyczne: większość badanych ocenia swoje związki jako udane, życie seksualne jako satysfakcjonujące, ma pozytywne nastawienie wobec seksu – deklaruje to około dwóch trzecich respondentów. Trudno obiektywnie ocenić rozpowszechnienie zaburzeń seksualnych. Z badań wynika, że wśród mężczyzn 5–8% ujawnia zaburzenia erekcji, jedna trzecia przedwczesne wytryski, a wśród kobiet 8% nie ma orgazmu, a jedna trzecia odczuwa spadek zainteresowania seksem i potrzeby współżycia. Łącznie około 40% mężczyzn i kobiet ma jakieś zaburzenie seksualne. Nie oznacza to jednak, że traktują je jako problem i odczuwają potrzebę szukania pomocy u specjalisty. Jedynie co piąta osoba z tej grupy czuje się chora i jest zainteresowana leczeniem. Brak potrzeby zmiany wynika z różnych przyczyn: braku partnera, pogodzenia się z losem, oporów przed udaniem się do specjalisty, innych problemów zdrowotnych ocenianych jako ważniejsze od seksualnych. Przeprowadzone w Polsce w 2010



roku badania ujawniają jeszcze jedną przyczynę rezygnowania z pomocy specjalisty. Otóż okazuje się, że choć większość badanych zdaje sobie sprawę z istnienia skutecznych leków umożliwiających udane współżycie seksualne, to ocenia je jako niebezpieczne dla zdrowia, z powodu wielu niepożądanych objawów. Pogląd ten należy widzieć w szerszej perspektywie – rośnie nieufność Polaków do farmakoterapii jako takiej. Wielu moich pacjentów deklaruje niechęć do przyjmowania leków. Dotyczy to nie tylko leków poprawiających życie seksualne, ale także psychotropowych czy hormonalnych. Pojawiła się moda na „metody naturalne”, a pod tą nazwą kryją się zazwyczaj zioła i suplementy diety. Tymczasem ulotki dołączane do lekarstw są przez pacjentów dokładnie czytane, a opisywane w nich skutki uboczne zniechęcają do ich stosowania. Można wymienić kilka innych przyczyn nieufności i niechęci do leków: krytyczne opinie na temat działalności firm farmaceutycznych w mediach, nagłaśnianie w nich

przypadków powikłań po zastosowaniu leku, przypisywanie lekarzom powiązań z firmami farmaceutycznymi, antylekowa propaganda w internecie, przypisywanie zastępczej terapii hormonalnej rakotwórczego wpływu i innych szkodliwych następstw. Nic zatem dziwnego, że suplementy diety, preparaty homeopatyczne, zioła i afrodyzjaki są bardziej cenione od leków. Paradoks polega na tym, że przytłaczająca większość dostępnych u nas afrodyzjaków i preparatów homeopatycznych nie jest przebadana klinicznie, suplementy działają na poziomie efektu placebo, a zioła mają zróżnicowane działanie na organizm.

Z moich doświadczeń terapeutycznych i rozmów z innymi seksuologami wynika, że przepisanie recepty na lek przywracający funkcje seksualne niekoniecznie oznacza, że będzie on przez pacjenta przyjmowany. Wiele kobiet czuje dyskomfort, gdy podniecenie seksualne u partnera powstaje pod wpływem działania leku, i odczuwa niechęć do współżycia z tego powodu.

Niektóre nawet rezygnują z seksu. Trudno zatem się dziwić, że część mężczyzn ukrywa przed partnerką fakt leczenia, a także to, że zażywa leki przed kontaktem seksualnym.

Do tego wszystkiego dochodzi możliwość zakupu leków w internecie. Są podstawy do stwierdzenia, że ponad połowa mężczyzn stosujących różne preparaty i leki na zaburzenia seksualne kupiła je właśnie w ten sposób. To, że często są to podróbki leków lub nieprzebadane klinicznie preparaty, wiadomo od dawna. Sytuacja jednak nie ulega zmianie.

Z populacji mężczyzn stosujących leki wpływające na seks i zadowolonych z ich skuteczności część rezygnuje z ich stosowania z powodu odczuwania obniżonej samooceny roli męskiej, lęku przed uzależnieniem się, rozczarowania brakiem „potencji jak w czasach młodości” i tak dalej. Polacy nie są łatwymi pacjentami.

Na koniec należy wspomnieć, że nowym zjawiskiem w Polsce jest percepcja seksu w mediach,

w kulturze masowej, reklamie i sztuce. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych upublicznianiu seksu towarzyszyły protesty, doniesienia do prokuratury, pikiety, dyskusje w telewizji krytycznie oceniające to zjawisko. Obecnie seks stał się wszechobecny i oswojony. W książkach mnóstwo jest pikantnych i nader szczegółowych opisów zachowań seksualnych. Seks znalazł się w spektaklach teatralnych, na wystawach fotograficznych, billboardach, w prasie, telewizji. W internecie przemysł pornograficzny stał się kopalnią złota dla producentów, a strony pornograficzne to jedne z najczęściej odwiedzanych miejsc w sieci. Seksualizacja życia publicznego stała się faktem. Znalazło to również wyraz w słownictwie, coraz bardziej przepojonym terminologią seksualną, głównie slangową i obsceniczną. Na ulicy, w sklepie, w windzie słychać bardzo bezpośredni język erotyczny, również u młodych dziewczyn, czego nigdy wcześniej nie było. Oczywiście nastolatki często w swoim gronie świntuszyły, ale nigdy w męskiej

obecności. Teraz często używają języka erotycznego, niekoniecznie w erotycznym kontekście. „O, ja go zerznę za to, co on zrobił” – mówi dziewczyna o koleędzie, który nie pomógł jej w odrobieniu lekcji. Idealnym przykładem jest kariera słowa „zajebisty”. Pierwotnie pochodziło od „jechać” i używano go w kontekście seksualnym. „Zajebisty chłopak” – to znaczyło „sprawny kochanek”. Dzisiaj używamy tego słowa w kontekście „fajny” – zajebisty samochód, zajebiste lotnisko, zajebista książka.

Seks po polsku wykreowany w mediach jawi się jako wyzwolony, otwarty, swobodny, pozbawiony zahamowań, norm. Z drugiej jednak strony wyniki badań nie potwierdzają tego. W wielu związkach dominuje tradycyjny seks: ubogi w pieszczoty, z krótką sztuką miłosną, w jednej pozycji, z oczekiwaniem na inicjatywę ze strony mężczyzny, bez słowa w sypialni lub najwyżej z pytaniem: „Było ci dobrze?”. Refleksje nasuwają się oczywiste: nie ma czegoś takiego jak „seks po polsku”.

# Spis treści

Karta tytułowa

PACJENCI

Kobiety i mężczyźni na kozetce u seksuologa

Pacjenci – z teczką, incognito, w habitcie lub z obcym akcentem

Pacjenci homoseksualni – kiedyś i dziś

Z MLEKIEM MATKI

Skąd taki wybór?

MUNDUR

Gorąca dyskusja

Za mundurem...

Tajemna wiedza seksuologa

NIEODWZAJEMNIONA MIŁOŚĆ

Twarde lądowanie

Historia pewnego zdjęcia

PAN Z FAJKA

Zasady ars amandi

Pionierskie lata

SEKS INTEGRALNY

Psychoterapia i hipnoza

PRZYPADKI SPECJALNE

Trudne sprawy

AFERY I BESTSELLERY

Rozmowa przed konklawe

Kontrowersyjny podręcznik

Żywot pisarza

Rekordzista

Zdemaskowany przez cejrowskiego

Twoje nazwisko nic nie mówi

Miłość francuska i inne problemy

SALONY I AMBONY

Wędrujący edukator

LUDZIE LISTY PISZA

Zapytaj seksuologa

OD LEWA DO PRAWA

Przychodzi polityk do seksuologa

Przychodzi seksuolog do polityka

SEKSUOLOG SUPERSTAR

Seksuolog Dj

Depresja gangstera

Ten w lustrze to ja?

Seksuolog w domu

Karta redakcyjna



Copyright © by Zbigniew Lew-Starowicz 2013

Projekt okładki Mariusz Banachowicz Fotografia

na pierwszej stronie okładki © Andrzej Świetlik / Forum

Opieka redakcyjna Julita Cisowska Bogna Rosińska Artur

Wiśniewski Redakcja Bogna Rosińska

Korekta Barbara Gąsiorowska

ISBN 978-83-240-2461-2

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul.

Kościuszki 37 Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail:

[czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Wydanie I, Kraków 2013

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four colored circles: light blue, purple, pink, and orange respectively. The letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are slightly larger than the others.

[woblink.com](http://woblink.com)